

J. 19.

L. 193

DWÓR W CHRUSTOWIE.

BIWOLZURAC W 30W0

DWOR W CHRUSTOWIE.

POWIEŚĆ

przez

Teod. Tom. Jeża.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

BIBLIOTEKA

ul. Nowy Świat 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-68, 26-52-31 w. 42



WARSZAWA.

Nakład MICHAŁA GLÜCKSBERGA Księgarza.

<http://rcin.1876g.pl>



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, дня 15 Апрелья 1876 года.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów ul. Bednarska Nr. 20.

<http://rcin.org.pl>

1

Nie jasno tłumaczy się mi pociąg, jakiego do-
znaje do dworków i dworów szlacheckich. Osta-
niają go tajemnicze cienie jakies.

Gotów kto, w celu rozproszenia cieniów, wyje-
chać ze znanem przysłowiem o naturze wilczej.

Och! natura ta... Przez takie ona przeszła ciągi,
na tyle wystawioną była prób i tyle ją zdeptało ra-
cyj, że wilczego w niej nie pozostało już chyba nic.
Nie, nie natura to ciągnie mnie w tę stronę, lecz —
co innego. Dwór, dworek szlachecki — tego mu sam
djabeł odmówić nie może — jest skończonym w so-
bie obrazem dobrego pędzla, przedstawia całość
uroczą, od której oczu oderwać nie sposób: jest...
pięknem. Piękno posiada siłę pociągającą. Dla
tego to też nawracam do domu szlacheckiego zaw-
sze, ile razy, w peregrynacjach, które fantazyja mo-
ja powieściarska po ziemi rodzinnej odbywa, oka-
zya się nadarzy.

Pięknymi bywają i błędy, niestety! i występki,
zbrodnie nawet, na obrazach zwłaszcza. Kto temu
nie wierzy, niech się rozpatrzy uważnie w utworach
pędzla Salvatora Rosa, w tych szczególnie pejza-

żach jego, które ożywia obecność bandytów. Cóż to za arcydzieła! Na bandytów dosyć napatrzeć się nie można, tacy piękni. Pokazuje się przeto, że piękno, w części znacznej, zależy od stosownego otoczenia i odpowiedniego oświetlenia—od otoczenia i oświetlenia, dzięki którym i złe przedstawiać się może pod postacią zachwycającą.

Rozumowanie powyższe odnosi się do piękna w ogólności, bynajmniej zaś do szlachty, pomiędzy którą a bandytami Salvatora Rozy zachodzi różnica, nie dopuszczająca porównania najmniejszego. Chciałem jeno wytłumaczyć się i usprawiedliwić z pociągu tego, jakiego doznaję na widok strzechy słomianej, przyozdobionej kominem z daszkiem i gniazdem bocianiem, a okrywającej ściany, będzie gniazdem ze swojej strony, pełnem wdzięku niewysłowionego, wygód niewypowiedzianych i harmonii rozbrzmiewającej echemi przeszłości nawskroś, a wysoko poetycznej. Historia szlachty, ze światłami i cieniami swojemi, to poemat.

Wyrobowi stanu szlacheckiego byłoby, w dziejowym sensie, do zarzucenia wiele, bardzo wiele, to jednak nie przeszkadza temu, ażeby szlachcie być nie miał postacią posagową—osobistością dziejową, której tak było dobrze, iż utrzymała się po dziś dzień, broniąc się przeciwko okolicznościom, które ją z piedestału strącają.

— Hej hej.... gdyby to!...—powtarzał nieraz pan Marek Szamota, zacność wcielona w człowieka dobrej tuszy, okazałej postawy, zawieszonych wąsów i najlepszych chęci.

Pan Marek, gdyby w rzeczy samej dawne powróciły czasy, byłby, o tem wątpić nie można, obywatel wzorowym. I obecnie nie mu do zarzucenia

nie było, pomimo, że szczegóły różne bytowania nowoczesnego wprawiały go często w humor jaknajgorszy. „Wiele—jednak—ten czyni, co musi“. Pan Marek musiał, więc czynił: stosował się do okoliczności i lepszym się okazywał od niejednego, popisującego się postępowym sposobem myślenia. A nawet szedł z duchem czasu, dawał się postępowi prowadzić, ulegał i całę dobrze odbijał, od takich zwłaszcza co przesadzali w tym lub w innym kierunku: od spekulantów naprzykład, którzy cześć na ołtarzu zysków palili, od demokratów, którzy wszystko naginaćby pragnęli do poziomu własnego, od arystokratów, którzy w śniedzi blask upatrywali i Anglików udawali, i od innych tego lub podobnego kalibru postępowców w karykaturze. Pan Marek krzywił się na postęp, szedł z nim jednak, z narowów atoli był szlachcicem nawylot, przekonanym głęboko, że go Bóg z innej trochę ulepił gliny, aniżeli ogół śmiertelników. Przekonania tego nie wypowiadał głośno i było to wielkiem z jego strony ustępstwem, które w ducha cichości uważał jako ofiarę, tę zaś poczytywał sobie za zasługę w obec Tego co sprawy ludzkie w ostatniej sędzi instancyi.

—,Uhm... wzdychał często i głową posepnie kiwał.

Myśli, westchnienia te wywołujące, przychodziły mu zazwyczaj po obiedzie, kiedy, nogą kiwając, fajkę na długim cybuchu palił. Nie uprzykrzały się jednak długo, albowiem, albo się kończyły drzemką, jeżeli Pan Bóg gości do Chrustowa nie sprowadził, albo też preferansikiem, jeżeli się nadarzył ten lub ów z sąsiadów lub z przyjezdnych z okolicy dalszej. Preferansika p. Marek lubił bardzo i brał go w znaczeniu lekarstwa na troski, uznając zresztą grę w karty za rzecz zdrożną.

— Lekarstwo acz gorzkie, przyjąć jednak nieraz potrzeba—mawiał.

I sam najpierwszy zgodził się na to, że pociąg do preferansika jest słabością.

— Ale—powiadał—któż się pochwalić może, iż wolnym jest od słabości wszelkiej!... Przytem, gdyby nie preferansik, umysł rozrywający, to człowiekowi nieraz zwaryowaćby przyszło... Takie czasy!... takie czasy!... kłopotów tyle!... aaa-ha!...

To też grywał bardzo tanio i gotów był do gry zasiadać o każdej dnia porze, i spędzać przy takiej noce całe. Uważał to, jak powiedzieliśmy powyżej, jako lekarstwo na troski.

A trosk było tyle!

Zanim jednak do takowych przystąpimy, cofniemy się nieco wstecz, w celu zapoznania czytelnika bliżej ze sferą, służącą za tło powieści niniejszej.

Pana Marka zrodził pan Jan, pana Jana pan Łukasz, pana Łukasza pan Maciej i. t. d. Moglibyśmy, krocząc wstecz, dojść w ten sposób do czasów Polski w podziatach i wykazać ojca rodu Szamotów w blizkiej z potomkami Piasta styczności, następnie zaś, idąc od niego w dół, wymienić starostów paru, jednego czy dwóch rotmistrzów, sędziego, chorążego, pisarza, łowczego. Żaden z przodków p. Marka w senacie nie zasiadał. Ród trzymał się zawsze w stanie miernym, nie odznaczając się niczem osobliwym, nie spadając jednak na poziom chodaczków i łącząc się niekiedy w drodze koligacyi z rodami najznakomitszemi. Po kądzieli dotykał się do krzesel, buław i tiar, i sam w sobie był karmazynem na wylot. Ojca p. Marka tytułowano cześnikiem; syna zaś owego ojca, cześnikowiczem, tak długo, aż póki wezwanym nie został do rozstrzygnięcia sporu

granicznego pomiędzy p. Szafranowiczem a p. Kubalskim, pomiędzy którymi proces o miedzę toczył się przez lat trzydzieści z górą razy kilka przez wszystkie przechodził instancje, i był głośnym na okolicę całą. Szczęśliwe sporu tego zakończenie obdarzyło go tytułem podkomorzego. W innej podobnej okazji, będąc przez strony na superarbitra wybranym, zdobył sobie tytuł prezesa. I dwa te tytuły przyrosły niejako do osoby jego. Dla jednych był podkomorzym, dla drugich prezesem — jak się komu podobało. Ludzie dawnej daty tytułowali go bądź cześnikowiczem, bądź też cześnikiem. Dla p. Marka było to wszystko jedno. Pozwalał mianować siebie podkomorzym, prezesem, cześnikowiczem, cześnikiem, a nawet i asanem dobrodziejem, nie reklamując ani protestując.

Był to obywatel poważny, a spoważniał odrazu, w jednej chwili, jakby za dotknięciem różeczki czarodziejskiej. Chwila ta nastąpiła na kobiercu szlubnym. Kiedy, po zaprzysiężeniu wierności i miłości dozgonnej Imci pannie szambelance Róży Kozarskiej, wstał z klęczek, stało się mu tak, jakby się na nim przemienienie odbyło. Odrazu został mężem, i w małżeńskim i w obywatelskim znaczeniu. Nie każdemu to się zdarza. Większa nowożeńców połowa wzbudza politowania uśmiechy na ustach świadków obrzędu sakramentalnego. Pana Marka sąsiedzi uczcili pokłonem, który go niejako na obywatela pasował, a to pomimo, że był on już człowiekiem dojrzałym, podczas kiedy pani jego znajdowała się w pierwszym dziewiczego wieku kwiecie. On miał lat trzydzieści sześć, ona ośmnaście. Dobrali się jednak, do czego przyczyniło się w znacznej części to, że pani Róża należała do rodzaju tych natur wy-

borowych, co to stworzone są niby do urabiania i utrzymywania harmonii w świecie.

Dobrali się na podziw.

Pani Róża dopełniała p. Marka; p. Marek uzupełniał panią Różę.

Wypadki podobne przytrafiają się niekiedy w stadtach małżeńskich.

W niej przeważała imaginacya, zasycana wychowaniem, które urobiło pociąg do czytania; w nim przeważała wiedza, która stanowiła pewien rodzaj wędzidła względnie do wyskoków zanadto żywych. Pani Markowa—czyli, jak ją tytułowano, pani cześnikowiczowa, pani cześnikowa, pani prezesowa, albo pani podkomorzyna—czytała dużo, wszystko co jej w ręce wpadło, czytała i po polsku i po francuzku, karmiła się przeważnie rzeczami tak zwanymi lekkimi, lecz umiała w takowych myśli zdrowe wynaleźć i sens moralny z nich wyciągnąć. Działo się to samo przez się, w skutek zapewne tego, że się w dzieciństwie na dobre zapatrywała przykłady, które wyobraźni jej wybujać nie dawały. Wyobraźnia nie wybujała; do bujania się atoli rwała i ciągnęła za sobą ociężyły nieco umysł małżonka, pełniący względem takowej funkcyje ballastu. Ona posiadała poglądy, on wiadomości—pierwsze w połączeniu z drugimi okazały się wielce przydatnymi we względzie wychowania dzieci, które się im sypały niby z rękawa. Było tak: co rok, to prorok, raz chłopiec, znów dziewczyna — w przeciągu lat dziesięciu pani Róża zostawała matką razy dziewięć i, zapewne, byłaby jeszcze tę liczbę powtórzyła, gdyby śmierć nie zabrała jej w sile wieku. Umarła, mając lat dwadzieścia ośm.

Śmierć pani Róży była dla p. Marka ciosem wiel-

ce dotkliwym. Dotkliwszym jednak cios ten był dla dzieci, których zostało pięcioro: trzech synów i dwie córki. Czworo miało mogiłki swoje na cmentarzu, obok nich położyła się matka—i w ten sposób rodzina Szamotów rozdzieliła się na dwie nierówne połowy: mniejsza, z matką snem wieczystym uspio-
na, spoczywała za wsią na wzgórku, pod pięciu krzyżami, pod ostem i róż polnych krzewami, w ogródku otoczonym sztachetą żelazną; większa o głowę jedną, mieszkała z ojcem we dworze drewnianym, wznoszącym się na wzgórzu przeciwległym strzechą słomianą okrytym, w gniazdo bocianie przystrojonym, białymi ścianami i jasnymi oknami zdala świecącym, w sadzie fruktowym do połowy schowanym. Pomiędzy cmentarzem a dworem zachodziła spójność niejaka. Dwa te pomieszkania porozumiewały się niby ze sobą. Z okien dworu frontowych i z ganku, cmentarz widać było, a kiedy od takowego wiatr pociągał, to przynosił brzęczenia, dzwoniące melodyą jakowąś, która wydawała się chóralną pieśnią zmarłych. Wiatr grał na ramionach krzyżów. Pan Marek, w pierwszych po zgonie p. Róży chwilach, wsłuchiwał się w tę muzykę, i kiedy wyraźniejszą była, wyprowadzał dzieci na ganek, powiadając:

— Słyszycie?... to głos mamy....

Dzieci oczęta szeroko otwierały i słuchy nastawiały.

— Mama czuwa nad wami.... Mama opiekuje się wami z zagrobu.... dziatki moje....

Łzy mówić mu długo przeszkadzały i służyły za jedyną odpowiedź na zapytania liczne, jakimi go zarzucały te z dzieci, które już pytania zadawać

umiały, a te pytania redukowały się do jednego treści następującej:

— Na cóż nas mama opuściła?....

Nie prędko pan Marek odpowiedzieć na takowe zdołał:

— Mama nas opuściła, ale na miejscu swoim zostawiła ciocię, którą powinniście szanować, kochać i słuchać....

Sierotom pozostała więc ciocia, wujeczna p. Marka siostra, przed laty kilku owdowiała po radcy stanu, który pozostawił jej pensyjkę dożywotnią i córkę jedynaczkę. Ciocia nazywała się pani Eleonora Tulicka. Owdowienie jej było jakby Opatrzności zrządzeniem. Dowiedziawszy się o ciosie, jaki dotknął p. Marka, natychmiast do Chrustowa przyjechała i sama się ofiarowała.

— Bracie kochany—były jej słowa—znajdujemy się oboje w jednakowem położeniu.... ty wdowiec, ja wdowa.... tobie dał Pan Bóg dziątek pięcioro i matkę ich do chwały swojej zabrał, ja mam moją Olesię, ojca pozbawioną.... Bądź ty ojcem dla mego dziecka, ja będę matką dla twoich.. .

Panu Markowi ofiara ta wydała się za wielką.

— Za duży, siostrze—odparł— bierzesz na barki swoje ciężar.... Moich sierot jest pięcioro, twoja jedna, zachodzi więc nieproporcjonalność na krzywdę twoją....

Pani Tulicka wytłumaczyła mu tak:

— Przedewszystkiem otwartość.... to słabość moja.... Jeżelibym mieszkała sama, jak dotąd, to pensyjkę moją przeżywać muszę, nie odkładając nic na stronę, to jest: ani na edukację Olesi, ani też na złożenie dla niej fundusiku na jaki taki posażek... W naszym wieku pannie bez posażku trudno na świecie.

Trzeba żeby miała choć cokolwiek.... Owoż, zamieszkały u ciebie, składanie wiana dla Olesi stanie się rzeczą możliwą.... Ty nam dasz dachu i jadła, za procencik będziemy się okrywały, kapitalik będzie sobie rósł z roku na rok bez uszczerbków, z wyjątkiem tych, jakie czynić wypadnie na opłacanie nauczycieli i nauczycielek, w części jaka przypadać będzie na dołę moją. W ten sposób wyświadcysz mi dobrodziejstwo prawdziwe, inaczej bowiem musiałabym chyba iść w służbę do ludzi obcych, którzyby ani dla mnie, ani dla dziecka mego takich jak ty względów nie mieli....

— Ależ to dobrodziejstwo dla mnie! — zawołał p. Marek.

— Dla mnie, bracie kochany — odrzekła z przyciskiem pani Tulicka.

— O! dla mnie....

— Nie... dla mnie...

— Poznaje w tem palec Opatrzności... wstawienie się do takowej — mojej Róży poczciwej, która wyprosiła natchnienie siostry myślą przyjechania do mnie z propozycją podobną.

— Przyznaję, że mi pomysł do propozycyi tej natchnienie podyktowało — były słowa p. Tulickiej, która widziała także palec Opatrzności, lecz nastawiony na większą jej aniżeli p. Marka korzyść, w jej bowiem mniemaniu, racjonalnem zresztą, nie co innego jeno Opatrzność usunęła p. Różę z drogi, i otworzyła jej wstęp do chrustowieckiego dworu.

Stroskanemu atoli mężowi nie wypadało tego powiadać, odkrywając mu przez to tajemnicze Opatrzności zrządzenie.

Pani Tulicka przeto nie dopowiedziała myśli swojej. — Odrzekła:

— Otwartość przedewszystkiem.... tak mnie już widać Pan Bóg stworzył.... Wyświadczysz mi, braćcie kochany, dobrodziejstwo prawdziwe, za które odwzajemnić się nie mogę inaczej, jak tylko usiłowaniem zastąpienia dzieciom twoim matki. Wiem, że tego nie dokażę, takiej bowiem, jaką była siostra nieboszczka, i ze świecą nie znaleźć.

— Och! to prawda—westchnął p. Marek.

— Jednakże, będą się starała, będą usiłowała.... będą dziatki twoje uważała na równi z Olesią....

— Tak—odparł p. Szamota. Niczego innego po siostrze dobrodziejce wymagać nie można, i niczego innego wymagaćbym nie mógł po żadnej kobiecie, którąbym wziąć do domu musiał dla czuwania nad mojami sierotkami. Płaciłbym, i za opłatę żadną nie kupiłbym serca macierzyńskiego, które dziatki moje u siostry dobrodziejki darmo znajdują. O Boże!

Wzniósł oczy do góry z dziękczynnym wyrazem i p. Tulicką w rękę pocałował.

— Obyż Bóg najmiłosierniejszy stokrotnie siostrze dobrodziejce wynagrodził! Ja wymawiam sobie tylko, ażeby siostra szanowna nie czyniła najmniejszego w fundusiku Olesi uszczerbku. Będą się uczyły dzieci moje, będzie się i ona uczyła z niemi. Nie chce różnicy robić siostra, nie będę robił i ja.

— Cóż z bratem kochanym robić! — był p. Tulickiej z rozrzewnieniem wygłoszony wykrzyknik.

— Zachowam dla siostry w sercu wdzięczność niewygasłą.

— Przysługę oddajemy jedno drugiemu. Rozumiem bowiem—westchnęła p. Tulicka—co to jest serce matczyne.

— O!—odparł p. Marek, dłoń podnosząc.

— Pozwolę sobie jednak, jeszcze jedno postawić

żądanie. Tu już brat kochany nie powie, że ja go dobrodziejstwuję.

— Co siostra rozkaże?

— Żebym posażek Olesi składać mogła w ręce brata kochanego—odparła z przymileniem.

— Jeżeli zasługuję na ufności tyle.

— O!—podchwyciła p. Tulicka. Niechże brat tego nie mówi! Jabym bratu kochanemu miliony bez namysłu powierzyła, a niedopiero kilkaset talarów, jakie mi rocznie wypłacają. Procentu nawet nie będę brała.

— Tak nie można — odparł p. Marek — procent chyba do kapitaliku przyłączać się będzie.

— Jak się tam bratu kochanemu podoba. Ja się na tem nie znam wcale, i ze słyszenia zaledwie wiem o procencie dwunastym, piętnastym, ale wyobrażenia nie mam, coby to znaczyć miało.

— To ja się na tem znam trochę.—była p. Marka odpowiedź—ani piętnastego, ani nawet dwunastego procentu siostrze nie dam, lecz tylko siódmy.

Pani Tulicka spojrzała na p. Marka. Ach! byłoż to spojrzenie. Oczy zmieniły się nagle w dwa ostre, długie, cienkie, błyszczące narzędzia i przebodły prezesa na wylot, a stało się tak szybko, że ten ani się spostrzegł. Zdaje się, że ukłucia uczuł, i zwrócił na oczy p. Tulickiej wzrok, lecz nie znalazł w takowych, nic innego tylko wyraz dobroćliwości podszytej rzewnością.

— Nie rozumiem się na tem nic a nic, powiadam bratu kochanemu. Siódmy?—niech będzie siódmy. Czemuż raczej nie czwarty albo nie trzeci?

— A nie—podchwycił p. Marek.

— Czemu nie? Piętnasty a trzeci? ja tu różnicy nie widzę żadnej.

— Różnica przecie wyraźna— w cyfrach samych. Co piętnaście, to nie trzy.

— No, tak. Ale procent. Co to procent?

— Jest to dochód od kapitału, reprezentującego pracę, za którą należy się zarobek. Siostra dając komuś sto talarów, dajesz mu przez to sposobność zarobkowania w stosunku do takowych i należy się siostrze za to wynagrodzenie takie, ażeby ani wypożyczającemu ani pożyczającemu krzywdy nie było. Pożyczający potrzebuje i często zdarza się, że potrzebą naciśniony, gotów dać wynagrodzenie większe niż warto. Dla zapobieżenia temu, prawo naczyna pewną normę, nazywającą się procentem prawnym. Procent brany i dawany wzwyż tej normy, nazywa się lichwą, którą płacą, albo marnotrawcy, albo też ściśnięci potrzebą gwałtowną, albo zresztą spekulanci mający zyski nieprawe na widoku. Ja nie należę ani do tych, ani do tamtych, ani do owych, nie potrzebuję pożyczać, Bogu dzięki, nie mogę więc zobowiązywać się do płacenia procentów tak wysokich.

— Wszystko to dla mnie *du grec*—odrzekła pani Tulicka. Mnieby oszukać tak łatwo.

— Tylko że ja nie mam tej intencji — wyrwało się p. Markowi z ust.

— Ach! bracie drogi! bracie kochany!—zawołała p. Tulicka—czyżbym posadzać miała! Miliony, miliony, powiadam, gdybym je posiadała, powierzyłabym bratu, bez namysłu, bez pytania co z niemi zrobić zechcesz. Na cóż tu jednak dowodu lepszego! Powierzam bratu siebie i, co ważniejsza, Olesię, która jest dla mnie nad miliony droższą. Ja się na żadnych procentach nie znam....

Podczas jednak, kiedy p. Marek teorię procen-

tów wykładał, p. Tulicka czyniła obrachowanie następujące: cztery razy piętnaście, sześćdziesiąt, sześćdziesiąt a siedm i pół, sześćdziesiąt siedm i pół; cztery razy siedm, dwadzieścia ośm, dwadzieścia ośm a trzy i pół, trzydzieści jeden i pół; trzydzieści jeden i pół od sześćdziesięciu siedmiu i pół, różnica trzydzieści sześć. W pierwszym roku trzydzieści sześć, w drugim siedmdziesiąt dwa. w trzecim sto ośm, w czwartym sto czterdzieści cztery, nie licząc procentów od procentów. Doszedłszy do tego punktu, powiedziała, że wszystko to dla niej *du grec*.

— Ja się nie znam. Ja się bratu drogiemu powierzam z ciałem i z duszą, dziękując Bogu za opiekę, jaką w osobie jego uzyskuje moje dziecko.

— Zrobimy rzecz urzędownie.

— Jaką rzecz?—podechwyciła p. Tulicka.

— Co się pieniędzy tyczy.

— Al!.. krzyknęła p. Tulicka. Nie chcę! nie! za nic. Słowo proste braterskie starczy mi za skrypta i rewersa wszelkie.

— Jesteśmy jednakże śmiertelni—zauważył pan Marek.

Pani Tulicka na wzmiankę tę zmieszała się nieco, wnet atoli przyszła do siebie i odparła:

— Przecież brat kochany zostawi jakieś na ten wypadek rozporządzenie, w którym i o depozyciku moim wzmiankę uczyni.

— Jak siostrze kochanej się podoba.

Tak tedy rzecz ta załatwioną została. Pani Tulicka sprowadziła się do Chrustowa w celu zastąpienia matki sierotom i rozpoczęła funkcyę swoją ku ogólnemu wszystkich zadowoleniu. Dla sług tylko była nieco przykrą, tłumaczyła się tu wszakże

dbałością o dobro pana Marka. Dzieci usiłowała przywiązać do siebie i dokazała tego. Pierwszego zaraz dnia installacyi swojej, poprowadziła je na cmentarz, kazała im pouklękać na grobie matki, uklękała sama i odmówiła spólnie z niemi „Anioł Pański“, za duszę mamy i za duszyczki tych braci-szków i siostrzyczek, które z nią wspólnie w niebie przebywały. Dziaatki modliły się pobożnie, nie wyjmując malusiej dwuletniej Ewuni, która rączęta złożyła i oczki jasne w krzyż drewniany utkwiała, powtarzając:

— Mama... mama...

Język jej nie obfitował jeszcze w wyrazy, których kilka dopiero na rozporządzenie swoje posiadała. Modliła się więc jak umiała, wtórując w ten sposób ośmioletniemu Stasiowi, sześcioletniej Henrysi i pięcioletniemu Michasiowi, którzy głośno i wyraźnie za ciocią modlitwę za umarłych powtarzali. Towarzystwa nie dotrzymywał jeden Genio, dla przyczyn od niego niezależnych. Jego na świat przyście było powodem śmierci pani Róży.

Po skończonej modlitwie, pani Tulicka wzięła Ewunię na ręce i w te do jej rodzeństwa odezwała się słowa:

— Kochałyście, dziatki, mamę waszą, kochać też powinnyście i mnie... Ja wam matkę w najważniejszej zastępuję części... Jej winnyście życie, mnie winnymi będziecie wychowanie... Pamiętajciez sobie: kochajcie mnie...

Ostatnie słowa powtórzyła i z nich punkt wychodni wychowania uczyniła.

Zdobyć dla siebie miłość wychowanków stało się celem jej głównym i jedynym, albo raczej zadaniem,

które rozwiązywała pod strzechą dworu Chrustowskiego.

Nie będziemy w tej chwili zadania tego pod nóż analizy brali. Zauważymy tylko, że istnieją dwa sposoby wychowywania dzieci. Rodzice i opiekunowie wychowują takowe, albo dla nich samych, albo dla siebie. Różnica ogromna! — pomimo, że na pozór wydaje się, iż sposób jeden nie sprzeciwia się drugiemu. Tak zapewne wydawało się i pani Tulickiej, która, pod tym względem, nie wychowywała inaczej córki własnej. Olesia rosła dla pani Tulickiej — pociecha jej, szczęście jej, gwiazda jej — matka kochała ją szalenie, wściekle, zapamiętale, byłaby dla niej poszła żebrać, kraść, rozbijać, poszłaby na stos i spaliła się na ogniu powolnem, wychowywała ją jednak nie dla niej, lecz dla siebie.

O kochaniu tem słówko. Tak kochać może tylko matka, i to jeszcze, jedno tylko dziecko. Gdyby pani Tulicka miała dzieci dwoje, troje, czworo, to miłość jej dla Olesi istniełaby musiała z krzywdą dla reszty jej rodzeństwa; lecz ponieważ miała tylko jedno, miłość jej macierzyńska istniała z krzywdą dla dzieci pana Marka, czyli innemi mówiąc wyrazami, pani Tulicka Szamociąt — jak je nazywało — ani kochała, ani kochać mogła, mimo to jednak usiłowała obudzić w nich i rozwinąć miłość dla siebie.

Obudzić obudziła, z rozwinięciem jednak rzecz oporem poszła. Inaczej być nie mogło.

Powtarzając dzieciom bezustannie, że ją kochać powinny, wgadała w nie uczucie, które i bez tego przyszłoby było samo przez się; dzięki zaś wgadywaniu zapaliło się sposobem gorączkowym i gorzało płomieniem gwałtownym. Taki płomień trwać długo nie może. To też rozpalał się i przygasał ko-

lejno w dzieciach wszystkich, od najstarszego chłopca poczynając. Wyjątek w tym względzie jedyny stanowiła Olesia. Ta matkę kochała, bo matka kochała ją, istniało więc zarzewie, które uczucie jej ustawicznie zasilalo, nie dając takowemu chłodnąć ani na chwilkę. Ztąd wytworzyło się ubóstwianie wzajemne. Matka ubóstwiała córkę, córka ubóstwiała matkę, jedna zaś z drugą stanowiły parę istot wyosobnionych niejako, nietylko w otaczającym je świecie, ale w świecie całym. Córka widziała doskonałość w matce, matka widziała doskonałość w córce.

Olesia!..—O moja!..

Kiedy pani Tulicka wyrazi te wymawiała, to czuć w nich było upojenie. Oczy jej zachwytem jaśniały, oblicze rozkosz opromieniała.

— Olesia!..

Takiej jak ona nie było, niema i nie będzie.

Na nią się natura wysiliła.

W rzeczywistości zaś, było to stworzenie bardzo miłutkie, tylko zanadto zeskrzydłone i od pieluch przeznaczone, pomazane niejako na heroizm, podobny do owego, w jaki Mickiewicz przystroił swoją Zosię z „Dziadów“, wołającą „baż baż!“ na baranka i goniącą różeczką motylka. Miłutkie bardzo stworzeńko! Olesia była niebrzydką nawet — miała w sobie uroków dużo, zwłaszcza w pierwszych chwilach rozwijania się z pączka dziewiczego, miała serce dobre, głowinę otwartą, łatwość w pojmwaniu, i wyjśćby mogła na kobietę, wcale porządną, gdyby matka, w siebie najprzód, w nią następnie, nie wmówiła była, że jest ona niepospolitością, stworzoną światu na podziw, na wielbienie.

Wielbiłyż się te dwie istoty, wielbiły!

Dzień każdy rozpoczynał się dla nich chwałą wzajemną. Sypiały w jednym pokoju; pani Tulicka wstawała raniutko, podchodziła do łóżka Olesi, wpatrywała się w nią, składała na jej czole pocałunek, okrywała ją i żegnała błogosławieństwem krzyżem, odchodziła następnie, wydawała rozporządzenia gospodarskie, wracała—i z pończochą w rękę zasiadała przy łóżku córki, oczekując na to, ażeby się obudziła. Następowало to pomiędzy siódmą a ósmą. Olesia w oczach matki oczy otwierała. Dla pani Tulickiej fakt ten naturalny miał znaczenie takie, jak dla miłośników przyrody wschód słońca w Alpach. Wyczekiwała momentu tego z rozrzewnieniem. Olesia oczy otwierała; wzrok jej spotykał się ze wzrokiem matczynym, wyrazu miłości i zachwyty pełnym. I odbywał się w dniu każdym dialog następujący:

— Mamciu moja!...

— Dziecko moje!...

— Aniele!...

— Aniołku!...

— Szczeńcie moje!...

— Skarbie mój!...

— Dzień dobry, mamunieczce...

— Dzień dobry ci, Olesieczku... Spało się tobie?...

Tu przychodził uścisk, długi, gorący i po uścisku dziewczynka odpowiadała wyciągając się rozkosznie:

— Och! dobrze... dobrze... doskonale, mamunciu, moja droga...

Wstawaj-że, życie moje, dawaj dobry Szamociętom przykład... albo nie, poczekaj chwileczkę... Schowałam tu dla ciebie...

I podawała jej filiżaneczkę kawy, ze śmietanką idealną, z kożuszkim królewskim, z biskupczikiem, sucharkiem lub bułeczką.

— Wypij prędiutko i ubieraj się żywo...

Wypicie tej kawy, która była arcykawą, odbywało się w sekrecie wielkim, przedstawiającym się pod postacią wyjątku, który powtarzał się ranka każdego. Szamocięta, mające dobry z Olesi brać przykład, nie dostępowały zaszczytu podobnego. One wstawały nigdy później jak o siódmej, ubierały się przy pomocy pokojówki i zasiadały przy stole w oczekiwaniu na śniadanie, składające się bądź z zacierki na polewce ze słoniną, bądź z kluseczek na mleku, bądź też z kaszy jaglanej albo jęczmiennej na rzadko. Nie była to dla nich krzywda żadna—przeciwnie, zyskiwały na tem, że się do przy smaków nie przyzwyczajały. Zacierka, kluseczki, kasza smakowały im ogromnie: rzucały się na takowe z apetytem, upominając się, po wypróżnieniu talerza pierwszego, o drugi jeszcze, a często i o trzeci. Apetyt ów służył pani Tulickiej za pretekst do udzielania nauk moralnych.

— A pfe... powiadała—jeść tak dużo.... To obżarstwo, a obżarstwo jest grzechem śmiertelnym.... Patrzcie na Olesię i z niej przykład bierzcie: nigdy się o drugi nie upomina talerz, a nawet, widzicie, jednego nie dokończyła..! Nie napieraj się, Henrysiu, nie napieraj się Ewuńciu.... chłopcy, jak chłopcy, wy jednak macie w Olesi przykład, który naśladować należy... Brzydko, kiedy panienka obżartuchem jest....

To samo działo się przy obiedzie, przy podwieczorku i przy wiecerzy. Olesia podawaną była za wzór, którego powód istotny ukrywał się w szafce,

będącej składem specyałów rozmaitych, udzielanych jej przez matkę pod sekretem, a pod postacią nagrody za grzeczność, albo raczej premii za kochanie.

— Dałabym—powiadała jej matka—i Henrysi i Ewuni, gdyby one mnie tak kochały jak ty...

Olesia przeto zajmowała w Chrustowie stanowisko wyodrębnione i uprzywilejowane, tak pod względem kochania samego, co byłoby rzeczą bardzo naturalną, jakoteż pod względem okazywania miłości, co było rzeczą także naturalną, dowodzącą jednak, że pani Tulicka puszczała miłość swoją samopas, bez kielznięcia takowej rozwągą. To ostatnie objawiało się także i winnych kierunkach. Wychowanie nie ogranicza się odżywianiem. Ważną w niem rolę odegrywają: dawanie dzieciom fundamentów moralności i nauczanie. Co do pierwszego, pani Tulicka wybrała drogę utartą, trzymając się recepty ogólnej, zalecającej: pacierz, katechizm i moralizacyę, z dodatkiem kar urozmaicanych, hojnie szafowanych. A i moralizacya hojnością się odznaczała. Była to żyła złota, której ciocia nie odstępowiała z łatwością, gdy na nią natrafiła. Zdarzyło się, naprzykład, raz Michasiowi do szafki się dorwać i pierniczek zwędzić. Zdarzenie to podało treść do gadania, za trzema nawrotami, przez godzin trzy i ten sprowadziło skutek, że po godzinie pierwszej gadania Michaś przeraził się wielkością popełnionej zbrodni i szczerze się zmartwił, po godzinie drugiej znudził się, po trzeciej postanowił sobie wędzić pierniczki ile tylko razy okazyja po temu się nadarzy. Ciocia jednak wymownie, przekonywająco dowiodła dwóch mianowicie rzeczy: najprzód, że Michaś dopuścił się łakomstwa, powtóre, że popełnił kradzież, i ukazywała mu w perspektywie na-

stępstwa straszne, przerażające, do których doprowadzi go niezawodnie droga, na którą wszedł. Ukażała mu ni mniej, ni więcej, tylko... szubienicę.

— Popraw się, Michasiu... popraw... były jej słowa. Masz jeszcze przed sobą czas... Zapatruj się na Olesię... ona nie dopuszcza się niczego podobnego, bo ona mnie kocha...

Przekonywała, groziła, prosiła, zaklinała, ale... przesadziła. Znudziła, zniecierpliwiła, zresztą przysmaki w szafce chowane takim urokiem owocu zakazanego otoczyła, że Michaś przy pomocy Henrysia i Gucia, doszedł sposobu dobierania się do takich bez otwieraniu drzwiczek. Skończyło się to fatalnie. Pani Tulicka, spostrzegłszy się na znikaniu pierniczków i sucharków, bakalii i rodzyneków, śledzić i dochodzić zaczęła, a nie doszedłszy niczego, zwróciła się z podejrzeniem przeciwko myszom i nastawiła na takowe truciznę. Dzieci truciznę zjadły. Szczęściem nie wszystkie w równej zażyły ją dozie, dla tego też Henrysia i Gucio ocalały, Michaś tylko jeden na mogiłki wywędrował. Był to dla pana Marka cios nowy, który spadł na niego w lat cztery po śmierci żony i sprawił na nim wrażenie głębokie. Zachwiał się w moralnej istocie swojej, jakby równowagę stracił.

— Szczęście—rzekł sam do siebie—że mi Bóg tę siostrę nadarzył. Bez niej... cóżbym począł!..

Pan Marek nie wiedział, że dziecko do grobu poszło otrute. Nie wiedziała o tem i pani Tulicka, pomimo, że zniknięcie zaprawionego arsenikiem ciasteczka w oczy jej wpadło i zrazu ją zastanowiło, tak dalece, że uczyniła sobie zapytanie:

— Czyżby?.. Ale nie!.. wnet odpowiedziała.— Szafka zamknięta, kluczyki u mnie... nikt inny, tyl-

ko myszy truciznę zażyły... Tak, myszy, niezawodnie...

W przekonaniu tem utwierdziło ją jeszcze i to, że wraz ze zniknięciem ciastka arsenikowego, zniknąć przestały pierniczki i sucharki. A przypuszczając nawet, iżby się domyślała, że sprawcą zniknięcia arseniku był Michaś, to—i cóż? Są ludzie tak szczęśliwi, którzy za wszelkie błędy, grzechy, występki i omyłki, jakieby popełnić mogli, mają sobie udzieloną z góry absolucyę w imieniu własnem. Ludzie tacy błędzić nie mogą—i nie błędzą, grzeszyć nie mogą—i nie grzeszą. Do błędzenia i grzeszenia brak im jednej rzeczy, bardzo ważnej: intencji. Intencye ich bywają najlepsze, jeżeli przeto za ich sprawą robi się co złego, to złe to robi się samo. Obwiniać ich nie można, a tylko strzedz się należy i, zwłaszcza, jak najdalej od dzieci trzymać, od dzieci, które oni trują, jeżeli nie arsenikiem, to językiem.

II.

O małym nieboszczyku odzywała się pani Tulicka tak:

— Biedny chłopczyzna... no, cóż robić! zrzędzenie boże... Nie ma jednak tego złego, coby na dobre nie wyszło... Michaś jaknajgorsze okazywał skłonności, mógł przeto, wyrósłszy, sprawić ojeu zmartwienie wielkie... to i lepiej, że go Stwórca zawczasu do chwały swojej zabrał... Natura dziecka tego była zła, bardzo zła....

Któż ją zrobił złą?

Lepszą może była natura innych dzieci, tego czworga co przy życiu pozostały? Bynajmniej. Pani

Tulicka uskarżała się na nie. Nazywała je niewdzięcznymi i tłumaczyła to sobie: taką to już naturą.

Najpierwszy sprzeniewierzył się Stanisław. Chłopiec podrastał. W podrastających chłopcach objawia się zazwyczaj pewien rodzaj egoizmu, będącego zaczynem ambicyi, która, stosownie pokierowana, do najlepszych doprowadzić może rezultatów. Rozsądnej matki egoizm ów nie zraża. Zwalcza go ona miłością, którą daje bezinteresownie. Pani Tulicka z miłością swoją obchodziła się, jak lichwiarz z kapitałami wypożyczanymi, dający dukaty obrzynane, a domagający się od wierzyciela gotówki w monecie jaknajlepszej, z procentem jaknajwiększym. Kochania jej gatunek nie był nader dobry. Domagała się jednak zwrotu onego w czystości brylantowej. Domagała się, ażeby ją dzieci pana Marka wielbiły na kolanach.

— Ja się dla nich poświęcam.... było jej przekonanie.

I na podstawie przekonania tego, wydała na Stasia wyrok:

— Należy go z domu wydalić, ażeby rodzeństwa młodszego nie gorszył...

Oddano go do szkół publicznych i umieszczono na stancyi u nauczyciela języka łacińskiego.

Dla Stasia byłoby to zbawieniem, gdyby w nauczycielu, pod którego dozór się dostał, znalazł był człowieka pojmującego zadanie nauczycielskie. — Niestety! pan Hakiewicz poszedł drogą pedagogiczną dla tego tylko, że został na nią wepchnięty. *Sic fata tulerunt*. Rojenia jego młodociane, w czasach kiedy do *rigorosów* stawał, miały za cel koncypienturę. Nie ziściły się jednak, z powodów od

niego niezależnych. Musiał zostać nauczycielem, biorąc zadanie swoje w znaczeniu jarzma, w którym szedł, bo innej rady nie było. Pełnił też funkcję swoją mechanicznie, tak w klasie jak w domu. Był to malarz, malujący kwiaty, pejzaże i postacie, wedle patronów kolejno przykładanych. Pani Tulicka przywiozła mu Stasia z zaleceniem następującem:

— Powierając panu dobrodziejowi dziecko, mam sobie za obowiązek przedstawić je takim, jakim ono jest... Pomówię z panem otwarcie... otwartość to słabość moja... Jestto chłopiec zepsuty...

— Tak, pani dobrodziejko... Któż, mianowicie zepsuł go?..

— Nikt, panie dobrodziejku... zepsuty z natury...

— W jakimże, mianowicie, kierunku?... rozpieszczony?..

— Tak... hm... zapewne... trochę i rozpieszczony... To moja wina, przyznaję się do takowej otwarcie... Dzieci zostały bez matki... sieroty... trudno było nie mieć serca dla nich... Przygarnęłam je, przytuliłam i otrzymałam w zamian... niewdzięczność!..

Wyraz ostatni z takim wymówiła naciskiem, że Hakiewicz aż się zląkł i zawołał:

— Al!.. to wielka przywara!

— Otwarcie panu dobrodziejowi mówię o niej, raz, że nieotwartą być nie umiem, powtore, że pan dobrodziej potrzebujesz znać temperamenta, zalety i wady dzieci, opiece jego powierzanych... Spodziewam się, że pan Stasia poprawisz...

— O... no... i ja się tego spodziewam... My posiadamy sposoby...

— Owóż ja na sposoby te liczę... Środki domowe okazały się bezskutecznymi... Robiłam wszystko,

com mogła, ażeby w sercu tego dziecka obudzić uczucie... Spodziewam się, że pan dobrodziej...

— Będziemy się starali, pani dobrodziejko...

Pan Hakiewicz, poinformowany w ten sposób, wziął się odpowiednio do naprawiania przywary, która w istocie nie istniała wcale. Ażeby nieistniejącą naprawiać, należało ją stworzyć, wywołać. Jest u nas przysłowie: „Jeżeli ci trzej powiedzą, żeś pijany, idź spać“. Pan Hakiewicz jak zaczął chłopca ostrzegać przeciwko niewdzięczności, jak zaczął go morałami karmić i karami ścigać, tak i wyrobił w nim, nie niewdzięczność wprawdzie, ale rodzaj pewien zawziętości do ciotki, za postawienie go w pozycyi fałszywej. Chłopak zawziętość tę okazywał na wakacyach. Wzrastała ona z latami, a punktem wychodnim onej było buntowanie sióstr przeciwko opiekunce. Gdy te, naprzykład, mitygowały go, kiedy coś zakazanego przedsiębrał, powiadając:

— Ciocia będzie się gniewała...

— Co mi, ciocia!.. odpowiadał.

I ku zgrozie, ku zgorszeniu Henrysi i Ewuni, wyszukiwał w pani Tulickiej strony śmieszne i wytykał takowe.

Dziewczeta wygadały się przed Olesią, Olesia powtórzyła matce—i zawrzała głucha wojna domowa. W wojnie tej, pani Tulicka z córką stanowiła obóz, który wzmacniała za pomocą przybierania sprzymierzeńców z rodziny Szamotów, przypuszczając do łask szczególnych, to Henrysię, to Ewunię, to Gućcia, bądź pojedynczo, bądź też po dwoje, bądź znów wszystkie razem. Zależało to od potrzeby, humoru i fantazyi. Czasami odpychała Szamocięta wszystkie i pozowała na ofiarę. Wówczas Henrysia i Ewu-

nia musiały w pokorę uderzać i ciocię o przebaczenie błagać.

Wychowywanie takie odbiło się na nauce.

Wychowanie do nauki ma się, jak sos względem substancji, stanowiącej potrawę. Wychowanie odpowiednie naukę umila i upożytecznia. To też, napróżno pan Marek przyjmował i opłacał nauczycieli i nauczycielki. Nie zdołali oni przemienić sosu, w którym nauczanie pływało: pożyteczność ich przeto ograniczała się na tem jedynie, że udzielili uczennicom i uczniom wiadomości w szczupłym zakresie, otwierając szerokie domysłom pole. Pani Tulicka dozorowała szczególnie Olesi; ale... chodziło jej przedewszystkiem o to, ażeby jedynaczce swojej nadać polor, i dla tego wymagała, ażeby ją uczono szczególnie: języka francuzkiego, muzyki i tańców. Trzy te przedmioty, były to przedmioty główne, inne czepiały się ich dodatkowo, udzielając się bardziej dla tego, że stanowiły niejako atmosferę dworu w Chrustowie, aniżeli dla tego, ażeby potrzeba ich uznawaną być miała.

— Od czegoż książki!.. powiadała.

Pan Marek posiadał księgozbiór, który częścią dla tego, że isam miał dla książek szacunek, bardziej zaś dla tego, że do nabywania takowych wciągnął się za życia nieboszczki żony, zbogacał corocznie ilością pewną dzieł, należących przeważnie do działu belletrystyki. Nie było tam doboru szczególnego, nie brakło jednak autorów cenniejszych z epoki Stanisławowskiej i Mickiewiczowskiej. Te to książki miała pani Tulicka na myśli, uważając je za materiał dostateczny do dokompletowania edukacji, zarysowywanej przez trzy guwernantki i jednego guwernera, którzy z kolei lat ośmiu przesunęli się



przez Chrustów, z przerwami trwającemi raz dłużej, drugi raz krócej. Zdarzyło się, że rok cały dzieci uczyły się same; zdarzało się i tak, że się nie uczyły niczego pomimo obecności nauczycielki. W naukach nie było ani ciągu, ani systemu: odbywały się dorywczo, sposobem chwytanym i stosowały się całkowicie do Olesi, która w koncercie tym bezładnym prym wiodła od początku do końca, służąc kuzynkom za przykład do naśladowania im podawany.

— Zapatrujcie się na Olesię—powtarzała pani Tulicka—jak ona korzysta!.. jak gra!.. jak tańczy!.. jak pilnie czyta!..

Olesia mówiła po francuzku dość biegle, na fortepianie brzdąkała, solowych tańców parę egzekwowała i w rzeczy samej pilną czytelnicą była.

Przykład ten oddziaływał, zwłaszcza co się czytania tyczy. Panienki ustawicznie z książkami się nosiły, czytując takowe po kątach, w ogrodzie i w łóżku. Pochłaniały autorów szkoły romantycznej, studyowały Balzaka, Lamartina, Georges Sand, Wiktora Hugo, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Kraszewskiego, Korzeniowskiego; poezyi uczyły się na pamięć, karmiły sobie wyobraźnię, bujały w eterach, i w końcu zachęczone przykładem Olesi, która mamie na imieniny powinszowanie zwierszowała, tworzyć poczęły piosenki, ballady i apostrofy tytułowane tajemniczo: „Do“.

Ośm lat ubiegło, i w Chrustowskim dworze zadanie edukacyjne rozstrzygnęło się zupełnie. Olesia skończyła lat siedmnaście, wyrosła, sformowała się, wypiękniała i odbijała bardzo korzystnie od kuzynek, z których starsza, Henryka, o rok jeden o niej młodsza, nie stawiała bynajmniej jako spół-

zawodniczka we względzie wdzięków niebezpieczna, młodsza zaś zaczynała dopiero rok czternasty.

Zadanie edukacyjne rozstrzygnęło się tak dla dziewcząt, jak dla chłopców.

Stanisław szkół nie kończył, Gustaw nie zaczynał. Z tym ostatnim rzecz poszła w odwłokę. Miano go do szkół oddać i dużo nawet o tem mówiono. Był za tem pan Marek, nastawał na to, odzywając się do Gucia kiedy niekiedy półzartem:

— A zbieraj-no się, mospanie... pora do szkoły...

Półzarty owe, szczerą intencją nabrzmiałe, dawały pani Tulickiej powód do długich rozpraw, których tematem był: zgubny wpływ szkół na chłopców. Podług niej, szkoły były to miejsca zatracenia, jaskinie łotrowstwa, zakłady urabiające zgorzenie.

— Gdybym syna miała—były jej słowa—nie oddałabym go do szkół za żadne świata skarby...

Piła—jak to powiadają—do Stanisława, tylko przez delikatność, ażeby serca ojcowskiego nie zranić, imienia jego nie wymieniała.

— Nauki!—powiadała. Zkąd-że to nauki profesorowie wykładają?.. czy nie z książek?.. Kto z nich korzysta?.. czy nie ten, co chce?.. Ten więc co chce w naukach się kształcić, czytać umiając i książki mając, może się mędrceć zrobić i bez szkół i bez profesorów...

Rozwodziła się nad towarzystwem źle dobranem, nad zgubnymi przykładami, nad niedbalstwem dozoru ze strony przełożonych.

— Szkoły są na to—było jej zdanie—ażeby rodzicom, którzy sami nad dziećmi czuwać nie chcą lub nie mogą, kłopot z głowy zdejmować... Wypchną chłopca z domu i pozbyli się ambarasu..

Troskliwi jednak rodzice dwa razy pomyśla, zanim zdecydują się na krok, zagrażający zgubą dziecku... Co do mnie, mówię otwarcie, gdybym syna miała, wolałabym, ażeby pod okiem mojem wyrósł na głupca, ale uczciwego, niż żeby zostać miał rozumnym, ale łajdakiem... Takie moje zdanie... U mnie uczciwość trzyma miejsce pierwsze, po niej dopiero idzie rozum... Moralność przedewszystkiem...

Pan Marek nogą kiwał, fajkę palił i nic nie odpowiadał.

— Moralność przedewszystkiem... prawiała pani Tulicka. Wiem ja, że świat terazniejszy inaczej się na tę kwestyę zapatruje, ale też... świat terazniejszy!.. Co to za zepsucie!..

Wysławiała edukacyę domową, — przytaczając przykłady liczne ludzi, co do szkół nie chodzili, a przecie chlubę rodzajowi człowieczemu przynoszą. W przytaczaniu przykładów, zaczynała od sąsiadów, od hrabiów X., od baronów Y., od książąt Z., wymieniała następnie znakomitości narodowe i europejskie, a kończyła na Bogu.

— Chrystus pan — powiadała — czy chodził do szkoły jakiej?... Edukacyą jego zajmowali się: prosty cieśla i matka, a przecie, każdy to przyzna, edukacya Chrystusa Pana jest najwyższym, najszczytniejszym i najlepszym wzorem... Trzymajmyż się wzoru tego... Nie bądźmy Faryzeuszami, co to przykład uznają, ale we względzie wykonania uciekają się do sofizmatów, dla tego tylko, że wygodniej dziecko w cudze oddać ręce, zapłacić i nie troszczyć się, co się z niem stanie...

Pan Marek nogą kiwał, fajkę palił i nic nie odpowiadał. Silnem postanowieniem jego było: oddać Gucia do szkół. Odkładał jednak z roku na rok,

i to nie dla czego innego, jeno dla przeszkód jakiches nieprzewidzianych, które zachodziły za każdym razem, gdy się rok szkolny rozpoczynał. Raz zajechali goście i bawili przez tydzień cały. Drugi raz wypadła właśnie sprawa graniczna, w której pan Marek prezesował. Znów, sąsiad córkę wydawał i na wesela zaprosił. To znów rozpoczął się był nadzwyczajnie interesujący preferansik, w którym jeden z partnerów, grając ustawicznie, ustawicznie przegrywał i doszedł tym sposobem do kilkunastu tysięcy punktów. Ciekawą była rzecz, jak się to skończy. Przegrany wezwał Gucia, ażeby miejsce jego zajął. Jak tylko Gucio karty do rąk wziął, natychmiast się szczęście odmieniło: zaczął wygrywać i odegrał partnera zupełnie. Preferansik ów, po którym w okolicy wspomnienie pozostało, rozpoczął się był właśnie we wigilię dnia, przeznaczonego na wyjazd do szkół i trwał z przerwami przez dni cztery. Przeszkodą ostatnią był deszcz ulewny, z piorunami i gradem. Pioruny wprawdzie szkody nie sprawiły żadnej, ale grad stłukł do szczętu piętnaście morgów i zupełnie panu Markowi z pamięci wybił, że miał syna do szkoły odwiedzić. Przypomniał sobie o tem pan Marek dopiero w miesiąc później.

— A!.. zawołał—bodaj to dyabli wszyscy porwali!

Odłożył rzecz na rok następny i w kalendarzu zanotował.

Cóż ale! W ciągu roku tego Gucio wi wasy się zasiały, aż miło.

Wraz z pojawieniem się tej ozdoby oblicza męskiego, chłopak poczuł w sobie bożą wolę. Kochać się począł, wybrawszy za przedmiot zapałów miłosnych sąsiadkę o lat siedm starszą od siebie. Zwie-

rzył się z tem przed Ewunią, Ewunia wiadomości tej udzieliła pod sekretem Henrysi, Henrysia powiedziała Olesia, Olesia matce, ta zaś ostatnia panu Markowi, który przez nos czmychnął, głową lekko kiwnął i z ust rzucił wyraz:

— Głupstwo...

— Zgadzam się w tem z bratem kochanym—odparła pani Tulicka. Ale...

— Przecież to smarkacz, a to panna na wydaniu.

— Słusznie brat kochany powiada.... Panna jednak i nie brzydka, i nie najgorzej wychowana, i nie bez posagu... Ztąd widać, że Guccio ma gust dobry i wybrać potrafi, pomimo, że w szkołach nie był... Czemuż to Staś nie myśli?... Staś ma już lat...

— Dwadzieścia—podpowiedział pan Marek.

— Dwadzieścia? — podchwyciła pani Tulicka ze zdumieniem.

Zdziwienia pani Tulickiej powodem było to, że pomiędzy Stasiem a Olesią zachodziło, co do wieku, miesięcy trzy różnicy. Olesia o miesięcy trzy starszą od Stasia była. On miał lat dwadzieścia, i ona miała lat dwadzieścia. Po Stasiu szła Henrysia—lat ośmnaście, po Henrysi Ewunia—lat piętnaście, po Ewuni Guccio—lat czternaście. P. Tulicka szybko w myśli obrachunek ten zrobiła, oczy jej zamigotały — i odrzekła:

— Mój Boże!... jak też to, proszę brata kochanego, czas szybko biegnie!... Toć Olesia moja, taką rzecz, ma już lat...

— Dwa... zaczął pan Marek.

— Siedmnaście — podchwyciła. Tak... siedmnaście, a raczej siedmnasty.... pamiętam bowiem doskonale, ona przyszła na świat i wkrótce jakos

potem, we dwa czy we trzy miesiące później, nieboszczka bratowa powiła syna...

— Stasia...

— Ale gdzież tam!.. Brat kochany zapomniał chyba... Ot co!.. Nie Stasia, ale nieboszczyka Michaśia... Ja powiłam Olesię, a bratowa powiła Michaśia... Gdzież Stasia!.. Jeszcze co!.. Olesia moja będzie miała lat siedmnaście...

— Pora za męż— rzekł pan Marek z uśmiechem.

Pani Tulicka westchnęła.

Wiedziała ona o tem od lat trzech i nie dla czego innego córkę wychowała, tylko na to, ażeby ją wydać. Tu jednak zachodził sęk. Wydać? Kiedy po raz pierwszy zapytanie te sobie zadała, w odpowiedzi na nie stworzyła ideał zięcia, człowieka młodego, dobrze wychowanego, przyzwoitego, łagodnego, poczciwego, statecznego i niebardzo ubożego. Życzenia jej były umiarkowane i skromne; z biegiem atoli czasu wzrastały powoli, a to dla tego, że Olesia wydawała się jej doskonałością, do której mąż powinieuby choć trochę się stosować. Do zalet przeto wyżej wymienionych, które uważała za warunek *sine qua non*, dodała najprzód ród, następnie majątek. Co się rodu tyczy, zaczęła od „dobrego szlachcica“.

— Na to teraz niby nie zważają.... postępowce... powiadała sobie, wymawiając wyraz ostatni z przekąsnym naciskiem — ale przecie, coś to znaczy... Gdyby znaczyć nie miało nic, toćby szlachty nie było; kiedy jest, to lepszy szlachcic niż kto inny... byleby się nie chwalił i nie wynosił...

Wyszła więc z punktu „dobrego szlachcica“ — człowieka młodego, dobrze wychowanego, przyzwoitego, łagodnego, poczciwego i nie bardzo ubożego.

A to samo rozumowanie, które jej na myśl „dobrego szlachcica“ nasunęło, nasunęło następnie barona.

— Baron?.. nie!.. zawołała. U nas, Bogu dzięki, hrabiów jest tyle!.. Moja Olesia... hrabina... o! Boże jedyny...

Uśmiechała się sama do siebie, z radości, z rozrzewnienia, z rozkoszy.

— I cóż to niepodobnego?.. Hrabina...

Kiedy jednak Olesia powinszowanie jej na imieniny wierszami ułożyła i takowe oddeklamowała, rozplakało się matczyisko i wnet rojonego zięcia o szczebel jeden podniosła.

— Nie hrabina lecz księżna... księżna... księżna... księżna pani...'

Naznaczyła sobie do Matki Bożej nowennę, koronki i różaniec. W odmawianych litaniach, których skuteczności doświadczyła, przed prośbą: „Od nagłej i niespodziewanej śmierci“, dodawała: „Od tego, żeby mężem Olesi był nie książę, zachowaj nas, Panie“ Słowem zrobiła wszystko, co zrobić było można i co za pożyteczne uważała.

Co do majątku, ten wzrastał odpowiednio do pożądań rodowych. Zięcia pierwotnie pragnęła „nie bardzo ubogiego,“ następnie dosyć zamożnego, dalej zamożnego, hrabiemu pozwalała na fortunę donośną, od księcia atoli wymagała, ażeby był bogatym, dobrze bogatym.... milionowym.

— Co po tytułach bez majątku?.... A że Olesia wstydu nie robi i od milionów dobrze będzie odbijała, tego więcej jak pewną jestem.... Taki skarb jak ona!.... czyż są do opłacenia jej miliony?

Sięgała rojeniem jeszcze wyżej. Bywały momenty, w których książę nie wydawał się ręki jej córki godnym. Błąkała się myślami po tronach,

npatrując na takowych konkurentów. Myślała o rodzinie Napoleońskiej, o królewiczach angielskich, o Burbonach hiszpańskich, o następcy tronu szwedzkiego. Odpychała jednak te myśli, dla tego jedynie, iż nie przewidywała sposobności, ażeby która z tych gwiazd pierwszej wielkości pojawić się miała na horyzoncie Chrustowa i zoczyć Olesię.

— Co tam!—mówiła sama do siebie z westchnieniem.—Gdy Olesia księżną zostanie, wówczas.... zobaczy ją królewicz i cesarzewicz nie jeden. Wówczas atoli.... będzie już poniewczasie.

Kiwała głową, litując się nad królewiczami i cesarzewiczami.

Co się zaś zięcia książęcego tyczy, tego pewną była. Śnił się jej, w tygodniu każdym najmniej raz, jakiś... książę Albert.

— Moje dziecko—przemawiała od czasu do czasu do córki na dzień dobry—co to znaczy? Pojąć nie mogę! Znów mi się książę Albert śnił.

A pewność ta na niewzruszonej oparła się podstawie, kiedy, razu pewnego, Olesia matce odpowiedziała:

— Mamuniu droga! i mnie się śnił książę Albert.

— Cóż ty na to?—zawołała p. Tulicka tonem półtryumfalnym.

— Ja nie wiem.

— Jest to jednakże rzecz zastanawiająca, nadzwyczajna.

— Nadzwyczajna, mameczko.

— I jakże tu w sny nie wierzyć? Kiedy mi się po raz pierwszy książę Albert przyśnił, to przed tem ani mi w myśli powstał. Przyznaję się, że potem nieraz o nim myślała. Aż oto, śni się znów tobie. Więc cóż? Cóż ty na to?

- Nic, mameczko najdroższa.
- Cóż tam, ten pan Zgrzebłowicz czy Zgrzeblewicz?
- A nic.
- Towarzyszył ci wczoraj w ogrodzie...
- Wyszliśmy po herbacie z Henrysią i Ewunią i on przyszedł do altanki.... i tak.... niby....
- Cóż przecie?
- Henrysia odeszła, Ewunia także, on pozostał i...
- I co?
- Chrząkał, dziwnie jakoś na mnie spoglądał, chciał coś mówić, ale....
- Nie mówił nic?
- Owszem. Mówił o zapachu róż w ogrodzie wujaszka, o tem że woli fijołek aniżeli różę, o drodze dobrej.... zapytał mnie o książki, które w ręku trzymałam.
- Cóż to była za książka?
- *Contemplations* Wiktora Hugo.
- Cóż on na to?
- Powiedział: Ne pro mene pysano.
- A ty co na to?
- A cóż! mameczko. Nic nie mówiłam. Zgrzebłowicz po francuzku nie umie.
- Tak więc, siedział sobie?
- Siedział, chrząkał, dziwnie jakoś na mnie spoglądał, chciał coś przemówić, ale.... zdaje się.. jakby nieśmiały.
- Spodziewam się! — zawołała p. Tulicka. Jakiś Zgrzebłowicz, proszę kogo! Coś się tam po głowie wić musi, sam jednak czuje, że „ne dla psa kowbasa, ne dla kota sało.“
- Olesia odchrząknęła, jakby się do przemówienia zabierała. Pani Tulicka zapytała:

— Co, moje dziecko?

— Nic, mamuniu.

— Sama przyznajesz, że to partya nie dla ciebie?

— Jak mamunia uważa.

— Gdyby mi bowiem o to chodziło, żeby ciebie, moje życie, za mąż wypchnąć, to już oddawna zrobiłbym to mogła.... Ten doktor... pamiętasz?... ten adwokat? ten Stanisława kolega? Każdy z nich byłby cię wziął z pocałowaniem ręki. A teraz, ten Zgrzebłowicz, z oczu mu widać, z boku to obserwuję, ledwo mu ślipia nie wylecą, tak się w ciebie wpatruje, ale, niechże się zdrów wpatruje sobie. Bo najprzód: Zgrzebłowicz... Zgrzebłowicz? Powiedz sama, to coś stajnią pachnie; a potem, wychowanie: po francuzku to się nawet nie nauczyło; a dalej, lat trzydzieści sześć najmniej, ojcemby twoim być mógł; a na ostatku, cóż? dzierżawą chodzi. Prawda, że dzierżawa duża i liczą go na tysięcy ośmdziesiąt, ale, cóż to dla ciebie!... Ty, życie moje, idziesz u mnie nie na tysiące, ale na miliony.

Przy tem słowie matka z córką uściskały się serdecznie.

— Miliony, mój skarbie.

— Mameczko najdroższa! Ja bez ciebie nie chcę.

— Ani za mąż?

— Ani do raję.

— Jakżeżby Stwórca — podchwyciła p. Tulicka — przywiązania podobnego wynagrodzić nie miał! Nie, książę Albert napróżno śnić mi się nie może. Niema się zresztą co spieszyć. Masz lat siedmnaście.

— Mamo! — podchwyciła Olesia tonem protestacyi.

— Masz lat siedmnaście — powtórzyła matka ze

znaczącym naciskiem—możesz więc czekać, aż się kto trafi godny ciebie. Ale — dodała — za tem nie idzie, ażebyś dla Zgrzebłowicza niegrzeczną być miała. Bądź dla niego grzeczną, a jeżeliby ci do zrozumienia dał, że o ręce twojej myśli, odeszlij go do mnie—odeszlij go do mnie—ja mu odprawę dam, no...

— Co to za szczęście wielkie mieć matkę taką!— odezwała się Olesia z westchnieniem, wzrok w górę podnosząc.

— Moje ty dziecko drogie!

— Moja mamusineczeczko najmiłsza!

W dniu tym samym przy wieczerzy, przy której sami jeno zasiadali domowi, zaszła scena na poły *furioso*, wywołana niechęcią przez Stanisława. Ten, od dawnego już czasu, względem sióstr, względem ciotki i względem kuzynki, przybrał ton drwiący, którym wszystkie z niemi rozmowy prowadził. Ten ten miał swoją rację bytu. Przyczyna onego tkwiła w kierunku, nadanym wychowaniu przez tę, co się matkę zastąpić podjęła. Był to więc odwet, sprowadzony drogą naturalną. Zamiast miłości owej, wytkniętej jako wychowania cel główny, sztyderstwo. Stanisław nie umiał na seryo do niewieściej połowy rodzeństwa własnego przemawiać. I obecnie, podżartowywał z Henrysi, podżartowywał z Ewuni, posyłał rykoszety Olesi, wkońcu odezwał się, nabierając sobie zrazów na talerz:

— Wielka nowina!... kto ciekawy, niech chrząknie, do ucha mu ją szepnę.

— Ja nie ciekawam — odezwała się panna Henryka.

— Ani ty?—zapytał Stanisław Ewuni.

— Ani ja.

— Ani prześliczna kuzyneczka?

Olesia, tknięta snadź przymiotnikiem, który miał zakrój uszczypliwy, odchrząknęła.

— O... podchwycił Stanisław—dobra. Po wieczery przeto pójdziemy tam, gdzieby nas nikt nie słyszał i powiem nowinę, która ciebie właśnie, piękna kuzynko, najmocniej obchodzi.

— Dziękuję — odparła panna Aleksandra, popierając odpowiedź minką nadaśaną.

— Chrząknęłaś przecie....

— Niechęący. Nie ciekawam wcale.

— Hm, pięknie. Jest to dla mnie rodzaj harbuza, udzielonego mi kolektywnie przez siostry rodzone i przez siostrę nierodzoną. Cóż ja, nieszcześliwy, zrobię z nowiną, którą obarczon jestem?—

— Powiedz ją w głos—wyrwała się Ewunia.

— Chyba że tak. A więc słuchajcie. Tyczy się to szczególnie zasiadających przy stole tym panien na wydaniu, zaczynając od Ewuni, lat piętnaście, przechodząc do Henrysi, lat ośmnaście i kończąc na najuadobniejszej i najlaskawszej kuzyneczce dobrodziejce, której wieku nie dotykam przez wzgląd na...

Rzucił okiem na ciotkę — ta oczami niby zarzewiem świeciła; rzucił okiem na pannę Aleksandrynę—tej policzki w płomieniach stały. Uciał więc, uśmiechnął się i znowu zaczął przeciągając wyrazy: ..przez wzgląd na... hm... wrodzony niewiastom do tajemnie pociąg, pociąg który...

— Jabym — podchwyciła pani Tulicka, głosem w którym czuć się dawał wysiłek, pochodzący od powściągnięcia się—jabym, Stasiu kochany, pragnęła wyprosić u ciebie, ażebyś siostr twoich nie brał za przedmiot żartów.

— Ciocia kochana wcale mi nie prosić nie potrzebuje, dosyć rozkazać.

— O! rozkazy moje....

— Gotówem je spełniać w pokorze jak największej. Proszę spróbować.

— Spróbować!—odezwała się p. Tulicka z przekonaniem. Gdybym przykłady prób przytoczyła....

— A... bo widzi ciocia kochana: nie nie masz bardziej względnego nad rozkaz. Gdyby mi ciocia kazała na księżyc się dostać i nowin stamtąd przynieść, nie posłuchałbym, rzecz naturalna; gdyby mi ciocia kazała kochać tego lub tę, nie posłuchałbym, rzecz naturalna; lecz gdyby mi ciocia kazała tych oto zrazów nie jeść, posłuchałbym natychmiast, złożyłbym widelec i gębę zamknął, a nawet takową zasznurował, jak nadąsana panna na wydaniu.

— Ty wiesz bardzo dobrze—podchwyciła pani Tulicka—że ja nie jestem zdolną do dawania rozkazów nierozsądnych...

— Ja nie wiem, ciociu kochana... a mówię tak, w ogólnikach, po które sięgam aż na księżyc....

— Dajmy lepiej temu pokój... i bądźmy seryo...

— Dobrze... poddaję się rozkazom cioci drogiej i na seryo powiadam, że obarczony jestem zleceniem, tyzącym się sióstr moich, zarówno jak i kuzyneczki...

— Od kogo?..

— Proszę zgadnąć...

— Od Helenki!—wyrwała się Ewunia...

Helenką mianowała się ta panna z sąsiedztwa, do której, „niby ptak do słońca,“ strzepnęło się serce czternastoletniego Gucia,

— Ale a!.. Panna Helena mnieby zlecenia da-
wała!..

— Od kogóż?..—zapytała panna Henryka.

— Od kawalera...

Panny w śmiech, a Stanisław na to:

— Słowo honoru... Zresztą, co tam w zagadki
się bawić!.. Rzecz taka: pan Andrzej Zgrzebłowiec
prosił mnie, ażebym wyrozumiał, która z obecnych
tu panien życzyłaby sobie ręką go swoją uszczęśli-
wić...

— Zgrzebłowiec?... rzucił zapytanie pan Marek,
w milczeniu dotychczas dary boże spożywający.

— Zgrzebłowiec, tatku... Prosił mnie, a że pro-
sił grzecznie i zdaje się szczerze, przeto nie rozu-
miałem powodu, dla którego bym prośbie jego uczynić
zadość nie miał...

— On to więc rozpoczyna szereg konkurentów—
były pana Marka słowa, w rodzaju uwagi wyrze-
czone.

— Ach! nie on—podchwyciła pani Tulicka.

— Nie on?...

— Byli już przecie tacy, co... pomimo, że wyraźnie
nie występowali... jednakże...

— To jest — odrzekł Stanisław — niewyraźnie
występuje każdy, kto na próg domu naszego wchodzi
nie wyjmując żonaty, z których nie jeden, jak
przypuszczać można, radby się z małżonką swoją
rozstać się a którą z panien naszych za żonę pojąć...
pan Prosiątkowski naprzykład, przez panią Prosiąt-
kowską czubiony, jak fama niesie.

— Ty to coś zawsze wynajdziesz—odezwała się
panna Henryka.

— Państwa Prosiątkowskich nie wynalazłem,
jako też i tego nie wynalazłem, że pan Prosiątkow-

ski wolałby panią Prosiątkówką taką, co nie czubi, aniżeli taką, co czubi...

Odpowiedź ta nadała weselszy nieco obrót rozmowie, która byłaby się zapewne w tym tonie utrzymała, gdyby Stanisław nagle znów się do Zgrzebłowicza nie zwrócił:

— No i pana Andzeja Zgrzebłowicza nie wynalazłem. Wynalazł się sam i powiada, że dla gospodarstwa, całej jego pieczołowitości wymagającego, nie ma czasu w romanse się bawić. Ewunia, Henrysia i kuzyneczka podobają się mu jednakowo. Gdyby na to przystały, onby się zgodził węzełki ciągnąć i za pomocą węzełków połowić sobie zdobyć. Sam jednak uważa, iżby to była rzecz niesłychana, a zatem proponuje siebie, najprzód Ewuni, jeżeliby Ewunia nie zechciała, Henrysi, jeżeliby Henrysia nie zechciała, kochanej kuzyneczce.

Przy ostatniem tem słowie, pani Tulicka, która się dotychczas powściągała, nie wytrzymała dłużej i wybuchnęła:

— A cóż to—zawołała—pan Stanisław myśli sobie!

— Ja, ciociu kochana, nie myślę nic—zareplikował zaczepiony.

— To widać! dalibógże to widać! Gdybyś pomyślał nad tem co mówisz, tobyś impertynencyi w oczy panience młodej, kuzynce swojej nie ciskał.

— Imper-ty-nencyi?

— Cóż to. Jeżeli nie ta, to ta, a jeżeli nie ta, to Olesia?... Czy to ona ma komuś z nosa spadać?

— Spełniłem zlecenie, które na siebie wziąłem.

— Przekonaną jestem, iż Zgrzebłowicz ani nikt na świecie, nie odważyłby się podobnego dawać

zlecenia, jak również przekonaną jestem, iżbyś podobnego zlecenia nie przyjął. Ale ot, sprowadziła ci ślina na język drwinę z istoty słabej i panienki młodziutkiej, ze stworzenia, co się bronić nie zdoła i ty, mężczyzna, skorzystałeś ze sposobności... Winszuję ci, winszuję. Patrz na dzieło swoje!

Olesia tonęła we łzach.

— Patrz! ciesz się! tryumfuj!—mówiła i giestykułowała.

Henrysia i Ewunia zerwały się od stołu i do Olesi poskoczyły.

— Kontent'eś! tryumfuj!...

Stanisław się zmieszał, próbował jednak tłumaczyć się.

— Ciocia bo bierze tę rzecz ze strony—zaczął.

Ale pani Tulicka mówić mu nie dała.

— Gdyby nie obecność brata kochanego, którego martwić nie chcę, wiedziałabym ja, panie Stanisławie, jakim do ciebie językiem przemówić. „Czcij ojca i matkę swoją“ powiada czwarte boże przykazanie. Ja dla ciebie matką. Pamiętajże sobie—tu mu palcem pogroziła—że jak ty mnie tak pan Bóg tobie.

— Ciocia mnie do ściany przyciska.

— Przycisnęłabym ja ciebie, gdyby nie twój ojciec, którego czczę i szanuję.

Pan Marek spuścił głowę i milczał.

— O! przycisnęłabym ja ciebie.

— Ja w imieniu Zgrzebłowicza.

— Dosyć z tym Zgrzebłowiczem!

— Poczciwy człowiek.

— Niech sobie będzie najpoczciwszym, ale ani on dla Olesi, ani Olesia dla niego. Nie troszcz ty się i nie interesuj córką moją. Nie ma ona ojca, ale

ma mnie, a ja nie pozwolę, ażeby lada chłystek zęby nią sobie wycierał... Chodź, moje dziecko.

Wstała, z wyrazem pogardy wzrokiem od stóp do głowy Stanisława obrzuciła, wzięła szlochającą Olesię za rękę i wyszła.

Henrysia i Ewunia z gniewem i żalem na brata spoglądały.

— W rzeczy samej—słowa jego — Zgrzebłowicz prosił mnie, ażebym wyrozumiał Ewunię, Henrysię i Olesię, powiadając, że Ewunia za zbyt dla niego młoda, że Henrysia także za młoda, że, Olesia byłaby najodpowiedniejszą.

Pan Marek głową pokiwał i uśmiechnął się:

— Ja też nie spodziewałem się, żeby się ciocia obrazić miała.

— At—była pana Marka odpowiedź.

Ręką machnął i fajkę sobie nakładać począł.

III.

Scena familijna, którą w poprzednim opisaliśmy rozdziale, nie była pierwszą. Sceny podobne powtarzały się często, zawsze prawie przy stole i w nieobecności osób obcych. To ostatnie było wielką w Chrustowie rzadkością. Goście ztamtąd nie wychodzili prawie. I mieli rację, było im tam bowiem jak — jakto powiadają — u pana Boga za drzwiami: i przestronnie, i wygodnie, i swobodnie, i miło, i wesoło. Wpadłszy do chrustowskiego dworu, nie chciało się opuszczać strzechy gościbnej, pod którą karmiono dobrze, pojono w miarę, obsłużiwano ohocho i bawiono serdecznie. Uroku osobliwego dodawały panienki, „milutkie jak

młode koteczki.“ Strona prawa medalu była, rzecz można, zachwycającą.

Panienkom czytanie w poezyi i powieściach bynajmniej nie szkodziło—owszem nadawało im, że się tak wyrażę, *tiurniurę* ponętą, nadawało im cechy zagadkowości, osłoniętej kształtami wcale powabnymi. Olesia, była to nader przystojna szatynka, smukła i szykowna; Henrysia przedstawiała inny rodzaj: była to blondynka o rysach nie nazbyt regularnych, ale okraszonych zdrowiem i wyrazem wesołości naiwnej; Ewunia odznaczała się wdziękami, posiadającemi magnetyczną siłę pociągu—włosy płowe z popielatym odcieniem, oczy fiołkowe, brwi mocno zarysowane, rzęsy długie, kibić wiotka i taka co to, zdaje się, o skrzydła jeno prosi, ażeby mogła w górę się unieść i z gwiazdką nad czołem, a z wianuszkiem laurowym na skroniach, gieniuszem przelatać. Każda z nich przytem, w oczach ludzkich niby kameleon się mieniła, przybierając się na pozory rozmaite: to sensacyi, to filuteryi, to egzaltacyi, to rozstrzepania, to przewrotności, to naiwności. Działo się to bez premedytacyi najmniejszej, bez cienia intencyi, któraby je o kokieteryę podejrzywać kazała. Istniała w nich kokieterya naturalna, wrodzona, gołębia, przepiórcza. Wystawiały na pokaz wdzięki, w jaki je natura ustroiła, zawijając takowe, stosownie do natchniona chwili, w obłoczystość zagadkową. Jedna nastrojała się na ton filozofki, zanurzając się głęboko w metafizyczne dociekania i wyrokując w kwestyach, których najpotężniejsze umysły rozstrzygnąć nie zdołały, z łatwością podziw wzbudzającą; druga odziewała się w szaty jaskrawe humoru i sypała uszczypliwe dowcipy niby z rogu obfitości; trzecia

udawała sentymentalną niewiastę, karmiącą się westchnieniami jak chlebem powszednim i kąpiącą się w eterze nasiąkłym srebrnem księżycą światłem. To znów role się zmieniały. Ta, co była filozofką, zmieniała się w humorystkę, humorystka zaś stawała się sentymentalną, a sentymentalna swawolną i śpiewającą. Wszystko to przychodziło samo przez się, wedle natchnienia, tak że nieraz w jednej i tej samej godzinie, każda z osobna bywała trzy, cztery... siedm razy jedną, nie przestając być sobą.

A dla gości—co za wylanie! Gdy o gościa chodziło, ktokolwiek on był, jedna drugą przyciągały, byle pobyt mu pod dachem chrustowskiego dworu uczynić jaknajmilszym.

To też goście byli chlebem powszednim.

Mimo Chrustowa, w ćwierćmilowej odległości przechodził gościniec, na którym ruch panował ustawiczny. Przy gościńcu stała karczma z zajazdem, a z po za niej wynurzała się droga wpływająca w gościniec i przechodząca mimo drogoskazu z napisem na przybitej z boku podłużnej deszczulce: „Zwrót do Chrustowa.“ Przejeżdżający gościńcem zazwyczaj się przy karczmie zatrzymywali, jedni dla wytchnienia koniom, inni dla popasów, niektórzy dla przenocowania. Od czasu jednak jak zajazd zajazdem, żaden w nim nie popasał ani nocował szlachcic. Z blizka czy zdaleka, który jeno przeczytał na drogowskazie napis, wydawał natychmiast furmanowi rozkaz:

— Nawracaj.

Z tego powodu pomiędzy panem Markiem a arendarzem zachodziły przy wypłacie rat — nieporozumienia. Arendarz pretensye rościł, że dwór

mu dochód uszczupla, i pan Marek ustępstwa stosowne czynić musiał, opuszczając procent pewien. Upuszczenie procentów z jednej, koszta gościnności z drugiej strony przynosiły straty podwójne, do których dodaćby należało jeszcze i trzecią ogromną, stratę czasu, pędzonego na niczem. Nikomu jednak ani do głowy przychodziło, ażeby ta ostatnia uszczerbek jaki sprawiać miała. Czas? Wiedzano o nim tyle tylko, iż starożytni przedstawiali go pod postacią starca z brodą długą, ze skrzydłami wielkimi, z kosą w jednym ręku i z klapsydrą w drugim. Był to więc kosarz i jako taki uwagi na siebie nie zwracał. Wartość jego nie miała znaczenia innego jeno takie, które ideę odwetu wywoływało. Kosarz ów nastawiał się do koszenia, inaczej do zabijania: odwet zależał na zabijaniu kosarza. Zabijano go też w Chrustowie w sposób prawdziwie uroczy.

Zabijano czas z gośćmi, przez gości i dla gości.

Patrząc na życie tameczne, zdawało się, że człowiek innego na ziemi tej zadania nie ma i mieć nie może, tylko to jedno, żeby się z gośćmi bawić.

„Gość w dom, Bóg w dom.“ Piastowa cnota, za którą mu się królestwo dostało, znajdowała w Chrustowie zastosowanie jaknajobszerniejsze, tak dalece, że p. Marek zasługiwał nie na jedno, lecz na tuzin przynajmniej królestw, jeżeliby dzieje udzielały nagrody stosunkowo do zasług. Zasługi jego w tym względzie były olbrzymie i jak najzupełniej Piastowym równe, on bowiem, jak Piast, karmił i poił niełaknących i niepragnących. Prawda, że do tamtego przyszli w goście aniołowie, do tego zaś przyjeżdżali ludzie śmiertelni. Co jednak temu pan Marek winien! Byłby i aniołów przyjął gościnie

pod tym jeno warunkiem, ażeby wzięli na się powstać szlacheiców polskich. Inaczej wylegitymować by się musieli i zapewne by tego nie pożałowali. Dla szlacheiców zaś dom stał otworem, we dnie i w nocy. Zajeżdżało się przed ganek; na spotkanie wychodził gospodarz, witał, do środka zapraszał, prowadził, sadzał i bawił wzywając na pomoc rodzinę swoją całą. Wychodziła poważna pani Tullicka, wychodziły panienki z robótkami w rękę wychodzili panicze z cybuchami, otaczano gościa staraniem, troskliwością, kłębami dymu i szczebiotem dziewiczym, dającemi mu przedsmak rajy.... Mahometa. Gość opływał. niby pączek w maśle.

Wzywano go do jedzenia bez względu na dnia porę. O północy, nadedniem, kiedy jeno kogo pan Bóg sprowadził, pewnym być mógł, że znajdzie stół nakryty a na stole strawy poddostatkiem. Kurczęta pieczone i potrawki z kuryz białym sosem, zdaje się spadały w Chrustowie, jak one kuropatwy które Jehowa Żydom na puszczy zsyłał. Pod względem tym niemożliwość nie istniała, tak dla gościnnego gospodarstwa, jak dla gościa, który, głodny czy niegłodny, jeść musiał: jakże bowiem nie jeść, kiedy jedzenie przybierało istotę i znaczenie ofiary, ponoszonej dla najmilszych pod słońcem stworzeń!

— Panie dobrodzieju, niech pan będzie łaskaw.

Wdzięczyły się i prosiły.

— Pan nie łaskaw. Pan ledwo pokosztował. Czy to się godzi!

Chmurą smutku oblicza się powlekały.

Nie jeden dławił się, byle tylko nie martwić panny Aleksandryny, pauny Henryki i panny Ewy, pełniących funkcyę karmicielek, szafarek, Heb, czarodziejek i kapłanek ogniska domowego, albo raczej

kapłanek znicza kuchennego. Za ich sprawą ogień w kuchni nie wygasał nigdy. Zawsze stał, ustawicznie na kogoś czekał i buchał płomieniem regularnie na dobę razy pięć, nieregularnie drugich razy pięć.

Wyliczyć i wymienić wszystkich, którzy na dwór w Chrustowie łaskawymi byli, jest absolutnem niepedobieństwem. Odwiedzała go najprzód okolica cała, następnie wszyscy, których z rodziną Szamotów łączyły węzły jakiegoś pokrewieństwa lub powinowactwa, dalej mieszkańcy stron dalszych, których interesa sprowadzały na trakt, przechodzący mimo karczmy chrustowskiej. Co moment ktoś przed ganek zajeżdżał, lub też, ktoś z przed ganku odjeżdżał, gdy zaś wieczór zapadał a nikogo nie było, spóźniano podawanie wieczerzy w przypuszczeniu że — jak się kucharz wyrażał — licho kogoś „nadniesie.“

Łatwo wyobrazić sobie, co to było za życie — czcze i próżne, a przecież chwilki jednej do odechnięcia nie pozostawiające. Wszyscy ustawicznie zajęci byli niczem, absorbującym moment każdy i wymagającym rąk mnóstwa. Ztąd służby huk: garderoba zapchana, kredens zapchany, oficyna zapchana — panny służące, pokojówki, lokaje, lokajczuki, furmani, furmańczuki, kucharze, kuchci, stróże czeladź piekarniana i osób kilka płci obojczy z funkcjami meokreślonymi; dworów kilka połączonych pod dachem jednym i głów kilka odegrywających role naczelne. Pani Tulicka miała dwór swój, panny swój, pan Stanisław swój, pan Marek swój, pana Gustawa nawet obsługiwał chłopak do osoby jego wyłącznie przywiązany. Prawo rozkazywania nominalnie stało przy panu Marku, służba atoli miała

obowiązek słuchania każdego z członków rodziny najbardziej zaś pani Tulickiej, która oficjalnie sprawowała rządy domu, ponieważ jednak pomiędzy rządami domu a rządem majątku, nie było wyraźnej linii demarkacyjnej, mieszała się więc półoficjalnie do wszystkiego. Również półoficjalnie, w zakresie nieoznaczonym, mieszała się do wszystkiego, panna Aleksandryna w imieniu matki, mieszała się, panna Henryka w imieniu ciotki i ojca, mieszał się pan Stanisław w imieniu ojca, mieszał się i pan Gustaw. We względzie tym jedna tylko Ewunia stała na stronie z powodów, które bliżej określić się nie dadzą—uważano ją za dziecko—i dla tego zajmowała stanowisko obserwacyjne. Z wyjątkiem jej jednej, rządów było tyle, ile głów liczyła rodzina Szamotów, gdy się znajdowała w komplecie, co nie zawsze się zdarzyło. Do kompletu brakowało często pana Stanisława, pędzącego żywot koczowniczy.

Ztąd też, we dworze owym, pod którego słomianą strzechą gość raik znajdował, panował rozgardyasz do nieopisania, rozpościerał się bezrząd obejmujący Chrustów, w gospodarskim względzie całkowicie, a okraszony wdziękiem niezrównanym. Tajemnice bezrządu tajemnicami były dla wszystkich, z wyjątkiem opiekuńczych fortun szlacheckich aniołów—żydków z miasteczka pobliskiego. Ci często miewali Chrustów na języku dodając do onego szeregi cyfr, deklinowanych wespół z rzeczownikami: Gescheft, Schild, Weksel, Termin i t. p. Icek Rubinstein, dzierżawiący karczmę przy trakcie, odegrywał wśród nich rolę punktu ogniskowego, w którym zestrzeliwały się promienie operacyi, wyrażającej się za pomocą kwitków nieforemnych, pisanych

rękami rozmaitemi a zapełnianych zerami. Zera przecie żadnego nie mają znaczenia.

Była to jednak tajemnica, o której, zdaje się, sam pan Marek nie wiedział, pomimo, że nieraz wśród gawędki najweselszej wydzierało się mu z piersi ciężkie westchnienie.

W bezładzie, w bezrządzie, w rozgardyaszu, przeplatane scenami pomiędzy Stanisławem a panią Tuličką, w gwarze ustawicznym—życie w Chrustowie płynęło niby okręt żaglami pełnemi. Dokąd jednak płynęło? nie obchodziło to nikogo. Port? o porcie nie myślał nikt. Panny kwitły, panicze, jeden po okolicy podróżował, drugi dorastał, goście się zjeżdżali, preferansik służył i płużył: czegoż więcej chcieć.

Po co się goście zjeżdżali? Odpowiedź łatwa. Po co ludzie na teatr i na sztuki łamane chodzą? W Chrustowie odegrywała się ustawiczna reprezentacya gościnności, tem od reprezentacyj teatralnych różna, że spektatorów opłacała. I jakżeby przeto takowych braknąć miało?...

Zjeżdżali się.

Wszystkich, jak rzekliśmy wyżej, wyliczyć i wymienić nie sposób. Jednych wiązała życzliwość, drugich sprowadzał interes, nie było bowiem jak pan Marek do radzenia ludziom w razach kłopotliwych—innych zwabiała ciekawość. Z tego powodu gościnne progi przekraczali ludzie różni, bogatsi i ubożsi, szaraczki i karmazyny, zaglądali nawet panowie tytułowani, dla rzucenia okiem, bądź na staroego szlagona, postać tradycyjną, bądź też na kwiatki polne w celu przeprowadzenia paralelli pomiędzy niemi a Adelami, Anetami i Korami, które im po miastach wielkich żywot urozmaicały i upiększały. Ci ostatni przesuwali się po chrustowskim

horyzoncie na kształt komet ogoniastych: pojawiali się i znikali. Nadzwyczajnie grzeczni, niesłychanie uprzejmi, zachwycali się barszczykiem z rurą, unosili się nad sêrem w pierogach, prawili pannom komplementa, zaklinali się, że nigdzie się lepiej nie czuli, jak w tym domu staropolskim; prosili, żeby im wolno było przyjeżdżać jaknajczęściej, a to w celu hartowania się w atmosferze swojskiej—odjeżdżali i nie wracali więcej. Ich to ogonów czepiała się pani Tulicka i na tych to ogonach budowała zamki dla córki. Z tych ogonów promienistych jak domyślać się wolno, spłynął i ów książę Albert, co się matce i córce we snach prezentował.

Tego atoli kalibru goście rzadko się trafiali; w polocie najeżdżała szlachta prosta, tacy Szafranowicze, tacy Kubalsey, tacy Prosiątkowscy, bądź to w osobach własnych, bądź też w osobach swoich małżonek, które się do pani Tulickiej adresowały, w osobach córek, które do panien szlusowały, w osobach synów, którzy paniczom towarzystwa do trzymywali, spoglądając z ukosa na panny i dzieląc w myśli Chrustów proporcjonalnie na cztery części, nie nader częściowo pełne, tem bardziej że niewiadomo było, czy pan Marek przypuści dzieci do działu równego, czy też do nierównego. Gdyby przypuścił do nierównego, a przytem tak, ażeby synom wydzielił same tylko błogosławieństwo ojcowskie, córkom zaś Chrustów pozostawił, to niewątpliwie młodzi panowie Szafranowicze, Kubalsey i Prosiątkowscy, potracając i wywracając jeden drugiego, darliby się do rąk panien Szamotówien. Tak jednak—bywali: sprawiali przyjemność sobie i wyświadczeni grzeszności gospodarzowi domu.

Zagląдали także przy zdarzonej okazji lekarze,

adwokaci (wzmiankę o tych znajdzie czytelnik w przytoczonej w poprzednim rozdziale rozmowie pomiędzy panią Tulicką a córką), urzędnicy publiczni, sędowi, fiskalni i administracyjni, wojskowi w stopniu oficerskim, koledzy szkolni Stasia, znajomi jego pozaszkolni i rozmaici inni, stanowiący w sposób ludności cyfry nagie, bez mianowników, a znani w austryjackiem państwie pod nazwą ogólną „prywatyzujących“ (*privativ*). Przesuwała się ich ćma przez alembik gościnności ehrustowskiej, wychodząc z niego takimi samymi, jakimi wchodziłi. Większa ich część próżniakami byli, próżniakami pozostawali: objadali poczciwego pana Marka i po za jego plecami bawili się w dowcipnych, przyczepiając do panienek przydomki: sawantek, sentymantałek, papug, srok, synogardliczek, kotek, liszek, pliszek, pośmieniuszek, taradajek, młynków, grzybków, mruczków, flonderek, purchawek, przepiórek, nimf, gracyj i lichu wie nie jakich. Za chleb, za sól, za serdeczność, wywdzięczali się dowcipami, w których ubliżającego w gruncie nie było nic, które atoli miejscaby nie miały, gdyby panna Henryka posiadała w monecie brzęczącej gotówką, posagu talarów tysięcy ze czterdzieści i gdyby tyleż posiadała i panna Ewa. Bywanie ich przeto było nie czem innym, jeno przelewaniem z pustego w próżne, nie miało ani celu, ani sensu.

Nie wszystkich jednak tyczą się słowa powyższe. Jak nie wszyscy malarze, muzycanci, śpiewacy i t. p. są artystami dla artyzmu, jak nie wszyscy filozofowie, historycy, naturaliści, prawnicy i t. p., są uczonymi dla nauki, jak nie wszyscy handlarze, przemysłowcy, bankierowie i t. p., są spekulantami dla spekulacyi, tak też nie wszyscy pana Marka go-

ście byli gośćmi dla tego tylko, ażeby go objeść, ażeby się u niego zabawić i córki jego na fundusz brać. Były pomiędzy nimi wyjątki, do których zaliczyć należy dwie przedewszystkiem osobistości: jedną płci męskiej i jedną płci niewieściej.

Zabierzemy najprzód znajomość z tą ostatnią.

W odległości półtorej mili od Chrustowa w okolicy płaskiej, przy głównym trakcie leżała wieś Gawrony, a we wsi tej mieszkała pani pułkownikowa Kawaska, kobieta niemłoda, wdowa, która miała młodość ruchliwą i burzliwą i na starość w spokojnym osiadła zakątku. Miała ona i dzieci—synów i córki—o tych tylko ludzie ze słyszenia jedynie wiedzieli. Ona sama nigdy o dzieciach swoich nie mówiła. Synowie gdzieś się w świecie kierowali i córki się gdzieś kierowały. Przenosząc się z mężem, który pułkiem dowodził, pogubiła to w punktach różnych i nie troszczyła się wcale o potomstwo swoje. Kto wie nawet, czy wiedziała na pewno ilu miała synów, a ile córek. Ludzie przypisywali jej macierzyństwo potrójne—syn jeden, córek dwie—i utrzymywali... ach, ludzie są tak złośliwi. Rozposażenie dzieci odbyło się jeszcze za życia nieboszczyka pułkownika, człowieka nieznośnego, impetyka i fantastyka, który przytem organizmem cieleśnym swoim przedstawiał zbiornik wszystkich defektów, jakie młodość rycerska na starość sobie gromadzić zwykła. Podlegał jakimś konstypacyom żołądkowym, jakimś chorobom sercowym, drgawkom, czkawkom, rozszerzeniom i zwężeniom żył, pedogrze, reumatyzmom, newralgiom—kości jego były barometrem, mięśnie siedliskiem kureczów ustawicznych, nerwy instrumentem nadzwyczaj czułym i drażliwym; głowę miał łysą, jak kolano, ba-

kenbardy gęste i wasy ogromne; mówiąc chrypiał, za lada co w furię wpadał i we względzie służby był najdoskonalszem i najczystsze regulaminu wcieleniem. Powiadają też, że sposobem regulaminowym córki za męża powydawał. Do jednej odkomenderował porucznika:

— Żeń się... marsz!..

Na córkę także zakomenderował:

— Idź za męża... marsz!..

Pomaszerowali przed ołtarz krokiem podwójnym.

Do drugiej w tenże sam sposób odkomenderował podporucznika.

Syna pchnął drogą kariery wojskowej, dawszy mu wychowanie takie, ażeby z drogi tej zboczyć nie mógł, ani na prawo, ani na lewo, tego bowiem był przekonania, że człowiek nie ksiądz, albo nie żołnierz, jest zaledwie półczłowiekiem. Stan duchowny i stan żołnierski były to w mniemaniu jego dwa stany wyborowe, dwa bieguny tak ludzkości niezbędne, jak ziemi niezbędnymi są owe bieguny, o które, opiera się oś ziemską. Powydawał więc córki za męża, syna na drogę kariery wprowadził, odbył rewii ostatnią i po rewii na tamten świat odmaszerował. Po pogrzebie pułkownikowa odjechała do Gawronów; unosząc ze sobą dużo wspomnień, prawo do pobierania pensji dożywotniej i pragnienie spokoju na resztę żywota.

Pensya dochodziła ją regularnie i akuratnie; wspomnienia jednak i pragnienie stanęły ze sobą w sprzeczności niejakiej. Pierwsze było względem drugiego neutralizatorem. Prawda, że i okoliczności przyczyniały się trochę do tego.

Gawrony, mała wioszczeczyna, było to jej gniazdo rodzinne, z którego wyleciało w świat orląt pięcio-

ro, pod postacią pięciorga dzieci prezesa Jałomnickiego. Ojciec nie zostawiając im majątku dużego, dał w spadku po sobie węch delikatny, jaki dostają pieski gończe po ojcach dobrej rasy. Dzięki węchowi temu córki się powydawały i synowie pokierowali, z wyjątkiem jednego biedaka, pana Jakóba, prześladowanego najwyraźniej przez los zawistny. Podczas kiedy siostry jego łąpały sobie małżonków jak, nie przymierzając, rybacy łapią szczupaki w wieńcierze, w ten sposób i groźny pułkownik wpadł w sieci byłej panny Amalii Jałomnickiej; podczas kiedy bracia zwietrzywszy posagi, zdobywali takowe przebojem, zajmując poważne w obywatelstwie stanowiska: on wysiliwszy przemysł cały, dostał harbuzów sześć i schronił się w końcu pod skrzydła siostry. Z desperacyi do wojska się zaciągnął, licząc na uroki munduru i na protekcję pułkownika. Zdecydowany był dosługiwać się szlif generalskich. Śmierć atoli rycerskiego pani Amalii małżonka szyki mu pomieszała. Zmiarkował, że ta droga nie doprowadzi do niczego, chyba jeno do drgawek, czkawek, kurczów, pedogr, reumatyzmów — i małżonki na wzór pani Amalii stworzonej. Podał się więc o dymisyę i w rok po pułkownikowej do Gawronów zawitał.

— I ty tu?

— A no...

— Pod moje znów skrzydła?..

— A no... była pana Jakóba odpowiedź z przy-ciskiem wymówiona.

— Cóż w Gawronach porabiał zamyślasz?

Pan Jakób ramionami ścisnął.

— Spodziewam się, iż nie zamierzasz przecie ojców skiby orać...

— Chybabym ją palcami drapał... Do orania potrzebny nakład...

— Prawda... Będziemy więc sobie we dwoje spokoju zażywali... Jednakowo nikogo nie mam do ekarte..

Pan Jakób westchnął głęboko.

— Cóż?..

— Oh, przyznam się tobie... kręci mi się po głowie, do klasztoru wstąpić...

— Mundur na habit, miecz na różaniec zamienić... Hm!... rzekła pułkownikowa z przekąsem, w którym politowanie brzmiało. Mój ty Jakóbcu, biedny!... Nie osobliwy był z ciebie ułan, niema więc nadziei, ażebyś osobliwym być mógł księdzem...

— Cóż pocznę—zawołał pan Jakób tonem energii, zdradzającej postanowienie nieniezlomne.

— Co... hm... pomyślała pułkownikowa przez chwilę. W każdym razie nie masz czego się spieszyć... Poczekaj... Rok, dwa, a chociażby i lat dziesięć, różnicy nie stanowią... chyba, żeś poczuł w sobie nagle do habita pociąg... chyba, że obudziło się w tobie powołanie...

— Pociąg?.. powołanie?.. a! . Podając się do dy-missy, zamierzałem wraz zotrzymaniem takowej w łeb sobie wypalić; alem się rozmyślił i powzią-łem zamiar...

— W murach się klasztornych zagrzebać — do-kończyła pani Kawaska. To lepsze od tamtego, ale jak powiadam, nie nie nagli... Wolałbyś jednak zamiast kapucynem, zostać małżonkiem ciepłej wdówki jakiej, albo panienki z posażkiem...

— Sześć razy tego próbowałem...

— I broń składasz... Słuchajże, Jakóbcu, co ci powiem. Tyś zanadto... zanadto... no?... poczciwy...

Tak, tyś zanadto poczciwy... za zbyt honorowy... Nie umiałeś tak jak Alfred i Konstanty (imiona braci pułkownikowej), włazić oknem, kiedy cię wyrzucono drzwiami... Byłeś skromny, lękliwy, nie umiałeś sprzedawać towaru, który na sprzedaż miałeś, żal mi ciebie... Poczekajże, klasztor nie ucieknie. Idź do niego, śpiesząc się powoli, a kto wie czy nie uda się z drogi zboczyć do ciepłego jakiego kącika i w takowym osiąść... Trafiają się wypadki nadzwyczajne... Ty nosisz nazwisko piękne... Są Jalomniccy hrabiowie.. Alfred i Konstanty ten tytuł noszą... To coś znaczy...

Taką było okoliczność, która pułkownikowej przeszkodziła w zaspokojeuiu pragnienia spokoju, jakie ogarnęło ją po śmierci męża.

Był to jednak pretekst tylko. Chwyciła się go, nie dla tego bynajmniej, żeby pana Jakóba od zamiaru odprowadzić, ale dla tego, że spokój w którym rok cały spędziła, tak jej dokuczył, iż rady sobie dać nie mogła. Zaczęła już była szwendać się po okolicy. Nie miała jednak nic w ręku. Nie posiadała osnowy żadnej, na którejby tkać mogła. Z tego powodu przybycie pana Jakóba powitała z radością i nie dla niego, lecz dla siebie wpleść się postarała w tę girlandę, która się do koła Gawronów wiała pod postacią towarzyskiego życia szlachty sąsiedniej. Był niezależny, wiek, kolligacye, tytuł zresztą—drzwi jej wszędzie otwierały. Do tych warunków dołączyć umiała inne, nie mniej ważne. Była to kobieta, choć ją do rany przykładaj, taka wyrozumiała na słabości natury ludzkiej, taka współczująca w smutkach i dolegliwościach, tak umiejąca radości wszelkie podzielać, taka usłużna, taka, słowem jednym, przylepka. Przytem posiadała zdol-

ność stosowania się nietylko do płci, do wieków i do temperamentów, ale oraz i do przekonań. Potrafiła być z republikaninem republikanką, z monarchistą monarchistką, z bezwyznaniowcem bezwyznaniówką, z ultramontaninem ultramontanką, a przychodziło jej to z taką łatwością, jakby się urodziła w przekonaniu, które w danej chwili wyznawała. Nie potrafiła jednego tylko przemódz na sobie: kultu dla panów, gdy się przypadkiem w obec nich w towarzystwie chudopachołka znalazła. Wówczas zapominała się: względem pana przybierała ton poufałości dobrego tonu, na chudopachołka przez ramię spoglądała. Ale wnet to wynagradzała z procentem, jak tylko się pierwsza sposobność nadarzyła.

— Kochana pułkownikowa!.. tak ją powszechnie zwano.

Szczególnie dzieci lubiła i do panien młodych czuła pociąg niepowściągniony.

Dzieci się jednak do niej nie garnęły, pomimo że wabiła je cukierkami i zabawkami. Dzieci i psy, (powiadają) posiadają instynkta, wskazujące im ludzi uczciwych. Panienci wszakże lgnęły do kochanej pułkownikowej, dla półsłówek, dla min, dla insynuacyj jakichei, które ona na ich usługi w ogromnej ilości miała, a od których im rumieńce na policzki występowały.

Posiadała także i u młodzieży względy, pochodzące ztąd iż pewnego rodzaju protekcją, otoczoną powagą kobiety wiekowej, zboczenia ich osłaniała. Grzeszki ich nazywała cukierkami, groziła im palcem na nosie i przemawiała do nich: ty.

— Ja stara— były jej słowa. Jadłam chleb

z pieca nie jednego i wiem, o czem nie wiecie wy sami. Oj, wiem!..

Kiwała głową z ukosa i zalotnie mrugała. Giest ten oryginalnie odbijał od minki dobrotliwym półuśmieszkiem wiecznie okraszonej i od jej siwych gładko nad czołem zaczesanych włosów, na których spoczywał czepeczek, włożony i przystrojony bez najmniejszej pretensyi. Z uśmiechem zalotnym do twarzy było babulce. Fizjognomista jednak, jakiego ani Gawronów, ani Chrustowa okolica nie posiadała, dostrzegłby w takowym nie zalotność, lecz coś innego, mianowicie zaś ciekawość do dramatów, do komedyj i do tragedyj żywota towarzyskiego, do tych zwłaszcza, których osiłą był lub też byćby mógł, jeżeli nie skandal na wielką skalę, to drobniutki, malusi skandalik—„cukierek“—jak się wyrażała: I tak było w istocie samej. Pani Kaw-ska wierzyła we wszystko z wyjątkiem tej w ludziach czystości, co to się technicznie dziewiczością nazywa. Istnienia onej nie przypuszczała. Uważała to za bajeczkę, wymyśloną dla bałamucenia starych dzieci i wszędzie poszukiwała grzeszków, wszędzie takowe widziała, gotową będąc w razie, gdyby dramacik w uklejeniu się sam przez się napotykał na przeszkody niejakię, wziąć na siebie funkcję reżyserki—poradzić, pomódz, pchnąć w przepaść i na brzegu takowej stanąwszy, przypatrywać się z główką nieco przechyloną, z uśmieszkiem na ustach i ze złożonemi jak do modlitwy dłońmi.

Owóż ta to słodka, ta anielska, ta usłużna i kochana pani pułkownikowa stanowiła jeden z wyjątków pomiędzy gośćmi najeżdżającemi dwór w Chrustowie. Dwór w Chrustowie miał dla niej powab

z tego względu, że posiadał bogate do dramacików materyały. Trzy panienki w kwiecie wieku, dwaj młodzi ludzie próżniacy, głowa rodu wcielona w cybuch i przykuta do zielonego stolika, opiekunka z ćwieczkiem w głowie, gwar gości,—wszystko to razem wzięte nadawało się do uklejenia czegoś smacznego. Pani Kawaska zawczasu się uśmiechała i oblizywała, jak smakosz, oddający się rojeniu o potrawie, zaprawionej i podsmażonej w sposób, wytwarzający smak, od którego mu *anticipative* ślinka podniebienie łechce.

Nie układała jednak planików żadnych. A! Nie wdawała się w rzeczy podobne. Tak pewną była potęgi ułomności natury ludzkiej i tak na nią liczyła, że, pozostawiając rzeczy samym sobie, czekała tylko i dowiadywała się.

Dowiadywała się — to jest: odwiedzała często Chrustów — niekiedy w towarzystwie pana Jakóba, częściej atoli sama.

Pan Jakób — zanotować to należy — mianowany został hrabią Jałomnickim, dzięki nazwisku, noszonemu przez ludzi posiadających rozległe na Litwie, na Wołyniu i w Wielkopolsce dobra, którzy ten tytuł nosili. Czy on się im należał? — to pytanie inne. W rozbiór tej kwestyi wdawać się nie będziemy.

Pułkownikowa mile w Chrustowie widzianym była gościem. Panny na spotkanie jej wybiegały. Pani Tulicka, której podwójnie inponowała, raz jako pułkownikowa, powtóre jako hrabianka z domu, okazywała jej uprzejmość większą niż komu innemu i wylewała się przed nią, spowiadała się, wynurzała jej skrytości pragnień swoich ubierając takowe w obsłony skromności jak największej. Rzecz

naturalna, pragnienia jej innego przedmiotu nie miały, jak tylko Olesię.

— Pani droga... pani kochana — mówiła pani Tulicka w dni parę po oznajmieniu przez Stanisława zamiarów pana Zgrzebłowicza — moja Olesia ma dopiero lat siedmnaście.

— Więcej nie pokazuje... odrzekła pułkownikowa na w pół do siebie.

— To jest... właściwie, nie siedmnaście lecz siedmnasty. Dla tego, nie chciałabym się śpieszyć z wypchnięciem jej za mąż. Zgrzebłowicz...

— Człęk zamożny i z dobrą reputacją.

— Tak, to prawda. Ależ to jeszcze dziecko, a to już...

— Nie młodzik, w sile wieku. Tacy nie koniecznie się na mężów nadają, dla młodziutek zwłaszcza panienek. Panienska młodziutka iść powinna albo za młodzika, albo też za dziada, zwłaszcza jeżeli posagu niema.

Pani Tulicka chrząknęła na ostatnie słowo i odparła:

— Co się tego tyczy, to powiedzieć nie mogę, ażeby Olesia moja, jeżeli kiedy pan Bóg miłosierny za mąż jej wyjść pozwoli, szła z rękami próżnemi.

Pułkownikowa spojrzała na nią z ukosa oczami przymrużonemi, przesywając ją wzrokiem na wylot.

— Uciulałam dla niej... nie wiele... coś przecież...

— Tem lepiej. Lepsze tyć, jak nic. Zgrzebłowicz jednak, hm... fortuna znaczna. Pozwoli mi pani łaskawa zapytać się....

— Ale, pani najdroższa! — zawołała pani Tulicka. —

-- Czy już się zdeklarował?

— To jest, tego, tak niby. Deklaracya wyszła nie od niego wprost, ale przez pośrednictwo.

— Czyje?

— Stasia.

— Proszę mi wybaczyć, że się tak dopytuję, ale ja... ciekawa.... o! ciekawa.... Przyznaję się do tego otwarcie, otwartość jest słabością moją.

— I moją, pani droga.

— Ciekawość—ciągnęła pułkownikowa—wyrzucają nam kobietom, jako wadę.

— O!—tonem protestu odezwała się p. Tulicka.

— Otóż ja otwarcie się do wady tej przyznaję i co więcej, powiadam i utrzymuję, że jest ona, w równej mierze, płciom obydwóm wspólna.

— Jeżeli pani łaskawa powiada....

— To bo, że mam doświadczenia nie mało. I doznałam i widziałam wiele. Bywałam w mieście i wielkiem i małym, i na wozie, jak to powiadają, i pod wozem. Wszędzie jedno, wszędzie to samo. Ciekawość odkryła przedemną tajemnice wszystkie, no, i oto teraz, kiedy mi już włosy posiwiały, radabym doświadczeniem mojem ludziom pocziwym służyć.

— O pani najdroższa!

— Doświadczenie jest towarem, tak jak wszystko zresztą. Są tacy, co je sprzedają. Ja jednakże nie sprzedaję, dla tego poprostu, że nie potrzebuję. Nie chcę się podawać za lepszą, niż w rzeczy samej jestem. Jestem otwarta, to moja słabość.

— Oh! i moja.

— U mnie, co na myśli, to i na języku.

— Och! i u mnie — i z tego powodu, trafiają się mi przykrości niekiedy.

— Mnie zaś nigdy.

— O! — podchwyciła p. Tulicka — bo pani — pani kochana — kobieta wyjątkowa.

— Gdzież tam! ja.

— Niech mi pani droga pozwoli. Z panią nie jeden mężczyzna we względzie rozumu zrównaćby się nie mógł.

— To co innego. Ja nie nie wiem o rozumie własnym.

— Ale ludzie wiedzą i czczą panią, wielbią, ubóstwiają.

— O! o! o! — zawołała pułkownikowa, dłoń podnosząc z akcentem protestacyi. Nie ubóstwiali mnie, kiedy młoda była i mieliby teraz występować, z musztardą po obiedzie!

— Ubóstwiają w pani dobrodziejce światło i cnoty. Ot ja, na przykład, — niech się pani kochana Olesi spyta.

— Dajmy temu pokój — przerwała pułkownikowa. Jestem, jaką jestem i inną już być nie mogę. Ot *à propos*. Otóż. Ja się w niej Kocham, proszę pani.

— Oh! — zawołała p. Tulicka i spojrzeniem wdzięcznością przepelnionem podziękowała pułkownikowej.

— Co to za dziecko lube! Siedmnasty rok? a ile u niej powagi, dystynkcyi i rozumu! Rozkosz prawdziwa patrzeć na nią. i jeżeli mam prawdę wyznać, tak częste bywanie moje w Chrustowie ma głównie na celu, nasycanie oczu widokiem Olesi. Otwarcie pani łaskawej powiadam: nie podobnego nie widziałam. A widziałam wiele, wiele — tu głową pokiwała. Olesię, tak jak ona jest, nie nie dojąc i nie nie ujmując, możnaby za rękę wziąć i na pokoje królewskie poprowadzić...

Pani Tulicka westchnęła głęboko, westchnęła

tem westchnieniem, które wydziera się z piersi, przepełnionej rozkoszy uczuciem. Biedna matka w siódmym znajdowała się niebie. Pułkownikowa prawiła dalej:

— Luba, słodka moja Olesia! Niech się pani nie gorszy, że ją moją nazywam—rzekła pół seryo.

— O! pani pułkownikowo dobrodziejko, gdybym, Boże uchwaj, osierocić ją miała, to nikomu innemu, tylko pani kochanej bym ją powierzyła.

— Dziękuję.

„Dziękuję“ to w taki zabrzmiało sposób, jakby każda wyrazu tego litera ostremi jeżyła się kolcami. Kolce te pokazały się p. Tulickiej, lecz na króciuchną, jak mgnienie źrenicy chwilkę, tak że czasu nie miała przerazić się nimi. Pułkownikowa wnet je zamaskowała:

— Słodka! luba! anielska! zachwycająca! — zachwycająca, powiadam pani. Staś przeto?

— Hm—odchrząknęła p. Tulicka, dłonią usta zasłaniając. Staś... deklarował...

— Formalnie.

— To jest—tak—prawie formalnie.

— Zgrzebłowicz więc coś wietrzy, to bowiem człowiek rachunkowy, z kredką i z główką, jak powiadają żydzi.

— Nie wiem, zapewne.

— Ale! — podchwyciła pułkownikowa żywo i z przyciskiem. Olesia nie dla niego!

— I ja tego samego jestem zdania. Olesia nie dla niego!

— Nie! gdzie też! i, powiedzieć pani dobrodziejce muszę otwarcie, to, że się on zadeklarował, nie jest dla niej z korzyścią.

— Mój Boże!—zawołała p. Tulicka z akcentem zartwożenia.

— Nie ma się trwożyć czego.

— No, a jeżeli—zaczęła zafrasowana matka. Ja bo właściwie nie rozumiem, jakaby to niekorzyść?

— Niepotrzebne afiszowanie młodziutkiej pani—odparła pułkownikowa sentencyonalnie. Nic nie będzie, a powiedzą: starał się, albo też, stara się o nią — kto? Zgrzebłowicz. Żeby to kto inny, nie Zgrzebłowicz, to jeszcze. A to, Zgrzebłowicz. Są nazwiska, noszące na sobie piętno predestynacji.... Zgrzebłowicz?

— Prawda, pani kochana — odrzekła przekonana p. Tulicka.

— Zgrzebłowicz? Widzi pani, stara jestem i doświadczona, wymawiając jednak „Zgrzebłowicz“ czuję niby, jakby mi kto zgrzebło za plecy wsuwał i takowem po grzbiecie pociągał. Cóż dopiero pani.

— Ja — żywo p. Tulicka podchwyciła — w głos Stasiowi i wszystkim oświadczyłam, że Olesia moja nie dla Zgrzebłowicza!

— To nie dosyć, pani łaskawa. To afiszowaniu nie przeszkodzi.

— Cóż mam począć? Odprawę dać?

— Jeszcze gorzej. Esklandra!

— Jezu Chryste!

— Z panią młodziutką obchodzić się należy, jak z banieczką kryształową, oględnie, delikatnie, ażeby, broń Boże, nie potrącić i nie stłuc.

— Pani pułkownikowo najdroższa, co robić?

— Na tem sztuka cała, trzeba zatachlować, zamaskować i końce w wodzie utopić!

Mówiąc to, pani Kawaska dodawała gięsta odpowiednie, które wszakże istoty rzeczy p. Tulickiej

nie objawiały. Wlepiła w pułkownikową pełne niespokoju oczy i na ostatnie jej słowa, jakby na wyrok oczekiwała.

— Należy afisz na kim innym przylepić. W ten tylko sposób, kompromitacya odwróci się od Olesi stanowczo i raz na zawsze. Bo... o!... wiem ja, co to znaczy kompromitacya dla młodej panienki. Wyszłaby za mąż, zostałaby matką, posiwiłaby, a jeszczeby jej Zgrzeblowicza przypominano.

IV.

Nie dawne to czasy, w których przydomek „dorobkiewicz“ stanowił rodzaj piętna na czole człowieka. Szlachcicowi nie godziło się być dorobkiewiczem. Była to zmaza na honorze, plama do wyprania trudna. Miało to rację swoją. Dorobkiewicze dawniejsi wychodzili zazwyczaj „z podstarościch na szlacheica.“ Zacieśniona sfera działalności pozostawiała dróg mało, po których się do fortuny dochodziło; pomiędzy temi zaś drogami, jedna mianowicie przystępną była szlachcie uboższej, zmuszonej wysługiwać się u panów: droga służby niewiernej. Komisarze i ekonomi, bardziej dbając o własne aniżeli o jurysdatorów dobro, przyswajali sobie nieraz majątki, któremi zawiadywali. Wypadki podobne zdarzały się często, dzięki niezarności powszechnej, jaka w sferze właścicieli ziemskich panowała. Nie umiano ani rządzić się, ani gospodarować. Spuszczano się we wszystkim na oficyalistów; ci zaś korzystali, otoczeni będąc pokusami, którym opierać się przeskadzała im ułomność natury ludzkiej. Siódme boże przykazanie stało im w oczach, jak byk. Przepisy rozliczne na-

kazywały im szanowanie cudzej własności. Przykazanie atoli było przykazaniem, przepisy przepisami, a swoją drogą, raz tu, znów ówdzie, w okolicy każdej, wznosiła się z ruin fortuna, fundamentem której była kradzież. Nie dziw przeto, że dorobkiewiczze złej używali reputacyi—reputacyi, która ogarniała wszystkich, pomimo, że pomiędzy nimi nie jeden doszedł do majątku drogą pracy uczciwej, wspieranej oszczędnością i spekulacyjkami godziwemi.

Zdarzali się i w tej sferze ludzie sumienni.

Do takich należał i p. Andrzej Zgrzeblowicz.

Rodowód jego nie odznaczał się świetnością. Wyprowadzał się podobno od dziadka furmana, był zaś synem kiełbaśnika, prowadzącego rzemiosło swoje w miasteczku, w którym znajdowały się szkoły powiatowe. Młody Andrzej, posyłany do tych szkół, skończył je, uczył się nie źle, ale nie szedł dalej drogą nauki. Ojciec oddał go na praktykę gospodarską, i na tej, po przejściu wszystkich szczebli, dobił się do komissarstwa, spekulując, od pierwszej chwili wstąpienia na tę drogę, najprzód na prosięta, następnie na cieleta, dalej na gęsi, konie, owce, na produkta zresztą, które tanio kupował i z zyskiem sprzedawał. W ten sposób, zużytkowując grosz każdy, zebrał sobie fundusik pokaźny i puścił się na dzierżawy. Rządny, gospodarny, znający cenę czasu i umiejący podchwytywać okoliczności przyjazne, porastał szybko w pierze bez krzywdy niczyjej, a dorobiwszy się fortuny znacznej, myśleć począł o zajęciu stanowiska w obywatelstwie.

Historja to stara, powtarzająca się ustawicznie. Pan Andrzej szedł drogą utartą. Na dobry ład, kiedy mu potrzeba żenienia się na myśl przyszła, po-

winien był na towarzyszkę życia dobrać sobie kobietę, jednakowego ze sobą mianownika: rządzą, oszczędną, zabawiającą się lekturą jedynie w kościele na książeczkę do nabożeństwa i nie pojmującą, ażeby w świecie ideałów istnieć mogło co szczytniejszego nad wieprza dobrze upaszonego, nad maśło należycie osolone, nad ogórki w miarę ukiszone. Taką właśnie była matka pana Andrzeja, stara jejmość, która mu rządy domu sprawowała i która, w części ogromnej, przyczyniła się do pomnożenia fortuny syna. Stara jejmość nie darmo nie puszczała; wszystko na pieniądze zamienić potrafiła. Po miasteczkach okolicznych znano ją jak zły szeląg i obawiano się jej: niebezpieczna z nią bowiem była konkurencya. Zajeżdżała wozami całymi i przywoziła wiktuały rozmaite, w najlepszym gatunku a najtańsze: jarzyny, przeroby nabiału, krupy, jaja, drób, szynki, salcesony, kiełbasy, i t. d., chleb nawet, kołacze, obwarzanki, placuszki. Jejmość z Zaborowa straszną była dla przekupek i przekupniów. w których wzbudzała wielkie gniewy, połączone z poszanowaniem ogromnem. Przysparzała też synowi fortunę.

Takiej panu Andrzejowi potrzeba było żony.

Przed oczamimał wzór, ale odwracał się od niego — czemu? Czemu w ludziach jest pragnienie czegoś, co się im przedstawia pod postacią bądź nowości, bądź zagadki? To co jest — jest; to jednak czego nie ma, posiada w sobie magnetyczną siłę pociągu, któremu nieraz oprzeć się nie sposób.

Matka nieraz mu przypominała:

— Żeń się.

— A! — odpowiadał — będzie jeszcze na to czas...

Aż odezwała się do niego razu pewnego:

— Jędrusiu, pora już... policz się jeno z latami. Żeń się.

— Ta z kim?—zapytał.

Baba czepiec na głowie poprawiła, jedną ręką za bok się wzięła, drugą na stole się oparła, zamysliła się i po niejakim czasie odrzekła:

— To sęk... hm... to sęk a w tym sęku dziura. Gdy byś wyszedł na drogę krzyżową, stanął i na wiatr rzucił wyrazy: „hej żenić się chcę“, to szlakami wszystkimi, ze wszystkich miasta stron, zbiegłoby się do ciebie, pomsta wie, ile dziewcząt. Ale hm—nie w tem rzecz. Zbiegłyby się do ciebie dziewczęta takie, jaką byłam ja lat temu czterdzieści blisko, tobie zaś na żonę potrzeba nie takiej jak ojcu twojemu. Ja byłam dziewczką do roboty, tobie potrzeba panny... o..

Podniosła jejmość palec do góry i zwróciła na syna spojrzenie znaczące.

— Wiem ja, Jędrusiu, czego tobie potrzeba.

— Potrzeba mi—odezwał się pan Andrzej—kobiety uczciwej.

— I edukowanej—podechwyciła matka—e-du-ko-wanej. . Uczciwej i edukowanej: jedno z drugim chodzi niekiedy w parze, a u nas, Bogu dzięki, nie jest tak źle, ażeby uczciwych pomiędzy edukowanymi nie było wcale. Edukacya, mój Jędrusiu o!... to coś warte. Widzisz, oto, jak tobie na dobre wyszła... Weź-że sobie jeszcze i żonę edukowaną.

— Weź!—powtórzył pan Andrzej z naciskiem. Mama tak to powiada, jakby niczego innego nie było potrzeba, tylko rękę wyciągnąć...

— „Szukajcie, a znajdziecie“ stoi w książce na-

pisano. Potrzeba najprzód znaleźć, potem rękę wy-
ciągnąć, a w ostatku wziąć.

— Hm...—mruknął syn.

— Pojedź tu, tam, owdzie. . popatrz, rozpatrz się.
spróbuj. Kupić nie kupić, potargować można...

Pan Andrzej czoło na dłoni oparł i w zadumę
wpadł. Jejmość, pomilezawszy przez chwilę, znów
zaczęła:

— A gdybym ja tobie poradziła...

Syn zwrócił na matkę spojrzenie pytające. Ta
prawiła:

— Co niedziela prawie bywam w kościele i co
niedziela prawie widuję, w pierwszej ławce na pra-
wo, panią jakąś nie młodą a z nią trzy panny. Nie
wiem, kto ona; modląc się jednak na mojej książce,
a myśląc o tobie, bo ja o tobiezawszem myślę, kiedy się
modlę, powiadam często sama do siebie: czegobym
za to nie dała, gdyby synowa moja, była taką,
jak z tych panieniek jedna, druga albo trzecia!

— Coby to były za jedne?..—wtrącił p. Andrzej.

— Bóg to wiedzieć raczy. Widuję-ciać tego ro-
dzaju nie mało, ale mi te w oko wpadły. I gładkie
i edukowane. Gdy przez kościół suną, to zdaje się
jakby płynęły i kto wie, może uczciwe, dobrze z no-
sa im patrzy. Bywa z niemi czasem jegomość nie
młody okazałej postawy, czasem młodzik przystoj-
ny, blondyn jasny z czarną na policzku brodawką.

— A!—zawołał pan Andrzej tonem, w którym
brzmiał akcent domysłu. Nie uważała mama i u je-
gomości brodawki nad brwią?

— Rychtyg! Uważałam.

— Brwi duże? wasy lżejsze?

— To, to, to.

— A no. Szamota, nie kto inny.

— Z Chrustowa?—znasz go?

— Ba, i jakbym znać nie miał!

— Widzisz! Człowiek uczciwy, gniazdo dobre, a panienki? Patrząc na nie, kiedy przez kościół suną, zdaje się że widzę gąski, jedna za drugą do wody śpieszące. Edukacya tak i bije od nich. No, ot i masz. Mówią: kupić nie kupić, potargować można—spróbuj—co ci to szkodzi.

— A jeżeli odpała—harbuza dadzą?

— Owa! harbuza? A chociażby! Czy to człowiek od harbuza ginie? Ot na ten przykład, zawałam, jakim dziewczką była, Jarentemu rymarzowi harbuza takiego, że mu aż sto świeczek w oczach stanęło, i cóż mu się stało? Prawda, rozpił się, ale byłby się rozpił i bez tego, miał z młodu do kieliszka pociąg. Otóż i tobie, z harbuzem czy bez harbuza, nie stanie się co innego, tylko to co stać się ma i bez tego. A spróbować warto. A nuż. Panienki istne gąski, takie edukowane.

Po tej z matką rozmowie, pan Andrzej wahał się przez dni kilka, wkońcu oczy zamknął, w palce stuknął, zaprządź kazał do koczobryka cztery konie w leje i do Chrustowa pojechał.

A że był człowiekiem ostrożnym, więc czekał pretekstu. Z tym miał kłopot nie mały. Myślał myślał i nie wymyśleć nie mógł. Myślał jadąc, nadaremnie jednak, pomimo że trzymilowa blisko odległość pomiędzy Zahorowem a Chrustowem dawała mu dużo do myślenia czasu. Jechał i myślał—deszcz zaczął padać.

— Co ja tam, u licha, powiem, gdy przyjadę? po co? na co? A nuż stary zapyta: w jakim asan dobrodziej interesie?

Deszcz się wzmagął.

— Potrzebny! — rzekł sam do siebie. Błota im tylko naniosę.

Dojechał do karczmy obok drogowskazu z napisem: „Zwrót do Chrustowa.“ Kazał furmanowi przed jazdem się zatrzymać i zawołał o otworenie bramy. Arendarz wybiegł z czapką w rękę i z niskimi ukłouy.

— Otwieraj bramę!

— Ny, a to, wielmożny pan zwid Zahorowa! Zaraz, zaraz.

I kłaniał się do ziemi, nie zważając na deszcz.

— Otwieraj! — Krzyknął p. Andrzej gniewnie.

— Ćwierć milki tylko — odparł żyd.

— Ja się o nic nie pytam, chcę jeno na podsień wjechać, ażeby deszcz przeczekać.

— Nie chcą pan wielmożny czekać przez deszcz w Chrustowie?

— Zkąd-że wiesz, że ja do Chrustowa?

— Co zkąd? jakto zkąd? A jakżeby ja tego wiedzieć nie miał?

— Otwórz bramę. Deszcz ustanie, dalej pojedę.

— I nie do Chrustowa? Ny, jak się wielmożnemu panu spodoba...

Otworzono bramę, uprzątnięto naprędcę zawady, które pod postacią wiader, niecek, kołysek, drew, i t. p. na drodze wjazdowej się znajdowały i kocobryk pana Andrzeja wtoczył się na podsień dachem przykrytą.

Prawdę powiedziawszy, dach ów nie osłaniał od deszczu jak należy. Zawsze jednak, p. Andrzej, rad zdarzeniu, które przybycie jego do Chrustowa opóźniało, wylazł z bryczki i do gościnnej udał się izby, odprowadzony przez arendarza, który mu okazywał hołdy, niby panu udzielnemu. Do hoł-

dów ze strony potomków Izraela był przyzwyczajony. Czeili w nim oni męża, „wiedzącego kiedy kupić i kiedy sprzedać.“ Cześć przeto, jaką mu oddawał Icek Rubinsztejn, nie dziwiła go wcale; dziwiło go tylko to, zkąd to go p. Icek zna.

— Zkąd wiesz panie arendarzu, co ja za jeden?— zapytał, zabierając miejsce pod zwierciadłem, przyozdobionem w malowidło, wyobrażające lwa z ogonem w es zakreconym, mającym na końcu dużą z sutym chwastem gałkę.

— Ny — odparł żyd — jakżeby ja o wielmożnym panu wiedzieć nie miał? a to jeszcze!

— Zkądbyś wiedzieć miał!

— Zkądże wielmożny pan, na mil pięćdziesiąt do koła, jest pomiędzy panami „eden a kliger puric....“ My żydkowie wiemy o rzeczach takich. Takich jak pan wielmożny, gdyby ino było więcej, ach waj! coby to było.

— No?

— At—machnął żyd ręką. Na biednych żydziów przyszedłby *a szwarce jur*.

Pan Andrzej uśmiechnął się w wąsy i zapytał:

— To karczma chrustowska?

— Chrustowska.

— Ile idzie?

— Talarów trzysta, ale... a!... Gdyby nie bałabuste, co gęsi na szmalec tuczy, to oddawna już z torbami bym poszedł.

— Szynkujesz przecież.

— Biedna moja hołowka z szynkowaniem takim!

— Trakt... przejezdni.

— Co za przejezdni! Trafia się czasem, jak ślepej kurze ziarno: raz żyd, znów chłop, a pan który, jak podjedzie, tak tylko przeczyta napis na słupie

i wnet do Chrustowa ciągnie. Tam panowie mają popasy, tam noclegi, tam wszystko.

— Cóż tam?

— Nu, nic, dwór, a we dworze, jak zwyczajnie.

— Dziedzic nazywa się?

— Wielmożny pan nie wie? Pan prezes Szamota.

— Pięknje się nazywa. Nie wiesz—zapytał nagle—nie ma on czego na zbyciu?

— Na zbyciu?—powtórzył żyd powoli, namyślając się azali w pytaniu tem nie zawiera się zamysł jaki, tyzcący się przedmiotów przez niego wyzyskiwanych. Na zbyciu? Cóżby tam było! Nu, nie, panny chyba, nic innego. Nu jeszcze i rady.

Na wyraz „panny,“ p. Andrzej się uśmiechnął, na wyraz „rady,“ zapytał:

— Jakie?

— Jakich wielmożny pan potrzebuje. U pana prezesa jest rada na wszystko i dla wszystkich—tu żyd jarmułki poprawił i głęboko się zachlipnął—dla panów, dla chłopów i dla żydków. Mądry, jak Salomon, albo jak rabin brusiłowski. Zapytaj go o co—tu znów się zachlipnął—to ino, głowę pochyli, pomyśli i radzi na wszystko: czy to w sprawie jakiej, czy w kłopotciech, czy na choroby. Aj, co to za człowiek!

Rebe Icek głową kiwał, niby kot gipsowy, co u niego oznaczało zachwyt, p. Andrzej zaś przez ten czas myślał i po chwili wydobył list jakiś z bocznej kieszeni, którego stemplami poznaczona koperta świadczyła, że pocztową odbywał drogę: wyjął go z koperty i czytać począł. Przeczytawszy, napowrót go do koperty wsunął i w zanadrze włożył.

Arendarz przypatrywał mu się z boku w milczeniu i z uszanowaniem, nie wątpiąc, że list ów do ja-

kiegoś odnosić się musi geszeftu. Milczenie trwało minut kilka. Przerwał je w końcu p. Zgrzebłowicz. Zapytał:

— I cóż tam deszcz?

Żyd ku oknu się zwrócił i w zamiatowanych brudem wieloletnim szybach szukać począł szparki, którąby mógł wyrzeć i dowiedzieć się, co się na dworze dzieje, gdy w tem słyszeć się dał turkot kół zatrzymującego się przed karczmą powozu.

— Yy—rzekł sam do siebie i głową pokiwał.

— Cóż deszcz? — powtórzył p. Andrzej zapytanie.

— Idzie sobie, ale ot i panicz z Chrustowa, *herste*, skądci on wraca.

W chwili tej ozwało się wołanie z zewnątrz:

— Icku! a Icku!

Żyd wyszedł, ociągając się i pantoflami klepiąc, niebawem jednak wrócił, poprzedzony przez młodego Stanisława Szamotę, który na progu kończył przemowę, rozpoczętą na bryczce:

— I o cóż ci chodzi, z raty sobie potracisz.

Chodziło snadź o zaliczkę jakąś, na rachunek płaconego z arendy czynszu.

Arendarz pod jarmułką palcami się drapał, skrzywiwszy twarz, jakby od bolenia w żołądku, i do alkierza powoli się udał, Stanisław zaś do p. Andrzeja z powitaniem się zwrócił, zapytując:

— Cóż za losy pana dobrodzieja w nasze zapędziły strony?

— Interesik do prezesa, potrzeba poradzenia się ojca pańskiego w pewnej sprawie.

— Więc jakże! — zawołał młody człowiek — pan dobrodziej nie w Chrustowie ale w karczmie?

— Schroniłem się przed deszczem.

— Lepsze przecie znalazłby pan w Chrustowie schronienie.

— Nie chciałem robić subiekcyi, najeżdżając prezesa z błotem.

— Ale, cóż to za skrupuły! Panie dobrodzieju! Co to za subiekcyal

— I pan dobrodziej—zaczął p. Andrzej.

— Ja co innego. Mnie deszcz złapał o ćwierć mili ztąd; byłbym jednak, nie zważając na nic, dalej jechał, gdyby nie małeńki do Rebe Icka interes. Wracam z Korbaczek. Było tam osób kilka, grano w preferansika, w ekarte, w końcu w djabełka. W preferansika i w ekarte byłem wygrany, w djabełka zgrałem się jak włoskie skrzypce. Wszyscy w Korbaczkach obecni, zamówili się na rewanż do Chrustowa, i oto powód wizyty, jaką składam Ickowi. „Jak bieda, to do żyda“ — i głos podnosząc, zawołał: Rebe Ick! a zwijaj-no się tam!! tylko mi drobiazgu nie dawaj!

— Nu, zkądże ja niedrobiazgu wezmę!—odezwał się głos z alkierza.

— Na twój rachunek kieszenie sobie reperować każe—odparł Stanisław wesoło.

— Nie mam.... jak tylko miedziaki.

— Bodaj cię z miedziakami licho porwało! Cóż to, pięćdziesięciu talarów bodaj srebrem nie znajdziesz!

— Srebrem? Od kiedyż to ja srebra na oczy nie widziałem!

— To papierkami!

W alkierzu ucichło. Po chwili ukazał się we drzwiach Rebe Ick z papieru kawałeczkiem, z kałamarzem i piórem w ręku. Pan Stanisław na papier-

ku słów kilka nakreślił, podpisał się, pieniądze do kieszeni włożył i zwracając się do p. Andrzeja:

— Niechże pan dobrodziej będzie łaskaw—przemówił. Zapraszam pana na moją bryczkę, tylko moja nie kryta.

— Więc zapraszam pana na moją—odrzekł p. Andrzej.

— Wszystko mi jedno.—Jedźmy.

Dał rozkaz swemu furmanowi, ażeby ruszał przodem, wsiadł do koczobryka obok p. Andrzeja i powiózł gościa nowego, którego przedstawił ojcu, ciotce, siostrom, nie wspomniawszy ani słówka o tem, że on w interesie jakimś przyjeżdżał. Nikt go też o to nie pytał. Przyjęto przybysza uprzejmie, zajęto go wnet rozmową o niczem. Wkrótce podano do stołu. Prowadzony przez gospodarza, p. Andrzej zdołał mu półgłosem powiedzieć:

— Przybywam w celu zasiągnięcia światłej prezesa dobrodzieja rady w materji pewnej...

— Będę asanu dobrodziejowi służył—była pana Marka odpowiedź—tylko pierwej posilić się należy. Zjemy co Bóg dał, a potem...

Pod koniec obiadu zajechali goście, którzy się Stasiowi w Korbaczkach zapowiedzieli. Wniesiono nowe nakrycia. Obiad rozpoczął się *da capo*, a gdy się powtórnie kończył, musiał się raz jeszcze rozpoczynać. Konieczność tę sprowadziło przybycie nowych paru osób. Zasiadło pierwotnie do stołu osób ośm, wstało od stołu szesnaście. Płec piękna odeszła. Mężczyźni w przyległym pokoju pozapalali fajki. Podano kawę czarną. Porozkładano stoliki zielone. Pan Stanisław podszedł do p. Andrzeja z czterema w rękę kartami i przedstawił mu takowe do ciągnięcia miejsca.

— A to co?
 — Preferansik, panie dobrodzieju.
 — Słaby ze mnie gracz, a przytem, pragnąłbym interesik załatwić i do domu wracać.
 — Co?—tonem udanego oburzenia zawołał młody człowiek. Takto, p. Zgrzebłowicz, za ledwie przyjechał, a już się do odjazdu zabiera.

— W Chrustowie się nie praktykują okropności podobne—odezwał się p. Marek — zwłaszcza jeżeli ktoś, jak asan dobrodziej, o trzy mile przyjeżdża.

— Właśnie dla tych trzech mil! — podchwycił p. Andrzej. Muszę pospieszać, ażeby na noc zaciągnąć.

— Wyjedziesz pan dobrodziej jutro po rannem śniadaniu.

— Aa!—zawołał p. Andrzej protestując.

— Czy na asana dobrodzieja czekają żona, dzieci?

— Nie, ale—począł bąkać. Państwu dobrodziejstwu subjekeya.

— W chrustowskim słowniku wyraz ten wymazany. Kto u nas gości, ten nam łaskę wyświadcza. Zresztą—kończył p. Marek żartobliwie—ja do interesu nie przystąpię inaczej, tylko muszę pierwej ograć asana dobrodzieja.

Nie było rady. Pan Andrzej kartę wziął i zasiadł przy stoliku, przy którym grał pan Marek. Stawka była bardzo tania: na grosz punktów dziesięć. Pulka poszła raźnie i bez wypadków nadzwyczajnych. Przy drugim stoliku grała młodziź i Stanisław z nią. I tam także rozegrywano pulkę, ale faraonika. Stawka także mała, złotówkowa z parolami, transportami i nape'ami. Ot — bawiano się, dla zabicia czasu. Na dworze się wypo-
godziło, słońce zachodziło wspaniale, zwilżona

deszczem ziemia odmłodziła niby, zieleniła się odświeżonemi trawami, pachniała odżywionemi ziołami. Trzoda z pola wracała. Ryczenie krów, naszczekiwanie psów, pianie kogutów, gdakanie kur, bicie przepiórek, brzęczenie komarów, furczenie żaren, skrzekot żab i odzywanie się supiłki—zlewały się w uroku pełną pastorallę, w cudnie piękny koncert, któremu jeno słuchaczów brakło.

Przepraszam—albo raczej, nie. Nie mam przepraszać za co. Trafnie się wyraziłem, mówiąc o „słuchaczach“ w liczbie mnogiej. Wrzeczy samej, słuchaczów brakło, była jednak słuchaczka, łowiąca uchem ton każdy i każdym się rozkoszująca. Siedziała na kamieniu, łokcie oparła na kolanach i z dłoni zrobiła widełka, w które brodę wsunęła. Siedziała nieruchomie, tak, iż zdaleka za posągby ją widać można. Tylko że wybrała sobie miejsce tak ustronne, iż nikt jej widzieć nie mógł. Smereki cień na nią rzucały, bzu krzewy i dzikich róż krzaki osłaniały ją. A te smereki, ten bez i te róże obrastały kamień, na którym siedziała, a który był kamieniem grobowym i miał na sobie wykuty napis:

D. O. M.

Tu leży Róża z Kozarskich Szamocina i t. d.

Słuchaczka widziała ztamtąd dwór naprzeciwko i w pejzażowej perspektywie wieś rozlegającą się nad stawem. Jej jednak nie widział nikt. Wsłuchana siedziała, tylko niekiedy westchnęła, niekiedy zaś z ust jej wydzierał się zachwytem nabrzmiały okrzyk mimowolny:

— O Boże!.. o Boże!..

Przesiedziała tak z godzinę, jeżeli nie dłużej. Koncert wieczorny zmienił się pod tym względem,

iż odpadły instrumenta niektóre. Pozostały jeno żaby, komary, przepiórki i na łotokach szumiący młyn,—Słuchaczka wstała, przez chwilę na kamień patrzyła, westchnęła i odwróciwszy się, zatrzymała dłużej nieco wzrok na dworze, którego okna odbijały promienie zachodzącego słońca. W powietrzu rozlewała się uroczność i uroczystość jakaś. Słuchaczka się uśmiechnęła, głową pokiwała i sama do siebie rzekła:

— Czyż to się godzi w wieczór taki w karty grać!..

Ramionami ścisnęła, i po za wieś obchodząc, przebierać się poczęła ze smętarza ku dworowi.

I my z nią zawołamy:

— Czy to się godził!..

Prawda, grano po niczemu prawie. Przy jednym stoliku pan Marek przegrał groszy dwadzieścia i pięć, przy drugim Kazio jakiś wygrał talarów ośmnaście i pół!.. coż to znaczy?.. nie. Ale czas! Czasu szkoda. A hłuzdy?.. Myśl ta, którą zaprzętać potrzeba kombinacyami bez sensu, nie znajdującymi zastosowania żadnego, nie odnoszącymi się do niczego, idącymi na wiatr, myśl ta czemś rozsądnem zajęta, sprowadzićby mogła korzyść jakąś bodaj najdrobniejszą, czy to pod postacią wiadomości jakowej pożytecznej, czyli też w formie poglądu, przedsięwzięcia, zamiaru. Zabawianie się w gry najniewinniejsze wszystko to z głów wystrasza a przytem nęka umysł, czyniąc go niezdolnym do funkcyonowania w razach wymagających zastanowienia się poważnego.

Ach! zkąd to u nas mężowie poważni takie wymyślają banialuki.

Zabawiają się niewinnie w gry „komercyjne?“

Na gry owe „komercyjne,“ których nazwa sama jest bezsensowną, czasu, panowie, i hłuzdów waszych szkoda! Wolelibyście zabawiać się w kręcenie młynca palcami, w struganie patyczków, w wiązanie węzełków, w kiwanie się jak żydzi gdy majufes wrzeszczą, w cokolwiek, byle nie w wiścikowe, preferansikowe, gieryłaszykowe kombinacye, będące głupstwem ostatecznem, głupstwem nad głupstwami.

Co za przykład dla młodzieży, gdy starsi głupstwu czas i myśli poświęcają!

Tfu!...

Kiedy się jedyna koncertu wieczornego słuchaczka ze smętarza ku dworowi przebierała, we dworze kończył się właśnie, tu faraonik, tu preferansik, w przyległym zaś pokoju odezwały się akordy fortepianu i z pod palców czyichś wypłynął melodyjny utwór Szuberta, rąbany haniebnie ale śmiało.

— A! — zawołał jeden z młodych, ukazując palcem i oczami na drzwi pokoju bawialnego.

— Kolej na damy! — rzekł inny. Odegraliśmy swoje my, i *arte*, wyznać należy, tylko się Wacek zapalał trochę. Teraz damska rozpoczyna się gra... Słuchajmy.

Od stolika preferansowego panowie wstając, wyciągali się — krzyże prostowali. Ten i ów stękał i boki sobie kufakami ugniatał — tak się setnie ubawił.

— Po herbacie — odezwał się jeden — powtórzmy.

Ktoś zaprotestował, składając się potrzebą jechania do domu, lecz mu wyperswadowano, powiadając że pulka rozegra się prędko i noc księżycowa nie stanowi przeszkody w przebyciu milki.

Pan Marek zbliżył się do pana Andrzeja.

— Służę asanu dobrodziejowi do mego pokoju... tam spokojnie pomówić będziemy mogli.

Poprowadził gościa przez szereg izb kilku i wchodząc do ostatniej prosił go, ażeby zajął krzeselko i sam usiadłszy obok, zapytał:

— Więc tedy, panie dobrodziej?..

— Jest odparł — zapytany — materya trochę delikatna, tycząca się familijnych moich stosunków. Prawie mi wstyd, iż tem zatrudnić prezesa będę... Wiedząc jednak, że prezes dobrodziej z ochotą rad swoich udzielasz wszystkim, ośmielam się prosić go o udzielenie i mnie. Jeżeli przeto wolno?..

— Proszę asana dobrodziej...

Pan Marek poprawił się na siedzeniu i przybrał postawę gotowości słuchania z uwagą wielką. Pan Andrzej zaczął:

— Rzecz taka... Mam siostrzeńca,—Adam Kozarski...

— Kozarski? — przerwał pan Marek — jak ojcu jego na imie?

— Hipolit.

— A! Pytałem o imie, albowiem nieboszczka żona moja z domu była Kozarska, myślałem więc, że może pokrewieństwo jakie. Ale nie. Imiennik tylko. Hipolita żadnego w tej rodzinie nie było... I cóż?

— Adama wziąłem, nie tyle na wychowanie, ile na odpowiedzialność moją. Oddałem chłopca do szkół: uczył się dobrze, przechodził z klasy niższej do wyższej i, tak idąc, zaszedł aż do uniwersytetu. Obecnie znajduje się na uniwersytecie; za rok kończy. Oddawałem go do szkół w tym zamiarze, ażeby mu ułatwić sposób nabycia uczciwie chleba kawałka,

ażeby się wykierował, czy to na księdza, czy na prawnika, czy na inżyniera, czy na lekarza, czy na urzędnika, czy zresztą na gospodarza. Uczył się: jam mu nie przeszkadzał, w tej myśli, że jeżeli od każdego przybytku głowa nie boli, tem mniej boleć musi od przybytku nauki. Przechodził ze szkoły do szkoły. Ja zawsze miałem nadzieję, że się wykieruje na coś i kiedy mi doniósł, że wstąpił na kurs ostatni, napisałem do niego, zapytując, co z niego będzie: ksiądz, prawnik, inżynier, lekarz, urzędnik, czy też ma ochotę do mnie, na praktykę gospodarską przyjechać?

Zatrzymał się, odetchnął; pan Marek zapytał:

— I coż?

— A cóż!.. Niech prezes dobrodziej będzie łaskaw przeczyta list, jaki w odpowiedzi na zapytanie moje otrzymałem.

Wyjął list z zanadrza i takowy panu Markowi podał.

Pan Marek włożył okulary, do okna pismo zbliżył i oczami je uważnie od początku do końca przebiegł. Skończywszy, list panu Andrzejowi wręczył.

— Cóż pan prezes dobrodziej na to?

— Hm... Moja rada, nie przeszkadzać. Asan dobrodziej postąpiłeś sobie zanie i rozumnie, podając chłopcu rękę. Nie czytałem wprawdzie prac z podpisem Ateka, ale coś o nich słyszałem... dziewczęta moje w peryodycznych pismach je czytały i unosiły się nad jędrnością stylu, świeżością myśli, poetycznością obrazów. Kto wie! Młody człowiek zdolnościami obdarzony, zajść może daleko...

— Ale dokąd, prezesie dobrodzieju?

— Literatura jest niwą, tak sam jak ta, którą uprawiamy, pan i ja. I ona potrzebuje rąk i pracy

— Ale czy się ta praca opłaca?

— Hm. Opłaca się gdzieindziej, u nas nie. Jest to jednak naszą potrzebą, życia świadectwem, przyszłości rękojmią. Naród bez literatury jest narodem zamarłym, i dla tego nie godzi się nam do takowej zrażać młodzież, okazującą talenta rzeczywiste, jak siostrzeniec asana dobrodzieja. Tam gdzie się ona opłaca, tam garną się do niej i ludzie bez talentów, parobkując przy niej i chleba kawałek znajdując. U nas zaś, zastęp ten składa się z ludzi, wiedzących o tem z góry, że maszerować będą głodno i boso drogą żywota. Potrzeba więc im przynajmniej nie przeszkadzać. Niech maszerują.

— Więc prezes dobrodziej radzi?

— Nie przeszkadzać.

Pan Andrzej zamyślił się. W milczeniu upłynęło chwil kilka. Ciszę, jaka w pokoju panowała, przerwało jeno skwarczenie tytoniu w fajce p. Marka. Nakoniec milczenie przerwał p. Zgrzebłowicz.

— Ot, wie pan prezes co — rzekł — dobrze zrobiłem, zem się pana dobrodzieja poradził. Ja zupełnie myślałem co innego. Literatura? Mnie się wydawało, że gdyby Adam został księdzem, dajmy na to, to mógłby się bezpiecznie, chrzcząc i grzebiąc ludzi, literaturą zabawiać. Mnie się ona nie przedstawiała, jako niwa, potrzebująca uprawiaczy specjalnych. Teraz jednak zrozumiałem o co chodzi. I niwa niwie nierówna: tu czarnoziem, tam glina, ówdzie piasek; nie godzi się jednak opuszczać tej ostatniej, dla tego, że piaszczysta. Dajmy więc na to, że nasza literacka niwa jest piaszczystą: nie godzi się, dla tej tylko przyczyny, pracowników z niej

odciągać. Niech więc mój Adam idzie tą drogą, na którą go ciągnie własna jego ochota.

— Powołanie—podpowiedział p. Marek.

— Niech będzie powołanie. Dobra pana prezesa rada. Dziękuję mu za nią. Miałem na myśli, odpisując Adamowi na list jego ostatni, kazać mu uniwersytet opuścić, do Zahorowa przyjechać i, ponieważ się u mnie tartak stawia, przy tartaku do roboty stanąć, ażeby się nauczył młyny budować. Na zimę zaś, zamierzałem do gorzelnika go na praktykę posłać. Uważałem, że dwa takie farchy, jak budownictwo młynarskie i gorzelnictwo, więcej warte, aniżeli literatura.

— Zapewne—jak dla kogo—podechwycił p. Marek. Są literaci i u nas, co się z powołaniem swoim rozminęli i lepszymi byłiby gorzelnikami lub młynarzami, są jednak gorzelnicy i młynarze, którzyby mogli piórem ogółowi z wielką służyć korzyścią, gdyby im jeno okoliczności pozwoliły. Bo nasz na ziemi przechód jest służbą, panie, służbą względem dzieci naszych, a przez nie względem ogółu, a przez ogół względem potomności. Tak, panie dobrodzieju, służymy wszyscy, bez wyjątku, bez różnicy; tylko że, niestety! nie wszyscy zadanie, jakie uspołecznienie nam do rozwiązania daje, rozumiemy. Ztąd to, z tego niezrozumienia, pochodzi wyzyskiwanie ogółu przez jednostki, nie chcące lub też nie umiejące zastanawiać się nad tem, w jakim one przez to trudnem dzieci własne, a nie dzieci to wnuki, prawnuki, położeniu stawiają. Za służbę należy się jednostkom od ogółu wynagrodzenie, nie więcej: co nadto—to już krzywda, która w logicznem spraw ludzkich następstwie, pokutę sprowadza. Drogą tą przychodzą zaburzenia spó-

łeczne, wzburzenia polityczne, występki i zbrodnie codzienne. Służba nasza przedewszystkiem zamienną być powinna, to też, podług mnie, nie należy, tych, co od nas, bądź jako dzieci, bądź jako pupile, w zależności pozostają, zmuszać do młynarstwa, kiedyby oni dobrymi być mogli szewcami, albo do szewctwa, kiedyby mogli ogółowi piórem służyć. Niech służą czem mogą. Nie przeszkadzajmy im, raczej pomagajmy.

— Otóż to — zakonkludował p. Andrzej. Adam Ickowi ma do podziękowania.

— Jakto? — zapytał p. Marek.

Pana Andrzeja zapytanie to zmieszało nieco. Przypominamy sobie, że wyjeżdżając z domu, nie wiedział jakim pretekstem wizytę w Chrustowie osłonić. Pretekst nasunął mu Rebe Icek, powiedziaławszy, że prezes radzi wszystkim na wszystko. Wówczas to powziął zamiar poradzenia się go co do Adama, zamiar, który mu niby natchnienie przywiódł. Nie zdawało mu się potrzebnem z natchnienia tego przed p. Markiem się spowiadać. Ztąd to, zmieszało go nieco zapytanie. Dał odpowiedź wymijającą i w celu zatarcia wrażenia, sprawionego przez niechęć z ust wyszła wzmiankę o Icku, prosił pan Marka o pozwolenie przedstawienia siostrzeńca, kiedy ten nauki ukończy.

— Ależ panie! — była odpowiedź tegoż. Dom mój otwarty dla wszystkich, mianowicie zaś dla takich, jak asan dobrodziej i siostrzeniec jego. Proszę, i owszem, bardzo proszę! proszę odwiedzać nas jak najczęściej. Będzie to dla mnie przyjemność prawdziwa, a tymczasem — herbata już zapewne podana, czekają tam na nas, czeka także i preferansik.

Zmierchało. Przy herbacie wniesiono świece.

Po herbacie grono męzkie obsiadło zielone stoliki i tym razem, preferansik rozstrzygnął się groszami dwunastu, djabełek zaś, który miejsce preferansika zajął, wygranę od Kazia przeniósł na Stasia.

W bawialnym pokoju napróżno odzywały się kolejno utwory to Szubert'a, to Verdi'ego, to Rossini'ego, to znów Szopena, Moniuszki i t. d.

Nastąpiła wieczerza. Po wieczerzy znów preferansik na jednym, jakaś zaś gierka równie niewinna na drugim stoliku. Na spoczynek udano się o północy.

Nazajutrz po śniadaniu p. Andrzej odjechał. Po odjeździe jego, p. Marek kiwnął na Stanisława i powiedział mu na stronie:

— Pojeżdż-no ty do Zgrzebłowicza z wizytą. To się jemu należy, człowiek ucziwy. Ateka to siostrzeniec jego, Adam Kozarski.

— O?—zawołał Stanisław—kolega mój szkolny.

W ten sposób zawiązał się stosunek. Staś, w kilka dni później, był w Zahorowie, co ośmieliło pana Andrzeja do ponowienia odwiedzin w Chrustowie. Z odwiedzin w odwiedziny, doszło w końcu do tego, że dzierzawca Zahorowa uczynił młodemu Szamocie wiadomą deklarację, która scenę domową sprowadziła. Co się deklaracji tej tyczy, jest jedna do zanotowania osobliwość. Panu Andrzejowi pannenki się podobały, bardzo podobały, dowiedział się która jakie imię nosi, i wiedział, że panna Aleksandryna starszą jest od panny Henryki, ta zaś ostatnia od panny Ewy, nie wiedział jednak, że nie są to siostry rodzone i brał je wszystkie trzy za Szamocianki. Pokazuje to, że nie był bardzo ciekawym, a raczej, że ten sposób, w jaki w Chrustowie gości bawiono i czas spędzano, stawiał płęć niewieścią

w cieniu, maskował ją, spychał panienki na stanowisko podrzędne, na którym ich rozpoznać nawet dokładnie nie było można. Pozostawały one w odosobnieniu, pomimo tłumy ludzi, jaki je otaczał. Biedne kwiatki!

V.

Pani Tulicka w niemałym znalazła się ambarasie, gdy pułkownikowa przedstawiła jej jasno szkodę całą, jakaby poniosła Olesia, gdyby ją zaafiszowała p. Andrzeja Zgrzebłowicza deklaracya. Nie zrozmiała też rady zacnej tej niewiasty, tyczącej się przyklepienia afisza na kim innym.

— Pani kochana—zapytała—nastrajając minę na ton niewinności łagodnej. Jakże to tu ten afisz przyklepić?

— Umknąć jedną, a na jej miejsce podstawić drugą.

— Jedną? drugą?—powtórzyła p. Tulicka, przez pół się domyślając—na miejsce Olesi, Henrysię?

— Czy pani dobrodziejce tak o Szamociankę chodzi?—zagabnęła pułkownikowa impertynencko.

— To jest, pani droga, one mnie obchodzą także, obchodzą bardzo, nie mniej jak moja Olesia, i Bóg widzi, pragnęłabym dla nich, o! nieba przychylić, kocham je, pomimo, że mi one równem nie odwzajemniają się uczuciem. Trudno jednak, ale, ja je kocham, bardzo kocham.

— Jaka pani dobra! bezinteresowność wcielona!

— O! jużto, co się tego tyczy, to nie mam sobie do wyrzucenia nic, i jeżeli się Panu Bogu podoba przed siebie mnie powołać, stanę śmiało i powiem: sądz mnie Panie!

— Że pani kochana pójdzie do nieba prosto, w tym względzie najmniejszej nie ma wątpliwości.

— A i pani kochana nie pójdzie gdzieindziej.

— Ha, mrugnęła pułkownikowa brwiami. Tymczasem jednak, zanim się dla nas nieba otworzą, myślimy o urządzeniu spraw ziemskich. Czy wie pani co: dla Henrysi nie będzie afiszowaniem się to, coby afiszowaniem się dla Olesia było.

Pani Tulicka nie zrozumiała twierdzenia tego, pomimo, że do zrozumienia onego wielką, z oczu bijącą ochotę okazała

— Rzecz prosta i naturalna — tłumaczyła pułkownikowa. Henrysia ma ojca i braci. Olesia nie ma.

— Prawda! — zawołała pani Tulicka przeciągle. Anim o tem myślała! Jakże to pani kochana na wszystko uwagę zwraca!

— Ha! do tego się dochodzi praktyką życia, doświadczeniem, i pani dobrodziejka, gdybyś, jak ja, z pułkiem się włóczyła, to takżebyś uwagę na wszystko zwracała. Owoż: Henrysia, mając ojca i braci, nie lęka się kompromitacyi i może się bezpiecznie na deklaracyę wystawić. Dla niej nie będzie to zaafiszowaniem.—Nie zechcą jej wydać. nie wydadzą, zechcą — wydadzą, a chociażby i wcale za mąż nie wyszła, to ma punkt oparcia w Chrystowie. O nią mnie głowa nie boli, za to jednak, tem bardziej, obchodzi mnie moja Olesia, kochana, luba, słodka Olesia!

— Jaka pani łaskawa!—wtrąciła p. Tulicka.

— Kocham się w niej, powiadam pani dobrodziejce, kocham się w niej!

— Pani droga!

— Gdybym się na miejscu Zgrzebłowicza znajdowała, tobym się o nią biła. Tylko, że Zgrzebło-

wiecz taki niezdolny do uczuć podnioslejszych. Po prostu, wietrzyć musiał talary, nie więcej; tem jednak natarczywszym będzie, hm? Ileż tam tego jest? tysięcy kilka?

Zapytanie to w widoczny matkę Olesi ambaras wprowadziło. Bąkać poczęła:

— Prawdziwie, ja nie wiem, bo to tam zachodzą procenta jakies. Brat Marek wie, ale, co do mnie, nie wiem, czy jest tego tysięcy kilka, czy kilkanaście. Jest tam coś.

Przez czas tego bąkania, pułkownikowa z podgłowy wzrokiem ją przeszywała na twarzy zaś miała uśmiech słodziutki. Odezwała się w końcu:

— Dla mnie, ona sama, jak jest, bez niczego, milion warta, sama bowiem jest perełką, na którą ceny niema, słodka! luba! Jednakże, trzeba ją usunąć, trzeba ją, ot, zdmuchnąć Zgrzeblowiczowi z przed oczu.

To mówiąc, na dłoń sobie dmuchała.

— Jakże to pani kochana?—zapytała p. Tulicka, z miną zafrasowanie oznaczającą.

— O! nie łatwiejszego. Po deklaracyi nastąpić muszą oświadczyuny, które nastąpić nie będą mogły, jeżeli przedmiot takowych obecnym nie będzie. W takim razie, Zgrzeblowicz, albo od projektów odstąpi zupełnie, albo też zwróci się z takowemi do Henrysi. Rozstrzygnąć się to musi w przeciągu miesiąca, najdłużej. Niech więc pani kochana — kończyła tonem proźby rzewnej — na miesiąc ten prawa swoje macierzyńskie do Olesi ustąpi mnie.

— Pani pułkownikowo!—zawołała matka.

— Niech ona u mnie zabawi. Będę nad nią czuwała; będzie jej u mnie, nie jak u matki rodzonej,

ale jak u baby starej, co się w niej kocha. Zabraknie jej towarzystwa, to prawda; będzie trochę samotnicą; ale, trochę ja, trochę zaś brat mój, hrabia Jałomnicki, który, tę mu sprawiedliwość oddać muszę, przy damach szarmanekim być umie, będziemy się starali osłodzić jej chwile wśród nas pędzone. To jej zresztą na złe nie wyjdzie, że w towarzystwie hrabiego dni kilka spędzi.

— Ach! i jakżeby na złe wyjść miało! — zaprotestowała p. Tulicka.

— Otrzeć się o człowieka z wyższego miasta, z lepszego towarzystwa. Dla młodej panienki to potrzebne.

— Ach! i jak jeszcze.

— To ją ośmieli, ogładzi i naturalnemu blaskowi polor nada. Mówię z panią kochaną otwarcie, jakbym była drugą Olesi matką.

— Ja też, słów znaleźć nie umiem na wyrażenie pani drogiej całej wdzięczności mojej, tylko, tylko....

— Co?—zapytała pułkownikowa, widząc p. Tulickiej zakłopotanie.

— Jam się z nią nie rozstawała nigdy w życiu na chwilę jedną.

— Jest-że to rozstanie! Miła drogi. Pani będzie mogła mieć wiadomość o Olesi dwa i trzy razy w dniu każdym. Prezes, pewną jestem, posłańca nie odmówi. A zresztą, poświęcenie... poświęcenie macierzyńskie.

— Ha! niema co—podchwyciła p. Tulicka, przekonana wyrazem ostatnim. Niech się dzieje wola Boża. Kiedy pani droga taka łaskawa! Nie mam słów na podziękowanie jej; nie wiem czem na tyle zasłużyłam dobroci; tylko—tu głos do skali błaga!

nej zniżyła—jeżeliby dziecko moje przykrość jej jaką wyrządziło, proszę z góry o przebaczenie.

— O! co znów!

— Olesia u mnie jedna, a więc przyzwyczajona do... hm.

— Rozumiem, rozumiem, pani kochana—odparła pułkownikowa, dłoń podnosząc. Jest troszeczką rozpieszczona, lubi sucharki, biszkopeciki, przysmaczki.

— Pani droga!

— Potrzeba jej co chwilka coś wetknąć do chrupania.

— Pani najdroższa!

— Znam się ja na tem, o! znam. Niechże pani spokojna zupełnie o kochankę swoją będzie.

— Powierzam pani mój skarb najdroższy.

— Dajesz go pani w dobre ręce. Olesię oskrzydła z jednej strony moja pieczołowitość, z drugiej atencya hrabiego. Niech pani spokojną będzie zupełnie.

— Oh! proszę pani.

Nie skończyło się jednak na tem, że się matka zgodziła. Pozostawało jeszcze uzyskać zgodę córki. Olesia, gdy się dowiedziała o propozycyi pułkownikowej, przyjęła ją zrazu ochoczo; wnet atoli rozżaliła się na myśl rozstania z matką, oddawała się rozpaczom, zalewała się łzami, zanosiła modły do Stwórcy o dodanie jej odwagi; raz się zgadzała, znów zaprzysięgała iż potęgą żadną od matki jej nie oderwie, w końcu, w imię poświęcenia zakłętą, zdecydowała się.

Poświęcenie — urocze to słówko. Heż to kobiet zaprowadziło ono na bezdroża! Bywa ono—nawiasem powiedzmy—kółkiem w nosie i na mężczyzn,

nie umiejących dawać sobie rady z prostymi, zwykłymi, powszednimi obowiązkami, mającemi się do poświęceń, tak jak zdrowy obiad ma się do obiadu, złożonego z samych cukrów, lukrów i wydmuchów.

Owóż tedy, poświęciła się matka dla córki, poświęciła się następnie córka dla matki, i zaopatrzona w pościel tyle iżby na dwie starczyło, w bieliznę i ubrania tyle, iżby odziewać i ubierać można panienek trzy przez rok cały, w książki, w nuty, w krosienka, kanwy, włóczki, szydełka, igiełki, necesserki i w drobiazgów mnóstwo takie, iż pod nie osobną dawać potrzeba było furę, zaopatrzona w czterdzieści siedem razy powtórzone błogosławieństwo matki, łzami jej i łzami panien Szamocianek oblana, pojechała panna Aleksandra Tulicka z Chrustowa do Gawronów.

Przed pannami Szamociankami, które żegnając kuzynkę płakały, a płacząc nie wiedziały czego, wyjazd jej upozorowanym został tem, czem się pozoruje dziewięć-dziesiątych kroków fałszywych, przez istoty czułe stawianych—poświęceniem. Tylko mu nadano wytok nieco odmienny. W obec panien Szamocianek, tak p. Tulicka, jak panna Tulicka poświęcały się dla pułkownikowej, która w samotnem życiu swoim potrzebowała towarzyszek, zalet rozlicznych pełnej. Dla panny Henryki i dla p. Ewy doskonałość Olesi stanowiła artykuł wiary. Nie dziwiły się wcale, że ją a nie z nich żadną pani Kawska wybrała, płakały rzewnie, a kiedy uwożący pułkownikową i Olesię pojazd z oczów im znikł, pocieszały szczerze rozsłochaną p. Tulicką.

— Ciociu, ciociu kochana, ciociu droga — były to słowa p. Henryki. Niechże ciocia ten smutek, ten

żał, tę boleść Panu Bogu ofiaruje. Pan Bóg cioci wynagrodzi stokrotnie.

— Ach!—zawołała p. Tulicka. Miesiąc cały bez Olesi!

— My cioci kochanej...

— Co wy!—przerwała. Och! Olesiu moja. Teraz dopiero—działo się to w kwadrans po odjeździe pułkownikowej — teraz poznaję, że mi ciebie nikt nie zastąpi. Och! jakże ja ten miesiąc przeżyję.

Podniesienie żalu do skali tak wysokiej, czyniło pocieszenie wszelkie niepodobnem. Pani Tulicka płakała i modliła się, modliła się i znów płakała. Tak upłynęło godzin parę, poczem zasiadła do pisania listu i nad wieczorem posłańca do Gawronów wyprawiła. Żal jednak, w apogeum swoim, objawił się dopiero nazajutrz rano, powodem zaś onego było to, że śnił się jej książę Albert i nie miała komu snu powiedzieć.

— Teraz dopiero, teraz, dłonią trzęsąc i oczy wzniesione trzymając, wołała - brak jej czuje! Teraz, ach! teraz.

Zasiadła do listu. O godzinie dziesiątej pojechał do Gawronów posłaniec, rozmijając się z tym, który ztamtąd odpowiedź na list z wieczora wyprawiony przynosił.

Objawy rozpaczne powtarzały się regularnie rano, po obiedzie, po herbacie i po wieczerzy, czas zaś przed obiadem, przed herbatą i przed wieczerzą poświęcony był pisaniu listów, z których pierwszy, zaczynany z wieczora, był zawsze najdłuższym, obejmował bowiem, obok wynurzenia uczuć, sprawozdanie tak z wypadków dziennych, jako też ze zdarzeń sennych. W liście poobiednim uskarżała się zazwyczaj przed córką na niewdzięczność młodego

Szamotów pokolenia, i dawała charakterystykę Stasia, Gucia, Henrysi i Ewuni. Stasio występował zawsze jako potwór. Gucia nazwała raz „szczeniátkiem, zaprawiającem się do szczekania przy starszym bracie.“ Nad Henrysią litowała się.

„Byłaby niezłą — pisała razu pewnego — gdyby nie takie rodzeństwo.“

Ewunię przedstawiała zimną jak głaz i przesiąkniętą egoizmem.

Olesia, odpowiadając matce, rozpisywała się o tęschności swojej i o życiu w Gawronach. Listy jej odznaczały się monotonnością treści i różnaitością formy, zależącą na strzępiastości frazesów, występujących coraz to inaczej: raz z wykrzyknikami, znów bez wykrzykników, raz z pytajnikiem, znów bez takowego, raz długo, znów krótko, raz w przenośni, poszukiwanej na księżycu, na niebie, pomiędzy reniącemi łzy gwiazdami, pomiędzy ulatniającemi się w woniach kwiatami, i t. d., znów wyrażając się wprost, bez najmniejszych ozdób retorycznych. Niekiedy pisała wierszami. Listy od niej p. Tulicka na piersiach chowała, chcąc je trzymać obok serca jak najbliżej; otrzymując je atoli po trzy na dzień, upakowała sobie w krótkim czasie piers tak, że widziała się wkońcu zmuszoną rozłączyć się i z niemi. Był to moment dla niej nad wyraz wszelki bolesny. Złożyła je w biórku osobno i odczytywała na dzień po razy parę od pierwszego do ostatniego. Przy odczytywaniu często wydzierały się jej z ust wykrzykniki:

— Ach! ta pułkownikowa, cóż to za kobieta! Ach! ten hrabia, cóż to za człowiek! szkoda tylko że — hm ...

Tęschniła do córki, pragnęła jej powrotu, jakoż

doczekała się takowego rychlej niż zrazu przewidywała. Sprowadziły go wypadki, dla obznajmienia się z którymi musimy na chwilę odwrócić uwagę od p. Tulickiej i od jej Olesi.

Wypadki te sprowadziły się same przez się, wychodząc z punktu, którym była deklaracya p. Zgrzebłowicza. Geneza tej deklaracyi zasługuje na podniesienie.

Pan Andrzej zdał przed matką dokładną z pierwszej swojej w Chrustowie bytności sprawę, opowiadając, jak tam czas pędzą.

— Ha! taka to już ich natura—rzekła baba sentencyonalnie—stary jednak do serca ci przypadł.

— I jak jeszcze! Człowiek i zacny i rozumny, zdaje się jednak, jakby pod korcem siedział.

— Bo też siedzi. Ale co tam! A panienki?

— Widziałem je zdaleka.

— To dosyć. Cóż? podobają się tobie?

— Bardzo.

— To i dobrze. Wybierz-że sobie którą i zacznij koperczaki ciąć.

Wyrazy ostatnie wymówiła baba z naciskiem.

Pan Andrzej odparł:

— Bah....

Stara pani Zgrzebłowiczowa rozwodzić się szeroko poczęła nad korzyściami wynikającymi z dostania żony z dobrego gniazda.

Nie wiadomo, czy i o ile przedstawienia matki do przekonania p. Andrzeja trafiły. Przypuszczać należy, iż zgadzały się one z przekonaniem jego własnym, z drugiej znów strony, p. Marek sprawił na nim wrażenie i panny, oglądane przy stole, podobają mu się bardzo — tak dalece, że powracając z pierwszej w Chrustowie wizyty, bawił się, co mu

się nie zdarzało nigdy, marzeniem o tem, jakby to było pięknie, gdyby jedna z nich, w roli gospodyni domu uwijała się w Zahorowie przy stole.

Ludzie są ludźmi—to darmo.

Człowiek taki jak on, nie pominął kwestyi posagowej. Zapytał o nią; lecz sam sobie dał nawet odpowiedź praktyczną, biorąc takową z punktu religijnego, upoddaniającego żonę mężowi. Z tego wychodząc punktu, nie wydawało mu się rzeczą godziwą, domagać się wraz z żoną jeszcze i posagu. Uważał, że strona zaprzysięgająca posłuszeństwo, nie powinna być zobowiązowaną do opłacania strony, której posłuszną być ma.

— Zresztą—powiadał sobie—mam, dzięki Bogu, dosyć, wystarczy na dwoje i na więcej niż dwoje.... Będzie co, dobrze. nie będzie, drugie dobrze. Swobodniejszym nawet czuć się będę w obec żony, która mi nie wniesie nic.

Miarkował, że w takim razie, zostanie rzeczywistym w małżeńskiej sytuacji panem.

Dodać do tego należy, że o ile wprawne jego oko widzieć mogło, nie można było liczyć na to, ażeby panny sute z Chrustowa pobierały posagi. Było ich trzy, braci dwóch.

— E... Pan Bóg z niemi!—ręką machnął i rzekł tonem postanowienia silnego:—Spróbuję! Dobrze—powiada matka: „kupić nie kupić.“ Korona mi z głowy nie spadnie.

Zamierzał odwiedziny w Chrustowie powtórzyć, kiedy z wizytą do niego przyjechał p. Stanisław. Była to woda na jego młyn. Przyjął gościa uprzejmie; obwoził go po gospodarstwie; zapolowali na kaczki w oczeretach. Za wątek rozmów służył im Adam Kozarski, którym się pan Andrzej chwalił,

opowiadając Stanisławowi rozmowę, jaką względem przyszłości siostrzeńca swego miał z p. Markiem.

Stanisław zaprosił p. Andrzeja do Chrustowa.

Stosunki pomiędzy Zahorowem a Chrustowem związały się, zagęściły; pomiędzy panem Andrzejem a p. Stanisławem nastąpiła poufałość — i przyszło w końcu do tego, że Zgrzebłowicz. westchnąwszy raz i odchrząknąwszy razy parę, zaczął młodego Szamotę w sposób następujący:

— Powiedz mi tylko szczerze czy nie miałbyś przeciwko temu nic, gdybym sięgnął po rękę jednej z waszych panien?..

— A cóżbym przeciwko temu mieć mógł!... była zaczepionego odpowiedź.

— A prezes?..

— Nie wiem, o ile jednak zdawać mi się może, to i ojciec nicby przeciwko temu nie miał.

— Ani pani radczyni?..

— O!.. z ciotką ja na bakier, to w imieniu jej odpowiedzi nie daję..

— Słuchaj... ja ci się tam na koperczakach nie znam i czasu zresztą nie mam... Gospodarstwo—kłopotarstwo... Czy nie podjąłbyś się wyrozumieć?..

— Kogo?..—zapytał Stanisław.

— Prezesa, panią radczynię, panny...

— Którą mianowicie?..

Na zapytanie to, które, acz naturalne, spadło jednak na pana Andrzeja niespodzianie, ten po nosie się dłonią pogładził, wąsy palcami rozgłaskał, kalsznał, głową skinął, ręce rozłożył i odparł:

— Bodajby mnie piorun trzasnął, jeżeli wiem.

— No... przecież? — rzekł Stanisław, rumieniąc się.

— Powiem po chłopsku: I ta barna, i ta barna, i ta ne poharna.

— Do trzech jednak zalecać się—jakoś nie wypada.

— Zalecałbym się do jednej, gdybym wiedział, która z nich najochotniej poszłaby za mnie.

— Ba...

— Nie wiesz ty przypadkiem?

— Bodajby mnie piorun trząskł, jeżeli wiem—odparł Stanisław, przedrzeźniając odpowiedź jego.

Pan Andrzej brwi marszczył i po czole dłonią się tarł. Wreszcie rzekł:

— Ha! ot sęk.

— Pierworodny—dorzucił Stanisław.

— Czy nie mógłbyś przeto wyrozumieć, któraby mi harbuza nie dała, zaczynając, naprzykład, od...

— Najstarszej, Olesi?—podpowiedział Stanisław.

— Nie, możeby lepiej było zacząć od najmłodszej zaczynając bowiem od najstarszej, to, gdy ona odpali, młodsze pójdą za nią i odpalą także; gdy zaś najmłodsza odpali, to starsze... hm... może... nie będą się poczuwały do obowiązku iść za jej przykładem. He? cóż myślisz?

— Kombinacja nie jest racjonalności pozbawiona.

— Mogę więc ciebie o wyrozumienie prosić?

— Owszem, zapytam. Chcesz więc tak: jeżeli nie Ewunia, to Henrysia, jeżeli nie Henrysia, to Olesia?

— Ewunia—poprawił, panna Ewa najmłodsza?

— Najmłodsza.

— Dobrze, niech przeto będzie tak: jeżeli nie panna Ewa, to panna Henryka, nie panna Henryka, to panna Aleksandra. Mnie to wszystko jedno. Chciałbym się ożenić, takie bowiem jest przeznaczenie nasze; mam dla pana prezesa cześć głęboką; pragnąłbym gorąco, ażeby teściem moim, ojcem

drugim. był nie kto inny, jeno on. Uważałbym to sobie za zaszczyt i za szczęście wielkie.

— Chodzi ci więc bardziej o teścia, aniżeli o to, kto ma być żoną twoją...

— Jakie drzewo, taki owoc — odparł pan Andrzej na uwagę powyższą. Biorąc żonę z domu prezesa, z góry w niej byłbym zacności pewnym... A zacność, to grunt. reszta przyjdzie... Jestem człowiekiem zamożnym...

— I uczciwym — dodał Stanisław.

— Chciałem powiedzieć i nie starym, nie sknerą, nie kutwą... Żona rozsądna mogłaby mieć pociechę ze mnie... Proszę cię przeto, zechciej wyrozumieć i wyrozumiawszy, powiedz mi otwarcie, poradź po przyjacielsku...

Ton wyrazów tych taką brzmiał serdecznością, że Stanisław za odpowiedź całą dłoń mu do uściśnienia podał.

Z polecenia swego Stanisław w wiadomy wywiązał się sposób.

Zrozumiał jednak, że baka strzelił, miał zaś rozsądku tyle i o tyle był od przesądów wolnym, że Zgrzebłowicz przedstawiał się mu jako człowiek mogący zapewnić los kobiecie, któraby w małżonku nie szukała istoty nadzwyczajnej. Ustępując pod względem jedynie urodzenia tym, w szeregach których znaleźćby się mogli konkurenci o ręce siostr jego, nie ustępował żadnemu z nich pod względem ukształcenia, ani nawet pod względem poloru. Cóż to bowiem za polor tej młodzieży, co przy damach fajki pali i zabawia je opowiadaniem o zaletach doskoczów i o cnotach kasztanów! Przewyższał zaś niejednego wartością, że tak rzeknę, przeciętną, był rządnym, sumiennym, obyczajnym, pewnym; kobieta, coby

mu rękę oddała, spokojną być mogła i o przyszłość swoją i o cześć. Dla sióstr Stanisław nie mógł żyć mężów stosowniejszych, a to tembardziej, że dzięki wzorowi, jaki w osobie ciotki miał przed oczami, uważał kobiety za istoty niższego rzędu, nie mogące obchodzić się bez opiekunów, za istoty stosowne dla mężczyzn, obowiązanych je osłaniać, bronić i prowadzić. Tak mu się przez pryzmat preferansików, faraoników, dymów fajeżanych i stosunków ustalonych przedstawiał porządek społeczny. Podporządkowywał płć piękną płci męskiej i nie czynił w tym względzie dla sióstr własnych wyjątku. Kochał je jednak—i dla tego właśnie poczuwał się do obowiązku naprawienia sprawy, którą popsuł przez to, że wydawało się mu, iż zagajona półżartem, da się na seryo do końca doprowadzić. Chodziło mu przedewszystkiem o przygotowanie ojca.

— Proszę tatka—zagabnął pana Marka nazajutrz po scenie przez ciotkę wyprawionej. Zgrzebłowicz na seryo zamyśla prosić o rękę jednej z naszych pańien.

— Niezgrabnie się jednak do rzeczy wziął.

— Wina tej niezgrabności całkowicie spada na mnie. On prosił mnie o wyrozumienie.

— Cóż więc! wyrozumiałeś...

— Było to pudło, aleby może poprawić jako można. Zgrzebłowicz jest człowiekiem ze wszech miar pożądanym na męża czy to dla Olesi, czy też dla Henrysi lub Ewuni.

— Hm, mruknął p. Marek. Ale—tu się nieco zastanowił—Zgrzebłowicz....

— W czasach naszych, czyż zważa się na to?

Tatko sam, wyprawiając mnie do niego, powiedział mi, że to człowiek uczciwy.

— Uczciwy—powtórzył p. Marek.

— Czyż więc uczciwość nie więcej warta, aniżeli pochodzenie?

— Nie utrzymuję i nie utrzymywałem nigdy, ażeby więcej być warta nie miała!—podchwycił żywo stary szlachcic. Zawsze jednak, jeżeliby się trafił ktoś uczciwością mu równy, a urodzeniem wyższy...

— A jeżeliby się nikt taki nie trafił?

— Hm, wolałbym kogo innego.

— Tatku kochany, przyszłość — zagadka, teraźniejszość zaś przedstawia się pod postacią pewnika, w osobie Zgrzebłowicza, pragnącego za żonę pojąć jedną z panien naszych, głównie dla tatka.

— Dla mnie? W imię Ojca i Syna!

— Powtórzę własne jego słowa: „Powziąłem dla prezesa cześć głęboką i pragnąłbym gorąco, ażeby teściem moim, drugim ojcem, był nie kto inny, tylko on. Uważałbym to sobie za zaszczyt i za szczęście wielkie.“

— Podchlebia mi to wielce, ale chodzi tu nie o mnie.

— Właśnie też. Chodzi o jedną z panien naszych.

— Olesi — matka nie da.

— Oprócz Olesi jest Henrysia, jest Ewunia.

— Ewunia, dziecko jeszcze — bronił się p. Marek.

— Więc Henrysia?

Pan Marek ramionami ścisnął.

— Zgrzebłowicz spokrewniony blisko z Kozarskimi.

— Ale nie z tymi.

— Ta sama jednak rodzina, dowiadywałem się: szlachta dobra, tego samego herbu.

— Przecież się Zgrzebłowiec stara nie o mnie.

— On się właściwie nie stara o nikogo jeszcze, lecz dopiero przedstępne stawia kroki, pragnąc z góry wiedzieć, czy tatko przeciwnym mu nie będzie.

— Hm? ja? A cóż! niech się stara.

— Tatko go upoważnia do tego?

— Ani upoważniam, ani nie upoważniam. Niech się stara. Jeżeli potrafi podobać się Henrysi, to ja pomimo że, otwarcie powiadam, wolałbym na zięcia kogo innego niż Zgrzebłowieca, jeżeli jednak Henrysia go zechce, to, ha, niech idzie.

Stanisławowi tego tylko potrzeba było. Po scenie z ciotką, ze strony której przewidywał przeszkody dla przeszkód, dla przyjemności stanięcia na opak, pragnął mieć przynajmniej ojca po sobie, ażeby, w razie odmowy ze strony Henrysi, odpowiedzialność za takową odnieść do powodów, nie mających w sobie nic dla p. Andrzeja ubliżającego. Chciał zdobyć możność osłodzenia mu pigułki; chciał sprowadzić kombinacją taką, ażeby p. Andrzej mógł powiedzieć sobie:

— Ojciec mi sprzyjał, brat sprzyjał, ale... kobiety...

Kobiety, w mniemaniu Stanisława, były to istoty nieodpowiedzialne za wszelkie popełniać się przez nie mające niedorzeczności.

Przygotowawszy więc ojca, puścił rzecz w odwołanie, w tym zapewne celu, ażeby czas zatarł wrażenie, jakie scena sprawiła, a może też i bez celu żadnego. Wspomniawszy jeno przed siostrami, od niechcienia niby, że nowy pisarz, który pod nazwiskiem

Ateki gwiazdą zajaśniał na horyzoncie literackim, jest jego dobrym znajomym. W ten sposób podrażnił ich ciekawość. Panny rozpytywać się poczęły, usiłując zdjąć zasłonę z postaci tajemniczej, brylantowemi do czytelników przemawiającej słowami. Stanisław drożył się, cedził wyznania odnoszące się do postaci tej, powiedział, że znajduje się ona w blizkiej styczności z kimś, kogo one dobrze znają, że nosi nazwisko doskonale im znane i t. d., miał już odkryć owego kogoś, gdy wyjazd niespodziewany Olesi odwrócił uwagę od Ateków, od literatury, od ktosów, od wszystkiego.

— Że też ta baba—pomyślał Stanisław sobie—szkodzi chcący i niechcący!

Ani się domyślał, że właśnie baba ta stała się po-
tężnym jego sprzymierzeńcem.

Pani Tulicka, pogrążona w żalu swoim, zapomniała była o Zgrzebłowiczu. Przypomniała sobie o nim jednak, a raczej, on się jej przypomniał sam.

Przyjechał.

Przyjazd p. Andrzeja sprawił wrażenie niezwykłe. Panny, przypomniawszy sobie scenę, popłószyły się, p. Tulicka wpadła w rozdrażnienie, pan Stanisław doznał uczucia winowajcy, mającego stanąć oko w oko z pokrzywdzonym. Jeden tylko pan Marek zachował spokój, powitał gościa ze zwykłą uprzejmością i wprowadził go do salonu, bawiąc rozmową gospodarską.

Pan Andrzej okazywał się jakoś zmieszany. Odpowiadał, czuć jednak było, że znajdował się pod panowaniem myśli jakiejś, która mu dystrakcyę sprawiała.

Po upływie chwil kilku pokazała się p. Tulicka, uśmiechnięta, uprzejma, rozpromieniona, powitała

gościa, rozpytywać go poczęła o zdrowie, o drogę, o pogodę, prosiła go, ażeby usiadł obok niej i jak tylko p. Marek, spostrzegłszy się, że gość bawionym jest należycie, za drzwi pod jakimiś pozorami się wyniósł—natychmiast do rzeczy przystąpiła.

— Pan dobrodziej—rzekła z przymileniem—ma zamiary....

— Pani dobrodziejko — odparł pan Andrzej, nie wiedząc o co właściwie chodzi.

— Zamiary względem jednej z kuzynek moich?

— To jest, hm—uczuł w gardle coś, co mu niby kość zawadzało. To znaczy, że uważałbym się za najszcześniejszego w świecie....

— Pan dobrodziej o starszą?

— Jeżeli—chrząknął znowu. Tak jest, pani dobrodziejko, o starszą.

W myśli stanęła mu Olesia.

— Owoż, zaczęła p. Tulicka. Nie wiem, nie umiem z góry powiedzieć, jak panna Szamocianka przyjmie zamiary jego. Ostatecznie, od niej to zależy. Co do mnie, zapewnić mogę pana dobrodzieja, że sprzyjam mu szczerze, i że powinszowałabym kuzynce mojej, gdyby sobie pana dobrodzieja na dozgonnego dobrała towarzysza.

— Pani dobrodziejko!—zawołał p. Andrzej w uradowaniu. Wdzięczność moja dla pani granic nie będzie miała.

— Nie wiem, czy ze strony panny, nie wiem, czy ze strony ojca, nie będzie trudności jakich; co do mnie jednak nie będzie żadnych.

— Jakżem ja pani dobrodziejce wdzięczna!

— Panienska skromna, uczciwa i dobrze wychowana. Wychowywałam ją sama—ciągnęła p. Tulicka dalej. Wady, niedostatki, jeżeli się tam i znaj-

dą jakie, to bardzo drobne, bo i któż jest bez wad! Nie powiedziałabym tego o młodszej — rzekła nawiasem. Że chcę jednak być z panem dobrodziejem otwarcie, otwartość jest słabością moją, więc powiedzieć mu muszę, iż niedostatki największe zajądą ze strony posagu.

— Usuwam je na stronę i nic o nich wiedzieć nie chcę — odrzekł p. Andrzej.

— Jeżeli tak, to niech pan dobrodziej konkuruje, pewny poparcia z mojej strony.

Rozmowę tę przerwało wejście Stanisława. Ten nie wiedząc o niczem, bawić począł gościa rozprawą o przeszłorocznym śniegu.

Wkrótce towarzystwo powiększyło się przybyciem panien. Pan Andrzej, nie widząc tej, o którą konkuruje, przyczynę nieobecności jej przypisał wstydlivości dziewiczej, która wydała się mu o ile naturalną, o tyle na swoim miejscu.

Bawienie gościa poszło zwykłym porządkiem. Przybyło osób parę nowych. Podano do stołu. Po obiedzie dopiero, pan Andrzej znalazł sposobność uścisnąć Stanisławowi dłoń, i powiedzieć mu z przyjacielskim wdzięcznością nabrzmiałym:

— Dziękuję.

— Za co? — było młodego człowieka zapytanie.

— Mówiłem z panią radczynią.

— No?

— Usposobiona dla mnie jak najlepiej.

— A powtórz-że mi rozmowę twoją.

Pan Andrzej opowiedział. Stanisław wysłuchawszy z uwagą — rzekł:

— Dziwi mnie to trochę, a to dla tego, że ze strony ciotki nie spodziewałem się poparcia. Musiała chyba z ojcem mówić. Chodźmy teraz do ojca.

Z panem Markiem rzecz poszła gładko. Powiedział, że się ani sprzeciwia, ani nie sprzeciwia, zsyłając się całkowicie na córkę, którą zawsze, w mniemaniu p. Andrzeja, była panna Aleksandra.

Jakież było zdziwienie jego, gdy się ujrzał w obec p. Henryki!

Zapomniał, jak to powiadają, języka w gębie, a i Henrysia miała minę taką, jakby jej mowę nagle odjęto.

Ależ bo, konkury p. Andrzeja spadły na nią niespodzianie, niby piorun w dzień jasny. Do obiadu, przy obiedzie niczego się nie domyślała. Dla tego była swobodną i apetyt jej służył, posiliła się i uszom własnym wierzyć nie chciała, gdy następujące z ust ciotki usłyszała wyrazy:

— Henrysiu, dziecko moje, pan Zgrzebłowicz oświadczył się o ciebie.

— Ciociu!—krzyknęła.

— Oświadczył się o ciebie.

— Ciocia żartuje — odrzekła blednąc i czując ogarniającą ją trwogę wielką.

— Oświadczył się—powtórzyła p. Tulicka po raz trzeci—i trzeba, żebyś mu odpowiedziała.

Pod dziewczyną nogi zadrżały. Poczęła się trząść, niby w febrze, i uciekać chciała.

— Nie bądź-że dzieckiem—perswadowała ciotka. Nikt ciebie nie ciągnie. Zechcesz, pójdziesz za Zgrzebłowicza, nie zechcesz, nie pójdziesz. Co do mnie, życzyłabym ci nie odmawiać tej partyi lekkomyślnie. Kto wie, czy się doczekasz lepszej.

— Ciociu, za nic!

— Dziecko jesteś! głupią nie bądź! Gdybyś się trochę tylko zastanowiła, to....

— Ależ on -- przerwała Henrysia— nie o mnie, tylko o Olesię....

— Wierzysz temu, co Stanisław plótł, jakbyś nie wiedziała, że z ust jego same jeno wychodzą żarty. Zgrzebłowicz oświadczył mi się o ciebie, wyraźnie o ciebie i gdybyś, jak powiadam, zastanowiła się troszeczkę tylko, to przyjęłabyś go z ochotą.

Dziewczyna broniła się uparcie, wnet jednak broń złożyła, gdy p. Tulicka strzeliła w nią wyrocznym wyrazem: poświęcenie.

W krótkich a dosadnych wyrazach, posępniemi barwami, odmalowała jej stan interesów ojcowskich, następnie zaś, tę przedstawiła ewentualność, że Zgrzebłowicz, jeżeliby mu Henrysia odmówiła, gotów się starać o Olesię.

— A dla mnie—mówiła—dla mnie, rozstanie się z Olesią byłoby ciosem, któryby mnie do grobu wtrącił. Jeżeli mnie przeto choć trochę kochasz, to się poświęcisz i dla mnie.

— Poświęcę się—szepnęła dziewczyna.

I wyrazem tym wyszturchana niejako, wyszła do salonu, gdzie, za interwencją Stanisława, odbyły się oświadczenia formalne.

Henrysi tak w oczach pociemniało, że przez mgłę tylko widziała przyszłego swego, który, ze swojej strony, ze zdziwienia wyjść nie mógł, widząc, że starsza Szamocianka wystąpiła pod postacią p. Henryki. Przyklękając jednak przed nią, jak formalność każe, na jedno kolano, pomyślał sobie:

— Co mi tam!

I oświadczył się p. Henryce.

Oświadczyliom tym asystowali: p. Marek, p. Tu-

licka, Stanisław, Gucio i panna Ewa. Ta ostatnia, podczas kiedy ojciec i ciotka błogosławili, a bracia powinszowania i życzenia w formie żartobliwej składali, przypatrywała się im, mając w oczach wyraz taki, jakby obudzoną była ze snu i rozpoznawała przedmioty, których nie spodziewała się oglądać. Z oczu jej biło zadumanie zdziwieniem przeniknione. Zdawało się, jakby w duszy zapytywała siebie:

— Co to znaczy: komedia to, czy tragedia? czy też proste zmysłów złudzenie? czy może żarty? Staś taki żartobliwy! Henrysia za mąż idzie? Co to znaczy?

Zapytania p. Ewy nie miały racyi ani podstawy żadnej. Oświadczyzny odbyły się formalnie. Przyszli małżonkowie zamienili słowo, wykrztuszone ze strony p. Henryki, umówiono się o zaręczyny, naznaczono dzień ślubu i w chwilę później p. Tulicka, pisząc do córki, zaczęła list od wyrazów:

„Moja Olesiu, moja najdroższa, mój aniele! przyjeżdżaj! Już po wszystkim. Zgrzebłowicz oświadczył się Henrysi, Henrysia przyjęła. Powiedz to kochanej, najlepszej pani pułkownikowej i podziękuj jej za wszystko dobre, które mi wyświadczyła. Niebezpieczeństwo minęło. Przyjeżdżaj! Jaka szkoda, żeś oświadczyn nie widziała! Było to widowisko bardzo ciekawe, o którym ci opowiem za widzeniem, tu zaś dodam tylko, że Henrysia wyglądała, jakby była chorą, a Ewunia tak patrzyła, jakby siostrę zjeść chciała. Nie wyobrazisz sobie, co to za egoistka, ta Ewunia, coraz mocniej się o tem przekonuję. Przyjeżdżaj—liczę minuty do chwili, w której cię uścisnąć będę mogła, życie moje. Olesiu moja, aniołku mój!

VI.

Aniołeczek nie posiadał się z żalu w pierwszym momencie rozstania się z matką. Olesia trzy razy zrywała się, próbując z pojazdu wyskoczyć i byłaby to uczyniła, gdyby pułkownikowa nie wstrzymała jej za każdym razem, zaklinając na miłość matki. Ledwie nie ledwie uspokoiła się nieco i już tylko płakała, kiedy pani Kawaska kazawszy woźnicy zatrzymać pojazd przy karczmie, wysiadła.

— Poczekaj chwileczkę, moje dziecko, mam tu króciutki do załatwienia interes...

Olesia zasunęła się w głąb powozu i szlochała; pułkownikowa do izby gościnnej weszła i bachurów, które w liczbie tuzina na spotkanie jej się wyspały, zapytała o arendarza.

Dzieci jak tylko obiły się im o uszy wychodzące jej z ust wyrazy, rzuciły się do tłumnej ucieczki, jakby nie wyrazy to, lecz piorunowe rozległy się wystrzały.

— Czekajcie!... bębny!... czy ja straszna taka!... wołała pani Kawaska.

Wołała jednak napróżno. Dzieci uciekały, przewracając się jedno przez drugie i pozostawiając na placu dwoje najmłodszych, jedno na wznak, drugie plecami do góry wywróconych, które w niebogłosy wrzeszczały.

— Muzyka piękna — rzekła pułkownikowa do siebie — gdzież jednak arendarz?..

Zjawił się i arendarz, idąc powoli i pantofle za sobą powłócząc.

— Sza bucher!.. brzyknął, a zwracając się do pułkownikowej dodał: Ot tak to z dziećmi...

Zachowanie się żyda w obec pani Kawskiej zary-

wało na lekceważenie. Zupełnie inaczej zachowywał się w obec pana Andrzeja. Była w tem racya. Sposób w jaki dzieci Izraela traktują chrześcijan, służyć może za barometr we względzie ciężkości pieniężnej tych ostatnich, odnosząc się nietyle do pieniędzy samych, ile do możności w nabywaniu takich. Pieniądze są u nich w poszanowaniu wielkiem, w większem atoli ten, co je robić umie. Ztąd pani Kawaska, w mniemaniu Ieka Rubinsztajna, w porównanie iść nie mogła z panem Zgrzebłowiczem. Cóż ona? na Gawronach siedziała i pensyę pobierała. Gawrony i pensya nadawały jej wartość, bez nich byłaby niczem. Dla tego to na spotkanie jej nie spieszył się wcale, i wyszedłszy nakoniec o bachurach z nią rozmowę zaczął.

Pułkownikowa przerwała mu:

— Znać e mnie, panie arendarz?... czy nie mam potrzeby powiadać wam, kto jestem?..

— Jak ja mam wielmożną panią znać!.. Ja nie znam nikogo. Przy trakcie mieszkam. Tyle się przesuwa ludzi. Jakżeby człowiek spamiętać mógł wszystkich!..

— Ja tędy często przejeżdżam...

— I cóż z tego!.. bardziej mnie obchodzi wódka w kufie, jak to kto przejeżdża. Czy to jeden przejeżdża!

— Z Gawronów jestem...

— Y... mrugnął żyd brwiami — z Gawronów... hii... hi...

— Gawrony znacie? .

— Jakżeby nie!... wioska przy trakcie tym samym.

Pułkownikowa zmiarkowała, że nie imponuje ży-

dowi. Zmierzyła go więc okiem od stóp do głowy, popatrzyła mu przez chwilę w oczy i tak zaczęła:

— Chciałabym z wami słów parę pomówić w interesie, który was obchodzi z bliska. Macie rachunki na Chrustowie...

Wyrazy ostatnie wymówiła, nadając im ton półpytający. Żyd spojrział na nią i odparł:

— A jeżeli mam?

— Jeden z dobrych znajomych moich ma zamiar zaproponować prezesowi sprzedaż Chrustowa...

— Ny...

Obojętność udawał, widocznem jednak było, że go zainteresowała wiadomość ta.

— Doradzam mu to... Prosił mnie o zaciągnięcie informacyi we względzie interesów...

— Jakich interesów?..

— Pieniężnych, rzecz naturalna... Na Chrustowie, o ile mi się zdaje ciężyc muszą długi...

— Zdaje się, ja nie wiem...

— A mianowicie, ciągnęła pułkownikowa, dług pani Tulickiej...

— Pani Tulickiej? wona lokuje pieniądze swoje na kahale...

— Nie u prezesa?

— I u prezesa.

— I tu i tam?

— Idzie to tam jakoś rachunkiem cygańskim: raz daje, znów odbiera, a zawsze liczy.

— Część zapewne składa tu, a część tam.

Żyd cmoknął i w tył głową rzucił, następnie brodę sobie pogładził i odrzekł:

— To mądra jejność. Ona z bratem taki zrobiła układ: „co twojego, to mego, a co mego, to tobie

zasię do tego.“ Jeżeli kto, to ona prezesa z kijem w świat wyprawi.

— Są jednak i długi żydowskie.

— To też są, ale.... wszystkie u niej w kieszeni.

— Nie wiadomo wam, panie Icku, ile tego?

Żyd ramionami ścisnął, odpowiadając:

— To, wiadomo tylko, Panu Bogu jednemu i pani Tulickiej drugiej. Wona, wona — rzekł z naciśkiem — ma prezesa w kieszeni. O, to jejmość!

Tu się palcem w czoło stuknął.

— A taka niepokażna! — wtrąciła pułkownikowa.

— Wona niepokażna? — Pokażna wona! Pokaże wona na końcu!

— Dziękuję wam za informacje.

— A — podchwycił żyd — a, ny? ten wielmożnej pani dobry znajomy, to won niby chciałby Chrustów kupić?

— Nie jest jeszcze zdecydowany, jednakże zdecydować się może.

Dodawac nie potrzebujemy, że znajomy ów był postacią zmyśloną, wynalezioną na to jedynie, ażeby służyła jako klucz do rozwiązania zagadki odnoszącej się do posagu Olesi. Pani Kawaska rozjaśniła sobie sytuację nieco. Dowiedziała się, że szlochający aniołek posiada skrzydełka, które troskliwa mama starannie ukrywa, a nie bez racji. Racya wysuwała rogi, wyłaziła niby szydło z worka. Pani Kawaska, niewiasta doświadczona, domyśliła się, co p. Tulickiej zawadzało wykazywać wiano córki.

Pozostawiamy w cieniu materję tę delikatną i towarzyszymy pułkownikowej do pojazdu, w którym, pozostawiona w towarzystwie furmana i lokaja Olesia, płakała, płakała, aż nakoniec łez jej za powiekami zabrakło, więc wpatrywała się opuchłemi od

płaczu oczami w koziołek, na którym, niby na piedestalu, wznosiła się postać woźnicy.

— Przepraszam cię, moje życie — były słowa powracającej z karczmy pułkownikowej. Przepraszam cię, kazałam ci za długo czekać na siebie, ale wina nie moja. Z tymi żydami, im interes drobniejszy, tem go oni dłużej przeciągają. O miliony kończą wnet, a o rzodkiewkę jedną targować się gotowi godzinę całą. To nieszczęście, że się bez nich obejść nie możemy. Cóż, nie gniewasz się?

— Ach! pani droga! — westchnęła panienka.

— Czas ci się dłużył jednak?

— Myślałam o mamie mojej.

Skrzywiła się i chusteczkę do ocz poniosła.

Od karczmy do Gawronów liczyła się równo miła. Droga była równa, jechało się więc traktem wielkim, przechodzącym śród łąnów i łąk. Zdała widniały lasy, siniejące od mgły, która miała pozór dymu leciuchnego. Był to jedyny, posiadający cechy malownicze widok. Łany i łąki do malowania się nie nadawały. Anglik pewien namalował na płótnie rozmiarów olbrzymich żyto na pniu dojrzałe, i wykonał pracę swoją znakomicie. Oglądałem obraz ten na wystawie paryzkiej. Znawcy przyznawali mu zalety wszystkie, z wyjątkiem jednej — malowniczości. Był to wierny portret żyta na łąnie, przedstawiającego się wdzięcznie, cudnie, zachwycająco, temu co je na wódkę przepędzi i na talary przemieni, ale nie nadającego się pod pędzel malarski. Toż Olesia w widokach, jakie się przy tracie rozwijały, rozrywki znajdować nie mogła. Pojazd się toczył, a ona, smutna, zadumana, siedziała z okiem w skórę od kozła furmańskiego wlepionym.

I pułkownikowa zadumana siedziała

O czymże dumiała ona? Może przypominała sobie przeszłość własną?

Trakt nadawał się do budzenia wspomnień podobnych?

Lat temu — ile? ze trzydzieści — tym samym traktem ciągnął pułk jazdy. Otóż, był to widok malowniczy! Jeźdźce, w kurzu tumanach, wyglądali niby rycerze napowietrzni, połyskiwali od słońca, mienili się barwna odzieżą jak motyle i sprawiali chrzęst, szcęk, tentent, które rozlegały się w powietrzu nakształt odgłosów tańca gromadnego. Ciągnęło to od karczmy chrustowskiej do Gawronów. W Gawronach, w jednym z okien dworu, z którego widok na drogę wybiegał, stała panna na wydaniu, tęschnem okiem na trakt pusty spoglądając. Wyglądała przybycia tym traktem sązonego. Nie przybywał. Aż usłyszała nagle tentent i słuch natężyła, ujrzała następnie czoło kolumny jezdnej i oko jej ciemne zajaśniało, a na blade policzki rumieniec lekki wystąpił. Westchnęła. Westchnienie to wypłynęło z głębi piersi dziewiczej i, w pragnienie zmienione, uleciało po nad szeregi jazdy, która się tymczasem zbliżała, do wioski podchodziła i na błoni obok krzyża w szyku stanęła. Oko panny owej na wydaniu z zajęciem wielkiem ruchy wszystkie śledziło. Widziała hufce we front się rozwijające i galopujących przed takowemi jeźdźców pojedynczych.

— Oficerowie — westchnęła.

Front następnie łamać się począł. Hufiec odrywał się po hufcu i odchodził, wkońcu pozostała garstka i ta do Gawronów wkroczyła. Weszła i znikła. Stało się z nią jednak wedle słów Pisma: „Ma-

luczko nie ujrzycie a maluczko znów ujrzycie mnie.“ Panna na wydaniu już się do odejścia od okna zabierała, kiedy zoczyła żołnierza na podwórzu wchodzącego. Serce jej zabiło mocno. Przeczuciem snadź wiedziona, wybiegła do sieni, na ganek, na spotkanie żołnierza, który, znalazłszy się w obec niej, furażerkę z głowy zdjął, postawę przybrał, odetchnął i przemówił:

— Pan major kłania się i ma honor prosić o pozwolenie mu odbycia dniówki we dworze.

— Pan major z familią? — wymknęło się z ust panny na wydaniu zapytanie.

— Pan major ma honor w kawalerskim pozostać stanie.

— Prosić! — podniesionym głosem odrzekła panna na wydaniu.

Żołnierz odetchnął, na miejscu zwrot wykonał, furażerkę na bakier włożył i odmaszerował, a panna biegała z pokoju do pokoju, wołając:

— Major! major! major!

Majorem owym był p. Kawski, panną była hrabianka Amalia Jałomnicka.

Stanął kwaterą na odbycie dniówki i doznał losu szczupaka, wpadającego w matnię. A był taki groźny, ten pan major! taki wąsaty! taki bakumbardzisty! taki łysy! taki brwisty! taki nasrożony! taki nieprzystępny!

Przystąpiła jednak do niego.

Wyjechał z dniówki z pierścionkiem na palcu, wyobrażającym słowo rycerskie.

Wkrótce potem panna Amalia została panią majorową i awansowała dwukrotnie, towarzysząc w ciągu wielu lat małżonkowi na zimowych leżach,

w obozowiskach, na rewiach, w pochodach. Ach! życie to było.

A życie to przyszło tym samym traktem, którym toczył się powóz, wiozący młodą Olesię zadumaną i starą panią pułkownikową także zadumaną. Pierwszej dum matka przedmiotem była; drugiej—co?—Icek może, a może, przypomniła sobie babka kiedy dziewczką była.

A! Mniej wesołego niemasz nic, jak starość. To też starość szuka sobie rozrywek rozmaitych, znajdując takowe, ta w tem, owa w owem.

Pułkownikowa, naprzykład, rozkochała się w Olesi. Przywiozła ją do Gawronów, wysadziła z pojazdu i wprowadziła na pokoje.

Na spotkanie wyszedł pan Jakób, z papierosem w ręku.

— Masz—rzekła—pułkownika. Przywożę ci pannę do zabawki.

Był to żarcik w rodzaju śliskim, pułkiem zarywanący. Pan Jakób skłonił się Olesi nisko a poważnie i do siostry z zapytaniem się zwrócił:

— Cóż to cię przez całe trzy dni zatrzymywało?

— Ta kochanka — odparła zapytana, oczami na panienkę ukazując. Ach! co to za dziecko! Co to za anioł!.. a!

Dłoń podniosła i takową wstrząsnęła.

— Czuję się jednak erętowaną (autor za ten wyraz najpokorniej czytelników przeprasza), jak koń całą milę w galopie trzymany. Potrzebuję spocząć i wyciągnąć się. Niechże pan brat gościa bawi, a ja się położę. Będę ci miała ciekawe do opowiedzenia rzeczy, ale o tem potem. Zdaje się, kapucyństwo pójdzie sobie przez. Adie...

Ukloniła się i odeszła, zostawiając Olesię samo-

wtór z p. Jakóbem, który też natychmiast przybrał postawę nadskakującego. Nastrajał wyraz oczu, wyciągał się, przeginał, pociągał sobie kamizelkę, poprawiał kołnierzyki, rozglądał faworyty i zawiązał rozmowę niezmiernie interesującą o delikatności płci, jako o zalecie znamionującej wartość niewieścią. Materya ta, istnienia której Olesia w Chrystowie ani się domyślała, zafrasowała ją najprzód, nowością, następnie, rozległością wiadomości, jakie w tym względzie hrabia posiadał. Przykłady przez niego przytaczane i tajemnice odkrywane, na wołowej nie dałaby się spisać skórze. Wszystko to wygłaszał z wdziękiem nie do opisania, zajął zaś najbardziej, gdy, w sposób delikatny i zajmujący, Olesię samą wziął niejako za przedmiot studiów.

— Proszę mi dać rękę.

Wziął jej rączkę i położywszy ją na dłoni swojej, posiadającej aksamitną w dotykaniu delikatność, mimowolnie niby wydał wykrzyk:

— A!...

Natychmiast wykrzyknika tego powód wytłómaczył.

— Ho!d składam rączce pani, a raczej klassycznym onej kształtom. Co za prawidłowość w rozmiarach! co za wytoczystość w paluszkach! Thorwaldsen pół życia by dał, gdyby mógł rączkę taką na model dostać.... To cudo prawdziwe.

Olesia cudu tego nie cofała z pana Jakóba dłoni, którą on posunął wyżej nieco i, zajmując palcami w tem miejscu, w którym lekarz pulsu bada, prowadził dalej rzecz swoją. Opowiadał, że sławną płeć miała Marya Antonina, królowa francuzka.

— Ta biedna, którą ścięto.... Ale i pani—dodał, głowy giestem słowa popierając — i pani pod tym

względem nie ustępujesz królowej. Co to za płeć, mój Boże! Co za delikatność!

Rękę panny Aleksandry delikatnie na kolanie jej złożył, wstał, do okna się oddalił i papieros zwijając związał rozmowę o kolorach.

Olesia, zrazu słuchająca przeważnie, mało pomału słówko jedno, dwa, króciutki frazesik, okres jeden drugi,—wtrącać poszła.

Rzecz o kolorach zainteresowała ją równie jak materya o płci, a to tem bardziej, że p. Jakób, nie wdając się bynajmniej w to, który kolor ładniejszy, a który mniej ładny, wszczął odrazu rozprawę o kombinacyi barw, o modulacyi tonów i grze cieniów.

Czas upływał szybko i niepostrzeżenie, Olesia, ani się — jak to powiadają — obejrzała, jak zmrok zapadł. Poproszono na herbatę do p. pułkownikowej.

— *S'il vous plait*—przemówił p. Jakób ramię podając.

I poprowadził gościa przez dwa pokoje ciemnościami zalane, i wprowadził go do trzeciego, gdzie było światło, wydzielające się z dwóch świec stearynowych, stojących śród zastawy herbacianej, na stole przysuniętym do łóżka, na którym leżała pułkownikowa.

— Witajcie mi państwo!—odezwała się jak tylko parę tę we drzwiach ujrzała. Przepraszam ciebie, Olesieczko moja kochana. Przebacz starej, która się znużyła i wytechnąć potrzebuje. Musiałam się skąpać... muszę się wyleżeć; niech-że cię to nie gorszy, że będę wam przy herbacie towarzystwa w łóżku dotrzymywała.

— Ach! paui—odparła panna Aleksandra.

— Chodź-że, niech cię uściskam.

Podniosła się, ramiona wyciągnęła i głowę dziewczyny w dłonie ujmując, w czoło ją pocałowała.

— Moje ty złotko. Siadaj-że, ale siadaj tak, ażebym się na ciebie popatrzeć mogła... ot tam... o! tak, dobrze. A teraz-że—rzekła, gdy Olesia miejsce zajęła—powiedzcież mi, nie znudziliście się?

Ponieważ zapytanie to stosowało się zarówno do p. Aleksandry, jak do p. Jakóba, więc ten ostatni podchwycił:

— Nie wiem jak pani, co do mnie, nie tylko się nie nudził, ale bawiłem się w towarzystwie jej doskonale, doskonale, do zachwytu.

— Aa? co?

— Zrobiłem odkrycie. Popatrz-no się na rączki p. Aleksandry.

— Prawda! — rzekła pułkownikowa, zwracając oczy na rękę, sięgającą w tej chwili po sucharek do koszyka. Prawda. Ja to już widziałam.

— Klassyczna.

— A nóżki! — podchwyciła p. Kawaska! — Oh, gdybyś pan brat nóżki oglądał, to dopiero, ty co znawca jesteś, miałbyś się ekstazyować nad czem. Ale—tu półzartobliwie palcem bratu pogroziła — od nóżek; wara! Mogą ci się śnić. O! wiedziałam ja, kogo sobie na kochankę wybrać. Bo, nie wiesz może, Jakóbeciu, że to moja kochanka, kochaneczka, ten aniołeczek. Rozkochałam się w niej na zabój, mości panie.

— Pani pułkownikowa taka łaskawa—odezwała się Olesia tonem wdzięcznością nabrzmiałym.

— Patrz-no na nią, panie bracie! Patrzeć się pozwalałam, ale zresztą, wara! Czemuż ty nic nie jesz? Bierz, nabłeraj, regaluj się: oto kurczatko, tam sałatka, chleb, bułeczki, nie żenuj się. U mnie nie

tak jak u was, herbata osobno, kolacya osobno.

Olesia jadła półgębkiem. Wciągu herbaty przyniesiono list od p. Tulickiej.

— O! — zawołała pułkownikowa — już cię matka ściga. Co to za matka! Wiesz panie bracie, drugiej matki takiej i drugiej córki takiej, ze świecą nie znajdziesz. Obawiam się jednak, ażeby pomiędzy jej matką a mną do poróżnienia, do kłótni, a kto wie może i do bójki nie przyszło. Bo ja — tu zaciśnione w kulaki pięści podniosła — o swoją Olesię bić się gotowa. — Zwracając zaś mowę do Olesii, dodała: Wstrzymaj się z czytaniem listu aż od herbaty wstaniesz i do swojego pokoju odejdziesz, bo cię list ten znuży i apetytu pozbawi. Po herbacie nie będę cię długo zatrzymywała.

Panna Aleksandra wsunęła list w zanadrze.

Pułkownikowa ustawicznie gadała, w guście tym, jakiego próbkę przytoczyliśmy powyżej. Gadając jadła i herbatą jedzenie popijała. Ciągnęło się to z pół godziny, może dłużej nieco. Wkońcu ze stołu zebrano i pani domu, zwracając się do panny Tulickiej, zawołała:

— Teraz opuszczam ciebie! Najprzód jednak, muszę cię wyściskać, muszę przytknąć do moich gnatów starych. Chodź, pięknotko ty moja! chodź w starej baby objęcia!

Wyciągnęła ramiona, powtórnie jej głowę w dłonie ujęła i powtórnie na jej czole pocałunek powietrzny złożyła.

— Idź-że już, idź. Domyślam się niecierpliwości twojej przed odczytaniem listu matki.

Zadzwo nią. Weszła służąca; tej pułkownikowa zaleciła pieczę nad Olesią, która dygnawszy na do-

branoc p. Jakóbowi, oddaliła się do przygotowanego dla niej pokoju.

— Aaa-ha! ziewnęła pułkownikowa, ramiona wyciągając i na głowie ręce składając. Oto dzierlatka! oto czeczotka! oto kajdaniarstwo, gadać komplimenta gąseczce takiej!

— Na cóżes ją przywiozła? — zapytał p. Jakób.

— A bo, dla ciebie.

— Dla mnie? — ramionami wzruszył i papieros zwijać począł.

— Ażebyś się usposabiał do stanu duchownego, przez walczenie z pokusami. Ona niczego, warta grzechu, panie Jakóbie, a raczej, ojcie Jakóbie, he?

— Hm.

— Czy to dla mnie papierosik zwijasza?

— Nie miałem wprawdzie tej intencji, ale..

— Daj-że ten papierosik mnie, zrób dla siebie i słuchaj. Czy chciałoby się tobie — zamiast do klasztoru, do Chrustowa wleźć?

— A toż jak?

— W sposób bardzo prosty: za pomocą tej czeczotki, którą przywiozłam. Przywiozłam ją nie dla czego innego, jeno dla tego, że zwąchałam pismo nosem. Szamota od parady tylko jest Chrustowa właścicielem; rzeczywistą zaś właścicielką jest Tulicka, albo raczej ten bąbelek, dla którego mamuńcia okradłaby Pana Boga, gdyby mogła.

— Pewno?

— Fi. Ja, kiedy wiem, to wiem.

— Czemuż baba nie dywulguje, w celu zwabiaunia do córni gachów?

— Dla tego, najprzód, że, pytanie: czy ma ją ona dla gachów?

— No, a jakże! dla siebie chyba?

— Dla siebie. Baba tak ten skarb swój kocha i taka o niego zazdrosna, że dziewczyny nie odda, chyba sforsowana. Trzeba ci było widzieć grymasy, jakie wyprawiała. Kiedyś ją do Gawronów zabierała. Fiuu, o też to było!

— Nie rozumiem jeszcze jednak — podchwycił p. Jakób — dla czego się z posagiem ukrywa.

— Dla tego, że Szamota stary żyje, rozumiesz?

— Uhm.

— Baba chytra, wąż, lis, nie przechytrzy jednak mnie. Przejrzałam ją na wylot i, mości bracie, pomyślałam nawet o tobie. Masz. Kończ dzieło przez kochającą cię siostrę rozpoczęte, tymczasem zaś, siadaj tam, naprzeciwko i zagrajmy w ekarte.

Brat i siostra, zasiadłszy jedno naprzeciw drugiego, zabawiać się zaczęli.

Olesia w tej chwili list matki odczytywała i płakała. W płaczu tym jej jednak widną była odmiana pewna w stosunku do pierwotnego. Nie wydierał się już z głębi duszy, nie zanosiła się, łzy płynęły spokojnie — płynęły i ustawały, przerywane myślami jakimiś, przychodzącymi z łoku niby i wtrącającymi się do smutku. Zasiadła do odpisywania matce i zaczęła:

— „Mamuniu moja najdroższa. Ja nie z tobą... ach!“

Po „ach“ ani rusz dalej. Zaczęła z tonu zanadto wysokiego. Musiała przemazać i na drugiej ćwiartce rozpoczynać na nowo.

— „Mamuniu moja najśłodsza. — Zajechałyśmy szczęśliwie do Gawronów.“

Dalej znów, ani rusz. Tym razem ton okazał się zanadto niski, wyraz zaś „Gawrony“ strasznie, rozpaczliwie prozaiczny. Na trzeciej ćwiartce wyraz

ten nie figurował już. Olesia znalazła ton odpowiedni do uspokajania matki; pisała obszernie, pisanie zajęło jej czas do dziesiątej, list skończyła, rozebrała się i spać poszła. Spało się jej wyboracie, jak zwykle po splakaniu się, pomimo, że nieobecność w tym samym pokoju matki zawadzała jej nieco z wieczora. Strachała się, ale zasnęła. Nuzajutrz obudziła się późno i dziwno jej jakoś było. Przyzwyczajoną do gwaru chrustowskiego dziwiła cisza, jaka panowała. Cisza ta i dziwiła ją i bawiła. Zapytywała siebie:

— Kiedy ona przerwana zostanie? Kto też ją przerwie? pułkownikowa czy hrabia?

Czekała. „Oczekiwanie godziny skraca.“ Przeleżała w łóżku do dziesiątej i ciszę nakoniec przerwało wejście na palcach służącej.

— Dzień dobry pannie Matyldzie — odezwała się Olesia z pod kołdry.

Panna Matylda, pułkowa pani Kawskiej towarzyszka, mająca prawo do szewronów za długoletnią wierną służbę, była to już kobieta nie młoda.

— Panienka nie śpi już? — odparła zaczepiona. Pani pułkownikowa śpi jeszcze, kazała jednak obudzić siebie, jak tylko się obudzi panienka.

— Niechże p. Matylda nie robi tego! — zawołała Olesia, tonem wdzięcznością nabrzmiałym za atencję taką ze strony kobiety tak poważnej. Czyż godzi się panią pułkownikową budzić dla mnie! Proszę p. Matyldy. Jam się obudziła, ale będę jeszcze spała.

Służąca wyszła, Olesia wstała i sięgnęła ręką po pończochy, nim je jednak włożyła, długo pierwej własnym przypatrywała się nogom. Ruszała stopą i palcami i przypatrywała się. Potem patrzyła so-

bie na ręce, potem znów na nogi, oglądając takowe i z tej i z tej strony, niżej i wyżej. Następnie opatrywała ręce, jakby je porównywała jedną z drugą i wracała do nóg, które studyowała uważnie, spuszczać je, to znów wyciągając horyzontalnie do podłogi. Nakoniec pończochy włożyła, co nim nastąpiło, upłynęła czasu równa godzina, to znaczy: godzinę strawiła na tem, że się przypatrywała nogom i rękom własnym. Godzina ta upłynęła jej z szybkością błyskawicy—a jak miło!

Wstała, szlafroczek poranny na siebie zarzuciła, i w tejże chwili zjawiała się p. Matylda powtórnie z filiżanką czekolady i z biszkopcikami na tacy.

Czekolady w Chrustowie nie pijano.

— Pani pułkownikowa w łóżku jeszcze, ale nie śpi już—były panny służącej słowa. Kazała mi panience oświadczyć, że pragnie widzieć ją jak najprędzej.

— Ja nie ubrana.

— To nic. Pani pułkownikowa sama. Pan hrabia nie wyszedł jeszcze. Proszę tylko czekoladę wypić!

Olesia pośpiesznie wychyliła filiżankę i udała się do p. Kawskiej, która witała ją okazami takiej czułości, że do opisania jej pióro naszej dostatecznej siły nie posiada. Uśmiechała się do niej i wdzięczyła, rozpytywała ją o przygody nocne i unosiła się nad jej wyglądem porannem.

— Aleś spała przecie, spała?

— Spałam, pani kochana.

— Było ci niewygodnie?

— Bardzo wygodnie mi było.

— Powiedz prawdę, jak mnie kochasz.

— Jak panią drogą kocham, było mi jak niemożna lepiej.

— Jakże ci ładnie w tym czepeczku, w tym szlafroczku, moja Olesiu! chciałabym, żeby cię tak pan Jakób zobaczył.

— Niech Pan Bóg bronil—zachnęło się dziewczę.

— A nie - odparła pułkownikowa przeciągle. Chciałabym tylko, ale nie chcę, o to! jeszcze czego nie stało! Niech tam pan Jakób martyfikuje się zdrów, tworząc sobie w imaginacyi obrazy twoje: Pan Bóg z nim! Tobie jednak ubraćby się potrzeba. A jaką sukienkę włożyć zamysłasz?

— Nie wiem jeszcze.

— O!—pochwyciła pułkownikowa. O, to mi pięknie! Matylda mi odraportowała, żeś się raniusieńko obudziła: i na czemżeś ty cały spędziła poranek?

Olesia oczy spuściła, jakby się do winy poczuwała. Poczuwała się w rzeczy samej do winy, strawiwszy poranek na przypatrywaniu się rękom i nogom.

— A widzisz—ciągnęła p. Kawaska. Tobie się zdawało może, że, ponieważ się kocham w tobie, więc cię karcić nie będę? Jakto, godziż się ażeby panienka, obudziwszy się o dziesiątej, do jedenastej nie pomyślała, w co się ubierze? Tyś o tem, moje życie myśleć powinna z wieczora jeszcze, rano zaś potrzeba tylko myśl wieczorną uzupełnić, zaokrąglić, uakcentować. O tak! I jakże teraz będzie?

— Nie wiem, dalibóg — odrzekła zapytana z półuśmiechem.

— A ja wiem, aha! Tyś nie myślała, ja myślałam. Włóżysz dziś tę sukienkę błękitną w paski, z centkami. Czy ona ze stanikiem?

— Ze stanikiem, pani kochana.

— Stanik odpruć potrzeba i zastąpić go tuniką szamową, tą, którą widziałam kiedyś na tobie... Wzięłaś ją ze sobą?

— Wzięłam.

— Owoż, spódnica błękitna, tunika szamoa, pasek czarny.

— Paska nie mam czarnego.

— To nic, powiem Matyldzie, to ci go wyspekuluje. Pasek czarny, szmizetka wyłożona. manszetki, w szmizetkę i manszetki przewlec potrzeba wstążkę lazurową, korale na szyję, korale na ręce. A włosy, jak je uczesziesz?

— Jak zwyczajnie, chyba—odrzekła nieśmiało.

— I o tem nie pomyślałaś? Ja i o tem myślałam. Koafiurę ułoży ci Matylda à la Pompadour, z modyfikacją malutką, którą ja jej podyktuję. Wsunie ci pukielek z zauszka, od niechcenia na gors spływający. Zobaczysz jak to będzie pięknie. Potrzeba tylko, żeby w uszku połyskiwał brylancik.

— Mam koleczyki brylantowe, dała mi je mama na wiązanie.

— Poczciwe matczyisko—westchęła pułkownikowa — przeczuciem odgaduje, co się przyda tobie. Otóż, w uszku brylancik, za uszkiem pukielek, efekt olbrzymi. Jeżeli p. Jakób nie skręci się od rozkoszy, to już jego własna będzie wina, wyprawimy go w Kapucyny. Idź-że ubieraj się, ale pierwej chodź: niech cię uściskam.

W chwili tej przyniesiono list przez posłańca z Chrustowa przywieziony.

— Idź-że, idź. Matylda cię będzie fryzowała, a ty sobie tymczasem list czytaj.

Staraliśmy się jak najdokładniej opisać pierwszy

wieczór i pierwszy poranek spędzony przez pannę Tulicką w Gawronach.

Jeżeli kto, przeczytawszy ten opis, utrzymywać zechce, że nie dostała się ona z deszczu pod rynnę, albo też, z pod obucha jednego rodzaju pod obuch innego rodzaju, to powiedziec gotówem, że, albo czytelnik czytać nie umie, albo ja nie umiem opisywać. Pomijam to jednak Sprawa pomiędzy mną a czytelnikiem jest sprawą pomiędzy czytelnikiem a mną i nie należy tu wcale do rzeczy. Rzecz w tem, że się Olesia w Gawronach nie tylko nie nudziła, lecz na pomyślenie o nudach chwili czasu nie miała. Jak pierwszy ten wieczór, jak pierwszy poranek, tak dzień jej każdy od świtu do zmroku był zajęty—czy użytecznie? to inna kwestya—był jednak zajęty, tak zajęty, że zaledwie jej starczyło czasu do odpisywania na listy matczyne. Co zaś wielkie stanowilo zajęcie, to zaprzatnienie myśli—czem mianowicie?—czemś nieokreślonym, a właściwie niczem niezmiernie interesującym. Tu pułkownikowa słówko jakieś rzuciła, tu znów hrabia materję do rozmowy wynalazł, i słówka te, materja ta w głowę się wlewały, spadając na mózg, jak spada woda na łotoki młyńskie.

Co to za różnica z Chrustowem?

Tam, śród tłumów, było się samotnicą.

Tu w samotności jest się śród tłumów — wśród tłumów myśli, fantazyj, obrazów, pożądań, zadowolęń, łechtań, formujących świat nowy, o którego istnieniu córka p. Tulickiej a kuzynka pana Marka i dzieci jego. wyobrażenia nie miała.

Miała się za wychowaną dobrze, z tego względu że tyle czytała! Znała się z literaturą ojczyzną i znajdowała uciechę samotną w martwym słowie;

gdy zaś tą uciechą dzielić się z kimś chciała, wówczas spotykało ją jedno z dwojga: albo natrafiała na człowieka, co jej słuchał, jak się słucha szczebiotu ptaszka, z lekceważeniem, jeżeli nie z politowaniem, lub z drwiącym na ustach uśmiechem, albo też natrafiała na człowieka, co na jej poglądy odpowiadał poglądami na psy, konie, koty, koguty i inne bestye. W towarzystwie, śród którego wzrosła, pomiędzy nią a towarzystwem owem brakło kleju. Tu zaś, pomimo że o literaturze — nie tylko ojczyściej ale żadnej — słówka nie wspomniano, klej znajdował się w obfitości takiej i w gatunku takim, że Olesia lgnęła do pułkownikowej, lgnęła do hrabiego, czuła się śród nich z chwilą każdą coraz ta bardziej na swoim miejscu i poznawała tę istotę „wychowania dobrego“, co to miłym, pożądanym i zasobów pełnym czyni człowieka, nie mającego ani o naukach, ani o literaturze, ani o sztukach pięknych, ani o żadnej rzeczy, która jego jest, wyobrażenia najmniejszego.

Czas jej upływał, umykał — nie nudziła się wcale. Lgnęła do Gawronów, w których ją tak kochano, takimi otaczano atencjami — lgnęła mianowicie do hrabiego i spoufaliła się z nim, znajdując go niewyczerpanym w pomysłach, we względzie owych niców, które stale myśli jej zapełniały. Nabierała o samej sobie wyobrażenia coraz to lepszego; jej „ja“ podnosiło się w niej niejako, a wszystko to dzięki hrabiemu — temu hrabiemu, którego lekceważono w sferze chrustowskiej.

O! jakim że ją ta sfera politowaniem przejmował!

Kto się z nim równać mógł? Nie znajdowała niko takiego, pomiędzy tymi, co go lekceważyli; zma-

łał, skarłał w oczach jej pan Marek nawet, który dotychczas w szacunku jej zajmował stanowisko uprzywilejowane.

Wielce się jej w Gawronach podobało.

To też, gdy po trzytygodniowym bawieniu, otrzymała nareszcie od matki list zaczynający się od wyrazu „przyjeżdżaj“ list ten stał się dla niej fan-tem, z którym w pierwszej chwili nie wiedziała co począć. Wyraz ten zmieszał ją tak, że nie czytała dalej. Pułkownikowa, w obecności której list opieczętowała, zmieszanie jej spostrzegła

— Co to, złotko moje?... czy nie wypadek jaki?

— Pani droga...

— Cóż to jest?—udawała strwożenie—mama twoja może?...

Za odpowiedź całą Olesia pułkownikowej list podała i ta zaczęła:

„.....przyjeżdżaj już po wszystkim: Zgrzebłowicz oświadczył się Henrysi, Henrysia przyjęła. Powiedz to kochanej najlepszej pani Pułkownikowej i podziękuj jej za wszystko dobre, które mi ona wyświadczyła.

— Masz go!—zawołała pułkownikowa policzki jej drgały.

Skończywszy czytanie, ubrała oblicze w wyraz czułości ogromnej i zwróciła oczy na Olesię, która ze swojej znów strony, dowiedziawszy się, że Henrysia za męża idzie, osłupiała.

— I tak matka wydziera mi ciebie.

— Henrysia... Zgrzebłowicz.

— A no ... Ale Pan Bóg tam z nimi! Te Szamocianki nie warte kogo innego, jak Zgrzebłowiczów. No, zbieraj się jednak życie moje... odwiezie cię sama.... niema co.... Trzeba sobie łaskę mamy

i swoją — rzekła z naciskiem — na przyszłość skarbieć.

Zaledwie się Olesia za drzwiami znalazła, na pana Jakóba zawołała.

— Ot i masz... wesele! — przemówiła do niego. Radziłam babie, żeby zaafiszowała, a ona wzięła i wydała.

— Kogo za kogo? — zapytał pan Jakób z obojętnością.

— Starszą Szamociankę za Zgrzeblowicza.

— Hm... cóż więc z tego?

— Zmiana sytuacji wymagająca rozpatrywania się w takowej ponownego... A dalekoś ty z tą cze-czotką zaszedł?

— Pozostają zawsze w fazie preliminaryów.

Pułkownikowa nosem skrzywiła i usta ściśnięte wydeła. Pan Jakób dodał:

— Kiedyż taka gęś że rozpacz bierze! Miałbym kłopot wielki...

— Al może to i lepiej... zobaczymy. Ja pojedę do tego gniazda szlagonery i nie wiem czy zabawię, czy też prędko powrócę... Odpoczniesz tedy... Ja, widzisz, poświęcam się dla ciebie... I tobie jednak nie źle się dostało; strenowałeś się w obec błaznicy, która, gdyby nie speranda na Chrustów, nie byłaby warta niucha tabaki.

VII.

Pułkownikowa odwiozła Olesię i wręczyła skarb ten matce—która przy tej okazji rozrzewniła się ogromnie—przenocowała w Chrustowie i nazajutrz w Gawronach z powrotem była.

— Zrekognoskowałam teren.. działać potrzeba

lente i czekać. Przyznaję ci, miałeś rozum, żeś nie hazardował. Mała jest otumaniona jak rybka, co trutkę połknęła, i pływa w naszych wodach. Niechże się sobie rzeczy robią i dokonywają, *jusqu'à qu'elles ne viennent à point*. Czekanie bywa heroizmem — zakończyła sentencyonalnie.

Słowa powyższe stosowały się do pana Jakóba, który słuchając ich siedział na kanapie, miał nogę za nogę założoną, głowę o poręcz opartą i do góry obróconą, palił papierosa i kółka dymu pod sufit puszczał. Kiedy siostra skończyła, odrzekł krótko:

— Czekajmy...

Czekali tedy rok, drugi i trzeci. Bywają lata w wypadki tak jałowe, że choćbyś się wściekł nie wydusisz z nich nic. Takimi właśnie były te przez które czekanie się ciągnęło. Nic i nic, chyba iżbyśmy notować chcieli rzeczy takie, jak wąsy i brody rozrastające się coraz to bujniej pod nosami i na policzkach młodych panów Szamotów. „Na bezwodziu i rak ryba“ — powiadają. Chyba więc zanotujemy to, że panna Henryka została dziewczyną, na którą zawołano: żono! Był to moment jeden i po tym momencie albo raczej od tego momentu rozpoczęły się lata żywota dla byłej panny Henryki nowego, który rychło postarzał. Pani Zgrzebłowiczowa prędko się oswoiła ze stanem małżeńskim. To zresztą i nie sztuka. Są wprawdzie takie, które w tym stanie sztuki różne pokazują; pani Henryka atoli do takich nie należała. Zostawszy panią Zgrzebłowiczową, została nią pomimo, że była Szamocianką *de domo*, na seryo.

— Poziomy umysł — ktoś powiedzieć gotów.

Tak — poziomy. W niej nie było zaczynu owego, co to urabia pogląd szerszy, zaczynu, nie przytra-

fającego się tak bardzo często w istotach płci męskiej, posługującej się dla wyrobienia swego mnóstwem środków pomocniczych, ażeby nas nieobecność ta w istocie płci niewieściej dziwić nadzwyczajnie miała. Nie dziwny się temu. Są natury a natury, temperamenta a temperamenta. Pani Zgrzebłowiczowa miała niejakię prawo uważać się pod pewnemi względami za wyższą od małżonka, jaki jej z losu wypadł: była lepszego niż on rodu, była czytana, umiała po francuzku, grała na fortepianie; on o tem wszystkiem pojęcia nie miał, a nawet co się wiadomości potocznych tyczy, takich jak geografia, historia, stał od niej niżej — w jednej arytmetyce do reguły procentowej włącznie był mocny; — jednakże poszła mu w ład odrazu i szła jednym trybem z roku na rok, zaspakajając się zupełnie czterema ścianami domowego świata. Taką była jej natura, taki temperament. Chimerować, kapryścić, dąsać się, pretensye do męża tworzyć, dokuczać mu — jakoś to jej nie przychodziło, a to dla tego po prostu, że w tem najmniejszej nie znajdowała przyjemności. Zastosowała się i do męża i do starej jejmości; pod kierownictwem tej ostatniej nauczyła się ser ogrzewać, masło bić, kury sadzić, gęsi tuczyć, wieprze sprawiać, zajmowało ją to, wciągnęła się do gospodarstwa i została kobietą poziomą, powszednią, taką, jakiej na żonę życzymy każdemu człowiekowi poczciwemu, taką, jakiej ideał, tkwiąc ludziom ówiekiem we łbach, przeszkadzał im dawniej uznać w kobiecie duszę ludzką, a dzisiaj przeszkadza przypuścić ją do równości praw obywatelskich.

Ochl te ideały....

Pani Henryka Zgrzebłowiczowa, w rzeczy samej

była żoną idealną, sama nie wiedząc o tem. Stara też jejmość często z jej powodu synowi mawiała:

— Jędrusiu, tyś się pod szczęśliwą urodził gwiazdą... Wiedzie się tobie: żonka i *fajna* i gospodarna... Umrę spokojna o gęsi i wieprze...

Gęsi i wieprze stanowiły *coté fort* starej jejmości i cieszyły się predylekcyą z jej strony.

Ludzie co się z boku na to patrzali, powiadali jednogłośnie prawie, że pani Henryka zrobiła z siebie poświęcenie. A właśnie poświęcenia nie było tu ani kropelki, ani krzty, ani cienia. Zachodziło tu coś podobnego, jak z gieniuszami, które bywają dwojakie: naturalne i formowane. Gieniusz naturalny ani się tego domyśla, że gieniuszem jest, swoje robi, pożytek przynosi i ludziom nie zawadza; formowany nadyma się, pozuje, dokucza, rady z nim sobie dać nie sposób.

W małżonce pana Andrzeja, forsowanego nie było nic. Jedyne przymus, jaki sobie zadała, odnosił się do tej chwili, w której pani Tulicka oznajmiła jej oświadczyzny pana Zgrzebłowicza. Byłaby wolała wówczas pod ziemię się zapaść, aniżeli za niego iść. Pod ziemię się jednak nie zapadła, poszła i dobrze się stało. Została żoną idealną dla tego, że trafiła na drogę, na której nią być mogła; nadała się panu Andrzejowi jejmości starej i życiu w Zahorowie, jak struna w instrumencie muzycznym, odpowiadająca nastrojem ogólnemu instrumentu nastrojowi, nadaje się strunom innym. Przyrównawszy naprzykład pana Andrzeja do bajorka na gitarze ją przyrównać można do kwinty.

W społeczeństwie-bo ludzkim w ogóle tak się dzieje, że jedni z członków onego są bajorkami, drudzy kwintami, grona zaś rodzinne instrumenta-

mi rozlicznymi, narody orkiestrami, grającymi lepiej lub gorzej, stosownie do tego, jaką wartość instrumenta posiadają. Instrumenta dobre, koncert narodowy idzie, aż miło; liche, robi się z koncertu kocia muzyka. Potrzeba więc, ażeby struna każda miejsce swoje zajmowała wedle przydatności. Na tem polega ideał ustroju społecznego.

Rodzina p. Andrzeja — w przeciągu lat paru znalazły się i dzieci—przedstawiała gronko rzeczywistości idealne.

Przysłówek „rzeczywiście“ i przymiotnik „idealne„, nie zgadzają się ze sobą. To też przymiotnik ustępował przysłówkowi, z tego zaś ostatniego robił się rzeczownik „rzeczywistość“, brzmiały harmonią, kwitnący dostatkiem i przenikniony zadowoleniem.

— Ona doprawdy kontenta—mówiła o Henryce panna Aleksandra.

— Kontenta—wtórowała jej panna Ewa.

— Nie rozumiem tego—powiadała pierwsza.

Druga nie na to nie odpowiadała, pomimo, że rozumiała. Rozumiała, że byćby potrafiła taką samą jak siostra, gdyby się znalazła w warunkach odpowiednich.

Co do siostry kwestya bytu doczesnego rozstrzygnęła się doskonale. Co do niej, taż sama kwestya stawała pod postacią zagadnienia, które zacny i rozumny pan Marek, poczciwy pan Stanisław, serdeczny Gucio i najlepsza pani Henryka rozwiązywali na wzór i podobieństwo tego, jak Aleksander Macedoński rozwiązał węzeł gordyjski.

— Cała sztuka w tem, ażeby wyszukać drugiego pana Andrzeja i wydać ją za niego... Znalazł się jeden: czemużby znaleźć się nie miał i drugi?..

Ewunia jest na tyle rozsądną, że potrafi do męża się zastosować, potrafi w potrzebie dla niego się poświęcić, jak Henrysia...

Rozwiązanie to przychodziło im na języki wraz ze śliną. Przekonany przykładem córki starszej, uznawał je za praktyczne p. Marek, tylko upatrywał trudność niejaką w wynalezieniu drugiego Zgrzebłowicza. Trudność tę atoli usuwał pan Stanisław.

— Zgrzebłowicz—powiadał—znalazł się nieszukany... Gdy się więc poszuka, to się z pewnością znajdzie... Ja mam oko...

Wyrazy ostatnie do tego się odnosiły, że miał się za sprawcę głównego w skojarzeniu stać we względzie Henrysi. Szukał przeto, znajdując w tem szukaniu dobry pretekst do pędzenia w okolicy życia koczowniczego, które mu wielce smakowało. Krażenie jego przyrównaiby można do wędrówek Odyssea, z tą jeno różnicą, że ten ostatni jeździł po morzu, a ten po lądzie i z tą jeszcze, że ten szukał Itaki, ten zaś męża dla Ewuni. Moznaby o tem Odysseę napisać, pełną awantur, wypadków, a szczególnie rozmaitych *qui pro quo*, powstających ztąd, że podczas kiedy on szukał męża dla siostry, jego samego podejrzewano o poszukiwanie żony dla siebie. Pomijamy to jednak. Do obdarzenia ludzkości drugą Odysseą nie czujemy się zdolnymi, jak pan Stanisław zdolnym się czuł do wyszukania drugiego Zgrzebłowicza.

On szukał: Ewunia dojrzewała—dojrzewała podwójnie, fizycznie i moralnie, pozostawiona samej sobie. Ojciec wypuścił córki w dzierzawę niby pani Tulickiej, której przypisywał uformowanie Henrysi na taką doskonałą niewiastę; spuszczał się też na nią zupełnie i we względzie Ewy i nie tro-

szczył się o nią wcale. Nie służyło to za dowód braku miłości ojcowskiej—owszem: uznawał się jeno niekompetentnym. Zresztą czasu nie miał.

Pani Tulicka, jak wiemy, miała Ewunię za zimną egoistkę. Opinię tę powzięła o niej od lat jej najmłodszych, powód do takowej aż nadto dostateczny znajdując w zdolnościach, jakie dziewczyna okazywała. Kiedy się panienki uczyły jeszcze, ona przypuszczona do nauk najpóźniej, w krótkim czasie dopędziła i starszą siostrę i kuzynkę i znalazła się na przedzie. To przykrość pani Tulickiej sprawiało. Co do Henrysi, o tę mniejsza jeszcze; co do Olesii jednak, sukcessa Ewuni brała w znaczeniu obrazy osobistej, zwłaszcza, że sukcessów miarę stanowiły popisy przed gośćmi. Odnosiło się to do czasów tych, kiedy panny panienkami jeszcze były i krótkie sukienki nosiły. Pani Tulicka rada wyciągała Olesię, czy to na zagranie czegoś, czy też na oddeklamowanie czegoś i nie mogła, produkując się ze swoją usuwać Szamocianek, tembardziej, że przy Henrysi Olesia odbijała wcale nie źle. Ale Ewunia zawsze górę brała i aplauzy zdobywała. Ta wywiązywała się dobrze, ta jeszcze lepiej, jakby na przekór. Pani Tulicka upatrywała też w tem nie co innego, jeno ducha przekory, pochodzącego z zamiłowania osoby własnej.

— Nieznośna smarkacica! — powiadała o Ewuni dziecku.

— Egoistka—wyrzekła o niej, gdy na pannę wyrosła.

Ośmielała się lepiej aniżeli Olesia grać, z większem czuciem deklamować, więcej od niej umieć, a nadewszystko być od panny Tulickiej piękniejszą i młodszą.

Co do tego ostatniego punktu pani Tulicka poradziła sobie w sposób dosyć dowcipny, chociaż wcale ani nowy, ani oryginalny. Zatrzymała na Olesi zegar czasu na latach ośmnastu i nie pozwoliła mu iść naprzód—z kąd poszło, że Ewunia w ośmnastym roku życia swego została rówieśnicą starszej od siebie o lat sześć kuzynki. Kwestya ta rozstrzygnęła się z łatwością. Pozostawała jednak kwestya piękności, z którą poradzić sobie sposobu nie było. Tu już egoizm Ewuni występował w szkaradzie całej. Nietylko od Olesi piękniejszą była, ale była piękną—piękną, w całym słowa tego znaczeniu.

— O! wyrażała się o niej pułkownikowa—ta Ewunia, gdyby ją pokazać, to daleko by zaszła.

— Ale, gdyby pani kochana wiedziała—odpie-rała pani Tulicka z miną politowanie miłosierne oznaczającą.

— Wiem ja... o! wiem. Ciało piękne, ale dusza?

— Niech Pan Bóg miłosierny broni... Takie to niewdzięczne. Wszystkoby rada zagarnąć dla siebie.

— Jednakże, gdyby ją w świat pchnąć...

— O! co się tego tyczy, drogę by sobie prędko znalazła.

Pułkownikowej nieraz na myśl przychodziło, czyby nie skaptować Ewuni dla pana Jakóba zapewniając mu przez to posag nie w brzęczącej monecie ale we wdziękach żony. Wiedziała jednak, że jestto rzecz śliska, na którą zląkomiwszy się można wyjść jaknajgorzej. A nuż żona podobna porzuci! a nuż zeszepeci ją ospa lub inna choroba! a nuż nieszczęśliwego małżonka potomstwem licznem obdarzy! Przeciwno jednej szansie „za“ przemawiało szans dużo „przeciw“. „Lepszy wróbel w garści

aniżeli gołąb na dachu.“ Pułkownikowa tedy wołała tymczasowie dla pana Jakóba Olesię ze sperandą skromną na Chrustów, aniżeli Ewunię ze sperandami na najświetniejsze sukcesy w świecie.

Pomiędzy panią Kawską a panią Tulicką, związał się stosunek poufnej zażyłości opartej na wspólnej dla Olesi admiracji.

Jedna i druga unosiły się nad aniołem tym. Był to niby wspólny ich obydwóch skarb.

— Dobrze pani dobrodziejka robi, że się z wydawaniem jej za mąż nie śpieszy — bywały słowa pułkownikowej.

— Czegóż się mam śpieszyć! Prawie dziecko jeszcze.

— A jak to się świetnie stało, żeśmy ją Zgrzebłowiczowi sprzątnęły.

— Ach! prawda... chociaż zdecydowaną byłam dać mu odprawę bez ceremonii najmniejszej.

— No tak... lepiej jednak, że się wszelkiego afiszowania uniknęło.

Wyraz „afiszowanie“ służył za postrach dla pani Tulickiej. Pułkownikowa poznała to i wyrazu tego używała odpowiednio. Kiedy naprzykład chciała Olesię zabrać do Gawronów prosiła o nią w sposób następujący:

— Niechże mi ją pani kochana na dni parę pożyczycy. U mnie jej, jak u pana Boga za drzwiami: nie afiszuje się.

I pani Tulicka pożyczala córkę. Ta zaś ostatnia pożyczala się z ochotą wielką, a za powrotem z Gawronów, zwierzała się przed rówieśnicą swoją Ewunią, tak z wrażeń, jakich tam doznawała jako też i z nowych na rzeczy poglądów, które zdobywała.

— Wiesz moja droga— powiadała — poznałam różnicę pomiędzy światami... Światy się dzielą: na najniższy, wyższy, jeszcze wyższy i najwyższy... Nie potrafię powiedzieć ci ile jest stopni, ale to pewna, że stopnie są i że na każdym życie inne, atmosfera coraz to czystsza, lżejsza i miłsza. Poznałam przedstawiciela świata wyższego, aniżeli nasz Chrustowski...

— Któż to?—zapytywała panna Ewa.

Zapytywała długo nadaremnie aż w końcu panna Aleksandra nazwała jej przedstawiciela owego:

— Hrabia Jakób Jałomnicki...

— Cóż ty powiadasz! — zawołała — ten gamoń?

-- On się tak wydaje z punktu widzenia światka Chrustowskiego tak jak Staś wydawać się zapewne musi z punktu widzenia, dajmy na to, ekonomicznego Jestto jednak człowiek wartości niemałej.

Panna Ewa zanotowała sobie w pamięci słowa powyższe i doznała we względzie Pana Jakóba pociągu jakiegoś, który był, powiedzieć pośpieszamy, prostą ciekawością.

I ona przeczuwała światy inne, dla tego, że świat chrustowski zaspokojenia jej nie dawał. Zdarzył się jej w odniesieniu do onego ten wypadek, że wystrzeliła nadeń głową. Był to wypadek, który nazwaćbyśmy mogli nadzwyczajnym. Panna Ewa nie uczyła się ani więcej ani czego innego jeno tego samego czego się uczyła Henryka i Aleksandra, nie czytała ani więcej ani czego innego, jeno to samo co czytała jedna i druga. Podczas jednak kiedy jednej nauka i czytanie przez umysł się przelewały jak woda przez sito, podczas kiedy druga podchwytywała i przyswajała sobie stronę jedynie formalną,

ona, parta ciekawością, podnosiła obsłony zaglądała do środka, poszukiwała treści i znajdowała takową w najbliższej nieraz książce. W ten sposób umysł jej bogacił się w postulaty naukowe, oczekujące na zaspokojenie, zarazem zaś i rozwijał się dzięki tymże samym postulatam zmuszającym ją do myślenia. Stąd myśli jej osnuwały się około punktów treściwych nieznanych wcale w świecie chrustowskim.

Nie dziw więc, że przedstawiciel świata innego zainteresował ją.

Pan Jakób rzadkim bywał w Chrustowie gościem a kiedy przyjeżdżał, panna Ewa nie zwracała na niego uwagi większej, jak na gościa każdego innego. Bawiła go, jak bawiła Kaziów, Baziów, Józiów, jak bawiła panów sędziów, panów podsędków, panów komorników, jak bawiła księdza proboszcza lub księdza wikarego, sposobem pozytywki nakręconej do odegrywania wytycznych ćwiekami na walcu sztuczek. Dowiedziawszy się atoli o przedstawicielstwie jego, zaciekawiła się wielce do niego, i za pierwszą bytnością p. Jakóba w Chrustowie, przyjeła go z tym uśmiechem obiecującym i nęcącym, zapomocą którego kokietki tłumowi imponują.

Uśmiech ten odnosił się, nie do jego osoby, lecz do jego przedstawicielstwa, za pośrednictwem którego zasięgnąć pragnęła wiadomości ze świata innego.

Nie udało się jej to za pierwszym razem, nie udało się za drugim i za trzecim. Zabiegi jej, mające pozór natarczywości, nie uszły baczności obserwujących ją z boku pułkownikowej, p. Tulickiej i panny Aleksandry. Wywiązała się z tego powodu paplanina, rozłożona na warsztatów kilka.

Na jednym gadała siostra z bratem:

— Czy uważasz ty— były słowa pierwszej — że Szamocianka bierze się do ciebie?

— Miarkuję coś—odrzekł zapytany.

— Powinnoby ci to pochlebiać... powolna dziewczyna.

— Hm, zapewne, ale? Przypuśćmy iżby się rozkochała.

— At... rozkochała? Jeżeliby się rozkochała, miałbyś rozrywki trochę, ale za to kłopotu dużo. Chyba, iżby.

Zamyśliła się. Pan Jakób zapytał:

— Co?

— Iżby dało się Tulicką i Szamociankę wprowadzić w położenie dwóch kotów podrażnionych, w jednym zawiązanych worku. Co myślisz Jakóbciu?

— Dałoby się to—odparł zagabnięty, po chwili namysłu.

— Weź-że no się ty do tego... tylko, wiesz? ot tak... delikatnie tylko, zgrabniutko, po ułańsku, niech to się sobie niby samo przez się zrobi.

Matka z córką, na drugim warsztacie, następującą miały pogadankę:

— Czy uważa mama kochana, Ewunia?

— Uważam, moje dziecko. Ale, co tam!

Córka odchrząknęła.

— Tak wyraźnie zastawiać na hrabiego samotrzask, to się, dalibóg, nie godzi.

— Co to nas obchodzić może!

— Zapewne, zawsze jednak, to się nie godzi.

— Ewunia, jak sobie pościele, tak się wyśpi.

— Tak, widzi jednak mama kochana, hrabia jest to człowiek serca najlepszego, szkodaby więc go było, gdyby się uwikłać dał.

— Jest jednak wytrawny, doświadczony i rozumu pełen, jak powiadasz sama.

— Zapewne, jednakże, bywają zdarzenia, że i najrozumniejsi w pułapki wpadają.

— Cóż więc, życie moje?

— Mnie się zdaje, iżby wypadało może, przestrzedz.

— I, do czego to!

— Ach, mamol—wybuchnęła córka. Jabym moeno na tem ucierpiała, gdyby człowiek taki dostał się w ręce takiej egoistki.... Gdybyż go ona kochała! Ewunia jednak nie kocha i kochać nie może nikogo, z wyjątkiem samej siebie. Proszę mamy kochanej, w tym względzie sumienie samo nakazuje przestrzedz.

— Ale, kogo mianowicie?—zapytała matka—pułkownikową chyba?

— Niech mama, z łaski swojej, pomówi z pułkownikową, a ja....

Matka podniosła na córkę oczy. Ta odparła:

— Albo nie. Ja nic. Co mama powie pułkownikowej, to będzie może wystarczajacem.

Warsztat trzeci rozciągał się pomiędzy pułkownikową a p. Tulicką.

— Proszę pani kochanej — zaczęła ta ostatnia—de jakiego to stopnia zepsucie w świecie posuwa się teraz! Za naszych czasów panna na wydaniu skromnie i cicho czekała, aż kto się jej trafi.... Teraz, pani dobrodziejko, teraz panny same sidła zastawiają....

Pułkownikowa uśmiechnęła się półzłośliwie, przypomniawszy sobie zapewne swoje czasy i owego wąsatego a srogiego majora, wnet jednak na-

stroić minę bogobojnie. Pani Tulicka ciągnęła dalej:

— Same panny sidła teraz na kawalerów nastawiają, i ja Bogu się dosyć nadziękować nie mogę, że moja Olesia nie taka.

— O! Olesia!—odrzekła pułkownikowa, popierając wykrzyknik ten gestem stosownym.

— Choć to moja córka, muszę jednak tę jej oddać sprawiedliwość, że chociażby do lat dwudziestu pięciu (które już zapasem były) za mąż nie poszła, pewnieby na kawalerów nie polowała.

— Wiem ja o tem—wtrąciła pułkownikowa.

— Z zadziwienia też wyjść nie mogę, że Ewunia ma taki przed oczami przykład, a nie korzysta z niego.

— Ewunia?—zapytała pułkownikowa ze zdumieniem.

— Muszę pani drogiej otwarcie powiedzieć, otwartość to słabość moja, że od czasu niejakiego postrzegam, iż Ewunia zarzuca wędkę na pana hrabiego.

— Na brata mego?

— Na pana hrabiego — powtórzyła pani Tulicka z politowaniem.

— A to rzecz niesłychana! Pani dobrodziejka może się myli?

— Niczego bym mocniej nie pragnęła, jak mylić się. Niestety! nie, nie myślę się. Nie dowierzała-bym oczom własnym, ale.... a....

— Co? widziała może i Olesia?

— Nie, pani kochana. Olesia choćby widziała, toby się nie poznała na rzeczach takich. Toż, prawdę mówiąc, ona dziecko prawie jeszcze. Ja jednak mam sobie za obowiązek sumienia przestrzedz o tem panią drogą, od której doznałam tyle dowodów do-

broci. Chociaż Ewunia jest kuzynką moją, ale ja wyżej cenię dobroć pani, aniżeli kuzynowstwo wszelkie, Ewunia już nie dziecko, za postęпки swoje odpowiada sama, przeto, z otwartością całą, przestrzegam panią kochaną.

— Dziękuję pani dobrodziejce, jak najserdeczniej dziękuję—była pułkownikowej odpowiedź.

— Zrobiłam swoje, jak mi sumienie nakazywało.

— Jeszcze raz dziękuję — podchwyciła pułkownikowa— a mam do dziękowania powody bardzo ważne. Brat mój—tu przybrała ton konfidencyjny—jest to, najlepszy, najlepszego serca człowiek, i tu dobrze (pokazała sobie na serce), i tu nie najgorzej (pokazała sobie na czoło), ale, dla tego właśnie że w sercu dobrze, łatwym jest do opętania. Nic dziwnego—człowiek bez obowiązków. Gdyby był obowiązkiem wiązany, to, ponieważ jest człowiekiem honoru czystym jak kryształ, byłby przez to samo zagwarantowanym. Tak zaś, lękam się o niego, ażeby go nie skusiła, broń Boże, piękna twarzyczka jaka. Bo niechby się żenił, nie mam przeciwko temu nic; niechby się żenił z brzydką, z ubogą, byle z taką, pomiędzy którą a nim zachodziłaby *compatibilité* charakteru, temperamentu, humoru i wychowania, inaczej bowiem wolałabym, żeby sobie kamień u szyi uwiązał i do wody skoczył... Niechby się żenił z ubogą, powiadam, on będzie miał dosyć na podtrzymanie splendoru hrabstwa swego, dzięki Jałomnickim litewskim; niechby się żenił z brzydką; mnie nie o gładkość lica lecz o piękność duszy w żonie jego chodzi; niechby tylko nie brał egoistki, bo, przy bogactwie i piękności, zostałby z najnieszczęśliwszych najnieszczęśliwszym.

— Mój Boże! — westchnęła p. Tulicka, o uszy któ-

rej wzmianka od niechcenia o Jałomnickich litewskich nie obita się bez pozostawienia śladu po sobie.

— Ja go znam, wiem ja jakiej mu żouy potrzeba. Dziękuję więc pani kochanej za łaskawą a tak do-
brze przyjacielską przestrogę. Będę starała się zle-
mu zapobiedz póki czas i jeżeli można. Jeżeli mo-
żna, powiadam, pan brat mój bowiem umie być nie-
kiedy upartym. Byłoby to nieszczęście.

— Nieszczęście—powtórzyła p. Tulicka.

— Ja Ewunię znam.

— Och! i ja znam!

— Jej by potrzeba męża takiego, jak Zgrzebłowicz.

— A!—machnęła p. Tulicka ręką.

— Wzięłyby jegomościątkę krótko w cugle, w szenkle (wyraz pułkowy) i w ostrogi, i chodziłaby, jak w menażu. Co to za różnica z Olesią!

— Pani łaskawa!—zawołała pani Tulicka w zachwyceniu. Co za różnica! jak niebo do ziemi.

W całej tej poufnej pogadance, ostatnie tylko wykrzykniki zawierały w sobie prawdę. Prawda! pomiędzy Olesią a Ewunią zachodziła różnica ogromna. Olesia, w odniesieniu do porównania, do jakiegośmy powyżej instrumentu muzycznego użyli, była kwintą już zdezelowaną. Ewunia zachowywała w sobie całą jędrność struny i była do użycia w sposób odpowiedni.

Zapraęnęła mocno p. Jakóba bliżej poznać. Próbowwała tego trzy razy i trzy razy niepowodzenia doznała. Aż nareszcie, brat pułkownikowej sam niejako w serce jej wlaź.

Spotkali się w ogrodzie. Panna Ewa zoczyła go zdaleka i pośpieszyła do niego. Ujrzawszy ją przed sobą, zachnął się i krzyknął:

— Ach!

— Przepraszam—zaczęła panienka. Przestraszyłam pana.

Nie spodziewałem się pani. Nagłe jej pojawienie się zdziwiło mnie, ztąd okrzyk.

— Szukałam pana.

— Pani? mnie? Cóż za honor dla mnie?

— Czy pan chce przechadzać się ze mną w alei, czy też woli usiąść w altanie?

— W altanie, jeżeli pani nad nią alei nie przekłada.

— Chodźmy więc.

Wsunęła mu rękę pod pachę i poprowadziła go tam, gdzie nad ławeczką darniową wisały prątki brzozy płaczącej, otoczonej w półkole krzewami, formującymi zacisze, ustronne i romantyczne.

Pan Jakób kroczył z zacięciem szarmanckim, pociągając kamizelkę i chrząkając. Obok niego, wiotka i smukła postać panny Ewy odbijała mocno.

Przyszli.

— Altana!—rzekł. A, imitacja altany. Ta brzoza płacząca nie jest bez wdzięku, bez wdzięku dziekiego.

— Panna Ewa usiadła i odezwała się:

— Proszę pana.

I ukazała mu ręką miejsce obok siebie.

Usiadając p. Jakób mówił:

— Przysiągłbym, że pani siaduje tu często.

— Tobyś pan krzywoprzysięstwa się dopuścił. W altance tej rzadkim jestem gościem, wchodzę do niej w razach tylko wyjątkowych, jak obecnie, kiedy panowie zajęci są preferansikiem, panie zajęte rozmową—i niezajętymi niczem jesteśmy tylko: pan i ja. Długom na tę chwilę czekała.

Prosty, naturalny i śmiały wyrażania się jej sposób, strącał p. Jakóba z tego punktu równowagi, na którym trzymać się zwykli mistrze gadania o niczem. Dla nadania sobie kontenansu, musiał chrząkać i kamizelkę pociągać. Nie uważał za właściwe zapytać jej, co miała za powód do oczekiwania na chwilę spotkania się z nim sam na sam. Zakrawałoby to na zagajenie rozmowy o interesach. Szukał więc ratunku w ogólnikach.

— Och! cóż to za szczęście dla mnie, co zaszczęty!—zawołał.

— Długom czekała na chwilę pomówienia z panem.

— Pani!

— Pomówienia w interesie.

— Znam go!—pomyślał sobie p. Jakób. Tegom się właśnie lękał.

— Pragnę poznać przez pana świat ten, którego pan przedstawicielem jesteś.

Pan Jakób spojrział na nią wzrokiem wyrazu zapytania i zdumienia pełnym a powiadającym: nie rozumiem. Panna Ewa mówiła dalej:

— Żądanie moje wyda się panu oryginalnem, jeżeli nie dziwaczem.... Wytłómaczę się więc z niego. Pokutuje we mnie zapytań dużo, bardzo dużo, czekam na nie odpowiedzi i znaleźć takowych nie mogę. W świecie naszym, chrustowskim, zapytań tych istnienia nawet nie podejrzewają, a kiedy je stawiam, odpowiadają mi na nie najczęściej szyderstwem. Szyderstwo nie jest odpowiedzią zadawalniającą, pan to zapewne sam przyzna. Co jednak gorzej, przekonałam się, że stanowi ono *parti pris*, jakbym była istotą, nie zasługującą na odpowiedzi

rodzaju innego. Powiedz-że mi pan: czy tak jest w rzeczy samej?

Zainterpelowany w ten sposób brat pani pułkownikowej, poznał, że interlokutorce jego chodzi o coś, czego jeszcze nie wypowiedziała, a co go w ambaras wprawić może, więc czekał uciezki w ognikach błędnych. Pomyślał o puszczeniu racy i puścił takową. Odparł:

— Pani, zapytanie kobiety, kobiety zwłaszcza takimi jak pani urokami otoczonej, jest jak zapytanie wyroczni, mającej wedle zapytania tego o losie stanowiąc.

Panna Ewa usta skrzywiła, jak czyni człowiek niezadowolony okazujący. Po chwilce znów zaczęła:

— Pan jesteś przedstawicielem świata wyższego..

— Pochlebia mi to o mnie zdanie pani.

Panna Ewa w oczy mu popatrzyła i spojrzeniu swemu taki jakiś nadała wyraz, że on oczy spuścił. Wnet je atoli podniósł znów i spotkał się z jej wzrokiem już spokojnym i nie mówiącym nic. Znów zaczęła:

— Uderzył pana dziki wdzięk tej brzozy, która nas ecienia.

— A tak, wdzięk dziki. Kto też ją tu zasadził?

— Czy się ona nie wydaje panu na swoim miejscu?

— Miejscem dla brzóz płaczących są wnijścia do grot, źródła, kaskady, szemrzających strumyków wybrzeża, gazonów skraje, ale nie altany.

— Znajduje więc pan, że ona tu nie spełnia zadania swego?

— Co do tego, to z góry się na zdanie pani piszę. *Ce que femme veut, Dieu le veut.*

— Czy w świecie, któregoś pan przedstawicielem, we zwyczaju jest zdania własnego nie mieć?

— Jest we zwyczaju, damom pierwszeństwa ustępować, uważając je za najpiękniejszy twór boży. One tam królują, zajmując miejsca najpierwsze, których porządek układa się sam przez się. Pani... pani trzymałabyś czoło.

— Doprawdy? — zapytała panienka z naiwności akcentem.

— Pani!—zawołał p. Jakób, zachwyt udając. Jesteś pani zdumiewająco piękna!

Panna Ewa zwróciła na p. Jakóba swoje fijołkowego koloru, kunsztownie oprawne, długimi rzęsami ocienione oczy, i spotkała się z wzrokiem jego, nastrojonym na wyraz słodyczy, jaki posiada figa rozgnieciona.

— Jesteś pani zachwycająco piękną!—powtórzył, dłonie składając.

Panna Ewa rzeczywiście była piękną, ale p. Jakób na sto mil był od zachwytu oddalonym, udawał zaś zachwyt dla tego jedynie, ażeby zepchnąć rozmowę z terenu, na który ją panienka wprowadzała. Czuł, że na terenie tym gruntu mu pod nogami brak, więc manewrował tak, ażeby ją sprowadzić na swój. Nabijał się komplementami i strzelał *à bout portant*. Po ostatnim jego wystrzale, którego on jednak, jak się zdaje za ostatni nie uważał, panna Ewa uśmiechnęła się politowania uśmiechem.

W tej chwili, w alei, słyszeć się dał szelest sukni damskiej. Ktoś szybko przechodził.

Była to panna Aleksandra. Postrzegła zniknięcie kuzynki i kawalera i do ogrodu wyszła. W alejach oglądała się, ucha nadstawiając. Gdy do altany dochodziła, ujrzała, na darniowej ławeczce,

dwie postacie: wstecz się, niby przerażona, rzuciła i szybko pomknęła. Biegła wprost przed siebie, doznając uczucia takiego, że gdyby gdzie blisko znajdował się staw, byłaby do wody wskoczyła. Gdyby ogród posiadał sadzawkę przynajmniej, byłaby się próbowała w sadzawce utopić. W braku stawu i sadzawki, biegła, powtarzając co chwila:

— Niegodni! niktzemni! podle! mój Boże! mój Boże!

Szczęście wielkie, że w tej chwili ani p. Jakób, ani panna Ewa pod oczy się jej nie nawinęli.

Nawinęli się, ale później nieco, kiedy panna Aleksandra, obiegwszy ogród cały do koła, powracała. Ochłoneła już z pierwszego wrażenia, nastroiła się stosownie i wprost do altany zmierzała. Zamiarem jej było: odegrać scenę zdumienia i dać się wydrzeć z ust wyrazowi:

— Winszuję!

Wyraz ten parę razy powtórzyła sobie, dla nadania mu akcentu odpowiedniego.

Zamiar ten jednak spełził na niczem.

Po wysłuchaniu przez pana Jakóba komplementu, panna Ewa wstała. Kawalerowi nie pozostawało nic innego, tylko toż samo uczynić. Panna poszła, on zanią. W ulicy chciał jej ramię podać, lecz ona tak zamanewrowała, że chęć za uczynek stanęła. Wszczęła rozmowę o pogodzie. Pan Jakób potracił materyę o kwiatach, zamierzając takową, zapomoćą zwyczajnych porównań i przenośni, przenieść na damy. Panna Ewa materyę tę podchwyciła i zapytała o istotę woni.

— Woń, pani, woń, jest to emanacya.

— Wiem, że emanacya—podchwyciła panienka—ale nie znam emanacyi tej istoty naturalnej, racyi,

przyczyny. Kwiaty żyją i życie swoje manifestują barwami i zapachem. Ówóz, z kąd zapach pochodzi?

— O! gdybyśmy w przyczyny manifestacyj wszystkich wnikać chcieli, zaprowadziłoby to nas za daleko.

— Zaprowadziłoby to nas do poznania otaczającego nas świata.

— Cóżbyśmy na tem zyskali?

— Rozwiązalibyśmy sobie zagadkę życia własnego, sprzężonego z tem wszystkim, co nas otacza.

— O, pani! to zaabsorbowałoby nam życie tak, iż na życie samo miejsca i czasu by nie pozostało.

— Więc lepiej, wegetujemy jak kwiaty—odparła panna Ewa z przekąsem.

Pan Jakób, w roli swojej kawalera, nie mógł na przekaz ten odpowiadać, jak odpowiada katechizm na zapytanie: Na co Pan Bóg człowieka stworzył? Katechizm ma na widoku moralność, widoki zaś panna Jakóba z takową nie licowały. Nie mógł przeto powiedzieć, że zadanie życia człowieczego zawiera się: w poznaniu Boga, wedle tego jak religia każe, w kochaniu go, w służeniu mu i w zasługiwaniu na żywot wieczny. Kłopotał się więc nad wynalezieniem odpowiedzi, trzymającej środek pomiędzy katechizmową a salonową, gdy z kłopotu tego wyprowadziło go pojawienie się panny Aleksandry. Ucieszył się niemię szczerze.

Dla panny Aleksandry, która układała sobie, zejść czułą parę w altanie, spotkanie to wypadło jak niespodzianka.

Czuła para przedstawiła się jej w postaci wcale nie miłej.

Panna Ewa, odwrócona twarzą od p. Jakóba, śledziła okiem ruchy motyla białego, który z kwiatka

na kwiatek przelatywał; pan Jakób ujrawszy pannę Aleksandrę, miał minę człowieka, który się na manewrach zabłąkał i nagle na drogę natrafił.

— A! — zaczęła panna Tulicka i słowa jej na ustach zamarły.

Chciała winszować, ale winszować nie było czego.

— Właśnie mówiliśmy o kwiatach—podchwycił p. Jakób, zwracając do p. Aleksandry mowę. Kuzynka pani chciałaby zbadać istotę woni.

— O, Ewunia!—odpowiedziała zagadnięta, rzucając wyraz dla tego jedynie, ażeby wydać dźwięk jaki z siebie.

— Pani tak lubi kwiaty i wonie!

— Bardzo.

— Woli pani polne czy ogrodowe?

— Prawdziwie, odpowiedzieć nie umiem—odrzekła, ściągając usta. Zaskoczył mnie pan hrabia z zapytaniem znienacka. A pan, jakie kwiaty woli?

I potoczyła się dalej rozmowa w tym guście.

VIII.

Cofamy się wstecz o rok jeden i z Chrustowa, z Gawronów, z Zahorowa, przierzucamy się o mil kilkadziesiąt, z pośrodku towarzystwa znanego nam, pomiędzy ludzi, którzy wcale jeszcze w powieści niniejszej nie figurowali. Śród ludzi tych, chodzi nam o jednego szczególnie człowieka. Znajdziemy go jednak w licznej gronie. Sama młodzież. Wieczór letni wywalił ich pod niebo otwarte, pod którym wyciągnęły się w poczwórnym szeregu drzewa rosochate, wyrastające w taki sposób, iż środkowe szeregi idą wzdłuż drogi szerokiej, twardej, ubitej skrajne zaś wzdłuż chodników żwirem usypanych

i w ławeczki zaopatrzonych. Droga i chodniki dopierają do placu obszernego, przedstawiającego regularne koło. Otacza je niby las, wśród którego przeglądają kształty zgrabne kiosków chińskich i szaleatów szwajcarskich. Pośrodku koła wznosi się estrada drewniana, daszkiem malowanym przykryta i w latarnie na słupach żelaznych przyozdobiona. Estradę tę zajmuje właśnie muzyka wojskowa, rzucająca na echa utwory—raz Lannera, znów Straussa, to znów Gounoda, Rossiniego, Wagnera, utwory rozmaitych szkół i rozmaitych stylów, w celu zapewne zaspokojenia rozmaitych gustów publiczności licznie zgromadzonej.

Z opisu powyższego domyśli się czytelnik, że rzecz dzieje się w mieście wielkiem, i że kioski owe i szaleaty, przez drzewa przeglądające, niczem są innym, jeno biuwetami i buffetami.

Pod jednym szaletem, około stołu krągłego, siedzi młodzieży kilku. Na stole szklanki, w jednych piwo, w drugich woda sodowa, w innych woda z sokiem wyciśnionym z jagód wiszni, malin lub porzeczki. Nad głowami ich szumią drzewa, pod konary których unoszą się lekkie obłoczki dymu sygar i papierosów, któremi młodzież zdaje się być zajęta bardziej, aniżeli gawędką, toczącą się, jak Francuzi powiadają: *à bâtons rompus*. Ten wspomni o tem, ów o owem, ten rzuci słówko, ów dwa. Rozmowa nie miała ogniska, aż nagle znalazła takowe w dźwiękach muzyki, która, po przestanku chwilowym, urznęła marsza z Tannhäusera. Z młodzieży jeden, kołyszący się dotychczas od niechcienia na stołku, wyprostował się, rękę podniósł i począł nią takt wybijać, kierując z przyciskiem głową i powtarzając od czasu do czasu:

— Raz dwa, raz dwa, a! o! wybornie! świetnie!

— Zapalonyś do muzyki przyszłości — odezwał się jeden.

— Zwłaszcza od chwili, w której odczytałem artykuł jego o niej.

Mówiąc to, skinieniem głowy wskazał na siedzącego obok młodzieńca, odznaczającego się wśród towarzyszy powabnością męskiej postawy. Czoło otwarte i myślące, rysy oblicza regularne, oko ciemne, włos płowy, na wardze zwierchniej mszył mu się wąs bujność zapowiadający, szczęki i podbródek okrywał zarost młodociany, na głowie miał kapelusz z szerokimi kryzami, na sobie ubiór z taśmami.

— A?— odrzucił inny młodzieniec. Pisałeś o muzyce przyszłości?

Zapytany, zamiast odpowiedzi, skinął lekko głową i opromienił usta uśmiechem półsardonicznym.

— I w którym piśmie?

— W Kwiatkach — odpowiedział za niego inny z grona.

— Nie czytałem tego.

— Nie dziw. Kwiatki tylko co z pod prassy wyszły: miałem je w ręku mokre jeszcze.

— To sprawi wrażenie, raz dla tego że to, w Kwiatkach, powtóre dla tego, że to wyszło z pod pióra jego. Kwiatki przecież gardłują przeciwko Wagnerowi i przekonaniami, jakie wyznają, stoją względem wyznawanych przez ciebie na biegunie przeciwnym. Chyba się nawróciły nagle.

— Djabła tam!— odparł jeden.

Autor artykułu w rozmowie, jaka się w obec niego toczyła, widocznie wolał być słuchaczem aniżeli

uczestnikiem. Milczał, uśmiechał się i wodę z sokiem popijał.

— Z podziwu wwiść nie mogę. Kwiaty? i on w Kwiatkach, z artykułem za muzyką przyszłości? Zagadka.

— Do rozwiązania której klucz znaleźć łatwo. On dziś *en vogue*. Pismom, do których pracuje, prenumeratorem przybywa. Jego więc artykuł w Kwiatkach, właśnie dla sprzeczności z przekonaniem pisma, nada pismu rozgłos, którego mu brak.

— Rozgłos chwilowy—rzucił ktoś.

— Przepraszam — podchwycił inny. Koniec kwartału,—Kwiatom potrzebną była reklama.

Na słowa ostatnie, młody autor wzdrygnął się, brwi zmarszczył, pochwycił ze stołu szklanekę z sokiem i duszkiem ją wychyliwszy, zerwał się i bez pożegnania towarzysztwo opuścił.

Młodzi ludzneroczami przez chwilę przeprowadzali go wśród drzew, a gdy zniknął, jeden z nich rękę podniósł i rzekł:

— No! Redakcja suto zapłacić mu musiała, założyłbym się, po złotówce od wiersza, najmniej. Musiał jednak choć trochę zastosować się do niej.

— Nic a nic. Występuje z całą właściwą sobie pychą.

— Ta, ta, ta—podchwycił jeden z takich co milczał dotychczas. Czytajno pomiędzy wierszami. Tam więcej zręczności, aniżeli pychy, i, i—tu dłonią ku nosowi własnemu machał, wachanie udając—wieje z artykułu tego zapaszek ustępstw na przyszłość.

— Być nie może!—zawołało dwu naraz. Zkądże by to!

— A zkądże?

— Pieniądze chyba.

— Aa! zaprotestowało kilku jednogłośnie.

— Hm — odezwał się jeden — gdzie dyabeł nie może, tam babę poszle.. Bywa na herbatach literackich u pani Eulalii.. Pani Eulalia z jednej strony, panna Idealia z drugiej, Kornelcia z przodu, zaprzęzona na kształt gołąbka, ciągnącego wóz Afrodyty, kilka innych do koła, pluskających się w lazurach powietrznych, jak najady i nereidy w wodzie.... no.... oto powody, dla których on mięknąć zaczyna....

— Szkoda. a taki był twardy, jak żelazo....

— Ho-hm... baby i najtwardsze rozegrzać potrafią i spłaszczyć na blachę papierowej cienkości.. Im to podziękować należy za tyle pism płaskich i za tylu płaskich uczonych, filozofów, belletrystów, krytyków, poetów.. Mecenaski!.. zakończył, nadając wyrazowi ostatniemu akcent pogardliwy.

— Bravo! — podchwycił brunet słuszny. Pisałeś dotychczas za emancypacją kobiet... Spodziewam się, że od tego momentu będziesz przeciwko emancypacji pisał..

— Pisać będę, jak pisałem — odparł spokojnie przeciwnik mecenasek — nastając na sprostowanie edukacyi, tak dla płci jednej, jak dla drugiej.... Emancypacja w sprzężeniu z edukacją dotychczasową, mającą głównie na celu układanie ludzi, jak się psy układa, prowadzić musi do rezultatów najsmutniejszych... Tej to edukacyi przedstawicielkami są właśnie mecenaski tutejsze i dla tego załuje go, że się im w ręce dostał.. Osmalą mu skrzydła, jak osmalily niejednemu, te Minerwy ogniste...

— Szkoda — westchnęło kilku.

Po westchnieniu tem zapanowało milczenie. Młó-

dzi ludzie jeden po drugim wychylali szklanki swoje, wstawali i oddalali się. Ostatnim był mecenasek przeciwnik. Ten pił piwo, zapomniał jednak o trunku, siedział w zamyśleniu, z którego wyrwało go przybycie osób obcych, zajmujących opuszczone przez towarzyszy jego siedzenia. Wówczas i on wstał, kapelusz sobie na głowie poprawił i udał się jednym z bocznych chodników w miasto, oświetlone latarniami gazowymi. Przeszedł przez ulic kilka, mimo sklepów o wystawach wspaniałych, mimo gmachów o pretensjach architektonicznych, mimo pomników świadczących o sławie minionej i zatrzymał się przed kamienicą kilkupiętrową. Zatrzymał się na chwilę tylko, spojrzął na szereg okien drugiego piętra, głową kiwnął i wszedł. Szedł schodami do góry. Na piętrze drugim zwrócił się w długi korytarz, oświetlony dziobem gazowym, minął szereg drzwi i zapukał do przedostatnich.

— Proszę! — odezwał się głos ze środka.

Młody człowiek wszedł do apartamentu, który się składał z dwóch izb: z frontowej i z bocznej. Ta ostatnia zaopatrzona w łóżko z pościelą, w umywalnię, szafę na rzeczy, stół jeden i stołków parę, pełniła funkcję sypialni. Sprzęciiki były w niej bardzo skromne. Łóżko żelazne, szafa sosnowa pokostem nawet nie powleczone, stołki proste bez poręczy, pościel perkalikowa. We frontowej za to dość obszernej, umeblowanie odznaczało się wykwintem jakimś, okazującym się na tych szczególniej sprzętach, których obecność znamionowała salon, a mianowicie: na kanapie wybijanej, na stojącym przed nią, pismami zarzuconym, stole okrągłym, na dwóch fotelach i na czterech krzesłach, symetrycznie do koła stołu ustawionych. Przy stole tym

był salon, kończący się na obrębie krzesel. Wszystko co za obrębem tym istniało stanowiło pracownię literacką, zaopatrzoną dostatnio w narzędzia pracy umysłowej. Bokiem do okna stało pod ścianą biurko otwarte, papierami zapełnione, dalej półki z książkami, dalej stoliki z okazami i atlasami, stoły dzienników, broszur, pism ulotnych, zresztą w kącie fortepian, świadczący o muzykalności gospodarza i nad kanapą sporych rozmiarów zwierciadło, służące do dwóch użytków, do zwyczajnego zależącego na przypatrywaniu się i do nadzwyczajnego, który się wyrażał za pomocą zapisywanych białą kredą notatek, takich jak: $60 + 13 = 73$; *str. pr.; na 17 czerw. wieczorem; ulica Krzyżowa Nr. 76* etc.

Na stole okrągłym gorzały dwie świece stearynowe; na kanapie pod zwierciadłem siedział z rękami za głowę założonemi i z nogami wyciągniętymi, autor artykułu o muzyce przyszłości drukowanego w Kwiatkach.

Wymówiwszy „proszę“, wykonał korpusem swoim ruch, mający na celu zmianę pozycyi, niekoniecznie właściwej do przyjmowania gości; poznawszy jednak gościa próg przekraczającego, ruchu zaniechał i odezwał się:

— A, toś ty, Bolesławie, prawiem się tego spodziewałem, że mnie dziś odwiedzisz...

Przybyły odparł:

— Ja zaś przewidywałem, żeś nie w czytelnicy lecz w domu...

— Widzisz?.. jakim się dał złapać...

— Baby... ha... Mówiłem ci, bądź ostrożny...

— Il.. pewny jestem, że im ani się śniło o rekla-

mie żadnej... Redakcja je podeszła... One o tem wyobrażenia nie mają...

— Gadaj—odparł Bolesław.

Przypominam sobie okoliczności wszystkie i nie-tylko pań tych posądzać nie mogę, ale, co więcej, redakcyi samej obwiniać nie śmiem... Winowajcą tu głównym, zbieg okoliczności... Byłem proszony oddawna już... Zrobiło się więc złe, bez premedytacyi...

— Być może, cofam więc posądzenie. W artykule tym jednak, coś tam ludzie pomiędzy wierszami upatrują...

— Co? — zawołał młody człowiek, zrywając się i na kanapie siadając.

— Ustępstwa niby, zmięknięcie...

— Czytałeś?..

— Nie...

— Masz!.. o...

Porwał ze stołu pismo o pięknie illustrowanym tytule i podał je gościowi, sam zaś zerwał się i dużemi krokami chodzić począł po pokoju, trzymając się na linii krzywej, odgraniczającej salon od pracowni.

Bolesław w milczeniu przebiegał artykuł oczami.

Podeczas kiedy on czytał, autor artykułu razy parę zatrzymywał się przed zwierciadłem, prostował się, marsa na czole stawiał, przypatrywał się odbiciu postaci własnej i dalej chodził.

Gość czytanie skończył, gospodarz zapytał:

— No... i cóż?..

— Naciągany chybą sposobem dałoby się coś upatrzeć—była odpowiedź zapytanego.

— Takim sposobem, jakim skazaćby można na galeryi posądzonego o kradzież wieży kościelnej..

— Zapewne...

— Otóż widzisz, pisząc ten artykuł, pisałem go umyślnie, przyciskając pióro w tej myśli, że Kwiaty, albo go odrzucą, albo też się same skompromitują...

— Kwiaty się jednak nie skompromitowały, przeciwnie, tobie zaś dostało się potrącenie w bok...

— Boli mnie szczególnie posądzenie o reklamę, wraz z niem bowiem nasuwać się ludziom muszą podejrzenia o honorarium nadzwyczajne...

— To się rozumie—wtrącił Bolesław.

— A niech mnie dyabli porwą, jeżeli za artykuł ten dostał szeląg złamany...

— Dałeś go *gratis*, jako aspirant do kariery literackiej...

— Rzuciłem go, jak... jak...

Chciał powiedzieć „jak jałmużnę“, ale przyrównanie to nie nadawało się w tym razie, a to dla dwóch powodów: raz, że odnosiłoby się do pań, powtóre, że sprzeciwiałoby się przekonaniom autora we względzie jałmużny. Bolesław mu podpowiedział tedy:

— Jak odczepne...

— Jak odczepne — potwierdził młody człowiek. Dałem go *gratis* i nie mam sposobu ogłosić tego *urbi et orbi*... Co się zaś tyczy drugiego posądzenia, ozmieknęcie, o to spokojny jestem... Piszę właśnie do *Skiby* artykuł krytyczny, w którym przekonania moje wypowiem z grubemi nad i kropkami

Przeszedł się jeszcze razy parę po pokoju i usiadł na kanapie.

— Opuszczam ciebie—rzekł gość wstając i kapełusz na głowę wkładając. Bądź dobrej myśli... Czy to takie spotykają ludzi przykrościł. Poprzednikom

przecież naszym inaczej dokuczano. tych nieco dawniej w oleju gotowano, nieco później na ogniu pieczono, dziś zaś, co najwięcej, nogę podstawia i człek koziołka wyróci...

— I zbabra się—dodał gospodarz.

— Jak kto—odrzekł gość z za drzwi już prawie.

— Wolałbym ja—zawołał młody autor sam do siebie, przechodząc z kanapy do biurka—być upieczonym lub ugotowanym, aniżeli zbabranym...

Zapalił lampę, pozamykał okienice i do pisania zasiadł.

Pisał i czytał, czytał i znów pisał. Praca jego długo przeciągnęła się w noc. Niekiedy ręce na głowie splatał, plecami się o poręcz krzesła opierał i oczy zamykał i w pozycyi takiej po minut kilka, po kwadransie pozostawał. Miasto już spało, kiedy on od biurka powstał, lampę na okrągłym stole postawił i w zwierciadło okiem rzucił. I patrzył się na odbicie postaci własnej z takim zajęciem, jakby rozwiązywał zapytanie: Czy to ja, czy tamto ja? Notujemy zajęcie to; przypomnimy je w chwili stosownej.

Patrząc w zwierciadło, zatrzymał wzrok na napisie: *pani E. hr. wtr.* i zawołał:

— Toć wtorek jutro!.. El.. chyba nie pójdę tym razem... Miło tam wprawdzie czas schodzi, ale, w rzeczy samej, człowiek ocierając się o rodzaj niewieści, tępieje jak brzytew gdyby nią bawełnę krajano... Będę tam bywał rzadziej, coraz to rzadziej i w końcu w trąbę baby puszcze...

Popatrzył się jeszcze raz na odbicie postaci swojej, zdmuchnął lampę, świecę zapalił, książki wziął i na spoczynek się udał.

Kto długo w nocy czuwa, ten w młodych zwłaszcza

cza leciech, odsypiać musi swoje rankami. Tak chcą prawa natury, przeciwko którym bunt nie nie pomoże. Autor powieści niniejszej mówi to z doświadczenia osobistego, ku przestrodze rzeszy literackiej, tych zwłaszcza z jej członków, którym chodzi o to, ażeby zawczasie nie połysieli, nie pozielenieli, wzroku i zębów nie postradali i wigoru życiowego się nie pozbyli. Literaci, jeżeli nie chcą na starość zostać wyłącznie maszynami do pisania, powinni by zrobić pomiędzy sobą znowę i zobowiązać się, nie chodzić spać później niż o dziesiątej z wieczora i nie wstawać później niż o piątej rano. Wiktor Hugo przeżył synów dla tego jedynie, że się tej reguły nieodmiennie trzyma. Młodzieniec nasz postępował wbrew onej: siedział przy biurku do trzeciej blisko, za to też nie obudził się aż o dziesiątej. Spał krótko i nie najlepiej, wstał czując ociężenie jakieś, nogi w pantofle wsunął, do pracowni przeszedł i przy biurku usiadł. Przy biurku orzeźwiał zupełnie. Widok rękopisu, który w nocy przygotował, sprawił na nim efekt świeżego porankowego powietrza. Oprzytomniał, otrzeźwiał, odczytał éwiartki zapisane i począł znów pisać i czytać, czytać i znów pisać.

Jest u włościan naszych przysłowie: „Ochota hirsz niewoli“. Przysłowie te literalnie zastosować się da do piśmienniczego fachu. Kto autorem wbrew własnej pozostał woli? Każdy pod sztandar ten zaciągnął się z ochoty i, zaciągnąwszy się w ten sposób, wprzągnął się w jarzmo niewoli, z której mógłby wyjść gdyby zechciał, a nie chce. Bo też niewola ta nie jest bez uroków pewnych. Piszący każdy, taki nawet, co z zadania swego na fabryczny wywiązuje się sposób, jest twórcą do pewnego stopnia,

słabszym lub potężniejszym, lecz zawsze twórcą świata własnego, w którym rozporządzać się może dowolnie. Sprawia to zadowolenie ogromne. Jest się samowładcą, samowładcą rzeczywistym, rządzącym i panującym bezpośrednio, a szanowanym i wielbionym przez poddanych własnych. To ostatnie, co się nie każdemu monarsze przytrafia, jest udziałem każdego bez wyjątku, najlichszego nawet autora. Dla tego też, jak mało monarchów berła składa, tak biorąc rzecz stosunkowo, mniej jeszcze autorów opuszcza niewolę, do opuszczenia której nic im nie przeszkadza.

Dotknąłem jednej tylko strony uroków niewoli autorskiej. Jest tych stron więcej jeszcze. A sława, a wziętość, a poszanowanie ludzkie, a czynienie zadość swemu popędowi do walki, wrodzonemu w każdym człowieku, któremu nikt z łątwością taką jak autor czynić zadość nie może? Ze stolika swego, posyła armie na podbicie świata, pewny zawsze, że dopnie swego. Lada wyrobnik, lada parobek literacki, ma się za potęgę; niepowodzenia nie zrażają go, pisze wciąż, w tem głębokiem a słodkiem przeświadczeniu, że:

— Teraz dopiero, oto teraz co napiszę zdobędzie dla mnie miejsce poczesne w Panteonie...

Są to dla ogromnej autorów większości złudzenia tylko, ale miłe. Złudzeniom tym ulegają młodszy osobliwie.

Nasz autor znajdował się w młodości kwiecie i' tem łątwiej złudzeniom ulegał, że wystąpienie jego na polu literackiem powitanem zostało aplauzem ogólnym. Pozyskał sobie wziętość od razu. Wprost ze szkolnych ławek, przeniósł się za biurko i wyda-

wnictwa, nowości głodne, zasypały go propozycjami. Zaatakowano go ze stron różnych:

— Pisz!.. pisz!..

Specjalność jego stanowiła filozofia, na którą zapatrywał się z punktu widzenia wiedzy rzeczywistej. Z konieczności więc rzeczy, wystąpił jako przeciwnik wiedzy urojonej, nie odrzucając jej absolutnie, ale biorąc ją w znaczeniu wspaniałych, poetycznych, z natchnienia płynących, fantastycznych prolegomenów, naznaczonych piętnem umysłowej wyższości a niezbędnych w prowadzonej przez ludzkosć olbrzymiej pracy szukania prawdy. Czoło chyląc przed wielkimi myślicielami, brał jedną po drugiej hipotezy, na których się oni opierali, i zapytywał o dowody. Ztąd prace jego przybrały kierunek krytyczny i powlekły się pokostem zuchwalstwa, rozbudzając z jednej strony drażliwość, z drugiej gniewy. Styl atoli świeży, jędrny a wytworny, ścisłość rozumowania i śmiałość poglądów jednały mu czytelników, wyglądających, od chwili wystąpienia jego, z upragnieniem artykułów, podpisywanych pseudonimem Ateka.

Sam pseudonim ten budził ciekawość. Jedni brali go za wyraz grecki, drudzy za hebrajski, inni za sanskrycki, ci podejrzewali w nim anagram, owi przypisywali mu znaczenie kabalistyczne. Mylili się jednak wszyscy. Pseudonim ten powstał z połączenia w jedno brzmień trzech liter: A. T. K., figurujących na czele dwóch imion chrzestnych i nazwiska, jakie młody autor nosił. Imiona te i nazwiska brzmiały jak następuje: Adam Tadeusz Kozarski. Oto cała ciekawego pseudonimu zagadka.

Młodzieniec, piszący długo w noc i piszący rano, nazywał się: Adam Tadeusz Kozarski.

Nazwisko to nie jest obcem tym z czytelników łaskawych, którzy czytanie opowiadania naszego od początku rozpoczęli.

Kozarską z domu była p. Marka żona nieboszcza; Kozarskim nazywał p. Andrzej siostrzeńca swego—a nawet, o ile sobie przypominamy, zdradził przed p. Markiem pseudonima tajemnicę.

W domu więc—jak to powiadają—jesteśmy; wiemy z kim do czynienia mamy.

Niech to nas wszakże nie zraża, jak zraziło panią Tulicką, która, słysząc od panienek o nazwisku nowego autora, powzięła była dla niego poszanowanie wielkie i sama nieraz przed gośćmi „tę Atekę“ wysławiała:

— Co to za pisarz! jak on pisze!

Gdy się jednak dowiedziała, „że Ateka owa,“ jest to nie kto inny, jeno rodzeniuteńki p. Andrzeja siostrzeniec, straciła wnet dla niego szacunek wszelki i od tej chwili nigdy się już o nim nie odzywała.

Adam od biurka wstał nie raniej, jak około pierwszej po południu.

Wstał, ramiona do góry podniósł, wyciągnął się — stawy mu z trzaskiem się odezwały — czoło w dłonie ujął i ścisnął i ubierać się począł.

W tem miejscu otwieramy nawiasik, dla uczynienia wzmianki o ubieraniu się młodego autora. W ubieraniu się jego zachodziło coś zbytecznego, coś co przekraczało granice czystości i porządku, nieodzownych tak ze względu na przyzwoitość, jak ze względu na higienę. To coś wszakże nie wkraczało w sferę elegancyi, zabierającej czasu za dużo i znamionującej próżniactwo. Bynajmniej! Nasz Adam głowy nie fryzował, nad wiązaniem krawatki nie namyslał się i paznogci nie szlifował. Ubie-

rał się raźnie i bez namysłu i jedno, cobyśmy mu pod tym względem do zarzucenia mieli, to częste zaglądnienie do zwierciadła.

Ho! była to słabostka—taka jakiej podlegają niekiedy i ludzie najznakomitsi. Sławnym jest czubek nad czołem, pielęgnowany przez lorda Palmerstona. Słabostka Adama odnosiła się do pewnej racyi. Otaczało go przyjaciół i wielbicieli grono nie małe i każdy z grona tego pragnął jego fotografii. Adam fotografował się często, do fotografowania się pozował i z tego zapewne powodu w zwierciadle postać własną studyował. Jest to z naszej strony domysł, zaczerpnięty z potrzeby odnoszenia objawów wszelkich do przyczyn racjonalnych. W tym razie przyczyna nasuwa się sama niejako.

Kończąc ubieranie się, Adam sznurek od dzwonka pociągnął. W chwilę potem pojawiła się w obec niego postać, znana doskonale wszystkim, których los zmusza do zamieszkiwania w kamienicach miejskich. Postać ta wabiła się Grzesiem — imieniem do funkcyi, nie zaś do osoby przywiązanem, do funkcyi, polegającej na posługiwaniu lokatorom. Grześ wszedł z następującemi na ustach wyrazami:

— Aleś pan spał, no! pierwsza oddawna już wybiła.

Rzekłszy to, złożył na stole spory pakiet pism w opaskach i list jeden.

— Czy pan co rozkaże? — zapytał.

— Nie, mój Grzesiu. Za chwilę wyjdę i klucz na dole zostawię.

Grześ odszedł, Adam kopertę rozciął i list roztworzył. Nie miał do czytania dużo. Na ćwiarteczce formatu zwanego angielskim, przyozdobionej w odcisk cyfry E. Z. związanej misternie, widzieć

się dawały trzy tylko wiersze, zdradzające rękę kobiecą a zawierające następujące wyrazy:

„Przypominam wtorek. Proszę przyjść—proszę bardzo. Nie odrzuć pan proźby mojej, dla tego tylko że ją zanosi wielbicielka pańska.“

„*Eulalia Z.*“

Pan Adam odczytawszy to, ramionami wzruszył. Wyjmował następnie pisma z opasek i przerzucał takowe, poczem, kapelusz na głowę włożył, tekę pod pachę wziął, raz ostatni w zwierciadło okiem rzucił i wyszedł.

Reszta dnia upłynęła mu na zajęciach, z których ani jedno nie należało do rodzaju tych, co służą ludziom do zabijania czasu. Posiłał ciało i duszę. Z kamienicy, w której mieszkał, udał się do restauracyi, w której był zaabonowany na skromne obiady, z restauracyi do biblioteki publicznej, gdzie noty brał i wyciągi robił, z biblioteki do czytelnii, gdzie z paru osobami do pomówienia miał, z czytelnii do paru biur redakcyjnych, gdzie korekty poprawiał; z ostatniego z biur wyszedł z Bolesławem, kierując się za miasto, ku parkowi, w którym spotkaliśmy go po raz pierwszy.

Idąc powoli, rozmawiali i wciągu rozmowy, Bolesław zapytanie rzucił:

— Będziesz na wtorku dzisiaj?

— Dostałem zaproszenie.

— I ja dostałem....

— Cóż? idziesz?

— Pójdę—odparł Bolesław. Dawno tam nie byłem i gdybym się dziś, wezwany, nie stawił, miałoby to minę wypowiedzenia wojny gruntowi niby neutralnemu, jakim jest salon pani Eulalii.

— Masz rację—rzucił Adam.

— Więc i ty pójdziesz?

— A pójdę.

Doszli do kiosku, zajęli miejsca przy stole, przy którym zastali paru z towarzystwa wczorajszego, inni przybyli później, słuchali muzyki, pili chłodzące napoje, palili cygara i papierosy, oddychali zamiejskiem powietrzem i spędzali chwil kilka razem na spoczywaniu, zasłużonem przez każdego z nich pracą całodzienną. Nie wszyscy to byli literaci, wszyscy jednak służyli ogółowi, przynosząc mu pożytek, ten piórem, ów cyrkiem, inny radami—grono młodzieży składało się z literatów, inżynierów, budowniczych, prawników, lekarzy i t. d.

Z posiedzenia tego, zanotować winniśmy wypadek, który zgromadzonych rozweselił. Na środek stołu spadł list zapieczętowany, przez kogoś zapewne z przechodzących rzucony. Jeden z młodzieży wziął go do rąk i odczytał głośno adres: „Wiel. Jeg. Pan Ateka, w miejscu.“ Adam rozpieczętował, przeczytał i z uśmiechem siedzącemu obok podał. List obszedł do koła. Młodzi ludzie śmieli się, czyniąc pod adresem Adama dowcipne i mniej dowcipne uwagi, zaczerpnięte z treści, obejmującej pół-trzeciej stronicy, na których autorka—płeć onej zdradzały czasowniki, przymiotniki i zaimki—czyniła młodemu człowiekowi wyznanie miłości. Styl był całę poprawny, omyłki ortograficzne wydarzały się rzadko; pisała zaś, co się treści tyczy, między innymi:

„Nie myśl pan, ażeby mną powodować miało co innego, niż czyste, świetlane uczucie. Jestem młoda, jestem wolna, jestem bogata, jestem—jak mi powiadają—nie brzydka, piękna nawet—ach! i wniebowziętą bym się czuła, gdybym to wszystko roze-

słać mogła tobie pod nogi. Jesteś pan moich uczuć panem," i t. d., w tymże guście.

— Masz więc, Ateko—odezwał się jeden—zagadkę bytu doczesnego, sformułowaną jasno. Rozwiązanie jej sprowadza się tylko do tego: wyszukać piękną nieznaną, z jej fortuną i pod nogi to sobie rozesać.

— Chodzi tylko o wyszukanie—odrzuć inny— a to się przed nim rozściele samo, jak się rozściela ją prawowierni przed powracającym z Mekki muftym.

— Wynalezienie sęk—rzekł trzeci. Gdyby nieznaną podała była w liście swój rysopis, to rzecz by się przez połowę ułatwiła.

— Raczej fotografię—ktoś wtrącił.

— Obwinięta w weksel, jako w dowód fortuny—ktoś dodał.

— Z tem wszystkim—zaczął pierwszy—jest tu wszystko, czego potrzeba do usnucia romansu na wzór i podobieństwo tych, które trubadurów opiewali. Piękna nieznaną pachnie księżniczką w pałacu zaczarowanym.

— Jakaś wekslarzówna, albo piwowarnikówna *dobrze wychowana*—odrzekł Adam, tonem lekceważenia, z naciskiem dwa ostatnie wymawiając wyrazy.

— Fi—odpowiedział na to poprzedni. Wekslarzówny i piwowarnikówny tyle dziś, jeżeli nie więcej warte, co księżniczki. Znalazłby się trubadur w kłopotcie nie małym, gdyby mu przyszło wybrać przedmiot do opiewania.

— Poradziłby sobie, przy pomocy fantazyi.

— Bądź co bądź—odezwał się ten, co najpierw-

szy z rozścielania żartował—rzecz jest ciekawa, co to za piękna nieznajoma.

— Dochodź, jeżeli masz czas—rzekł Adam tonem żartu. Co do mnie, mam coś lepszego do czynienia.

— I ja—odparł ciekawy.

Adam wsunął list w zanadrze, posiedział jeszcze czas jakiś, wstał, obszedł razy parę plac do koła, i udał się wkońcu do pomieszkania swego, w celu przygotowania się na wieczorek.

Tu nowa oczekiwała go niespodzianka. Grześ doręczył mu list, dodając z miną tajemniczą:

— Od paniąki jakiejś, proszę pana

— Feralny dzień — pomyślał sobie Adam. Czy znów co tajemniczego?

Nie była to jednak tajemnica żadna. List pochodził od znajomej, nosił podpis „Kornelia,“ a zawierał co następuje:

„Drzę, a raczej drżemy wszyscy na myśl, że panu może co przeszkodzić do przybycia do nas wieczora dzisiejszego. Nie wyrządźcież nam tej przykrości! Jeżeliby przeszkody jakie zaszły, pousuwajcie takowe! To tak miło, dogodzić bliźniemu! Zróbcież sobie tę satysfakcyę, pomimo przeszkód wszelkich, jakieby ci się zdarzyć mogły, a przekonacie się sami, kochany panie Adamie, jak wielką przyjemność wyrządzą nam wszystkim w ogóle, w szczególności zaś wielbiciele pańskiej.“

Odczytawszy list ten, Adam odezwał się głośno:

— Czego się one tak uwzięły, mieć mnie u siebie dziś koniecznie? Coś w tem jest. Jeśli nie dla czego innego, to dla dogodzenia ciekawości, warto pójść. Zobaczymy.

Popatrzył na zegarek. Do chwili, w której zazwyczaj wieczorki się rozpoczynają, pozostawało

jeszcze godziny półtorej. Młody człowiek zasiadł przy biurku w zamiarze niestrwonienia czasu na próżno; lecz praca się go jakoś nie miała. Położył przed sobą ćwiartkę papieru białego, umaczał pióro i trzymał je nad papierem, aż zaschło, umaczał znów i znów zaschło. Położył więc pióro a wziął książkę. Czytanie mu jednak nie szło. Wysunął przeto jedną z szufladek biurka, wyjął ją całkowicie i przed sobą postawił.

Szufladka ta, więcej aniżeli do połowy zapełniona, stanowiła nie małą w swoim rodzaju ciekawość, będąc świadectwem pewnej towarzystwa naszego własności. Był to zbiór listów, jakie Adam, wciągu niedługiej swojej karyery literackiej, od kobiet otrzymywał, od kobiet wiekowych i młodych, niezamężnych i zamężnych, literatek i nielite-
ratek. Korespondencya ta dowodziła dwóch mianowicie rzeczy: najprzód, świerzbieżki pisania, panującej wśród płci pięknej; powtóre, niepomiarkowania w entuzjazmie, jaki wśród tejże płci wzbudza pojawienie się „nowego sitka na kołeczku.“ Cóż to tam było! Przedewszystkiem, o listach tych to powiedzieć należy, że, gdyby to, co one w sobie zawierały, odezwało się głosem człowieczym, to powstaćby ztąd musiał taki wrzask, iż od takowego nie ogłuchłby chyba tylko głuchoniemy. Tyle tam było wykrzykników. Wykrzyknikom towarzyszyła ilość ogromna znaków zapytania i kropek. Co się tyczy stylu, ten iskrzył się, równie jak i treść, w której ognistość panowała nad poglądami rozumowemi, próbowanemi w każdym niemal liście. Ta wyzywała młodego autora do walki, wzywając go do podniesienia przyłbicy.

— „Wystąp, Ateko—pisała jedna—po rycersku!

Wystąp! Zmierz się zemną, dźwigającą wieków dziewiętnaście na barkach niewieścich! Ja rzeczywistość twoją cieniami otoczę, duchami zastraszę, kośćciami przywalę, prawdami odwiecznymi zabiję! Zmierz się, śmiałku zemną!“ i t. d.

Inna usiłowała do jego trafić przekonania.

— „Zważ! — pisała — dokąd zdążasz? Co masz przed sobą? X!... Nie lepiejże uczynić przedstawienie następujące: iksy wszelkie w tył zepchnąć lub na boki postrzącać, a przed siebie postawić wielkie znajome i ku niemu kroczyć? Nie lepiej-że to, nie pewniej, nie bezpieczniej, znać cel pochodu, aniżeli wyszukiwać go dopiero? Nie lepiej-że to, nie pewniej, nie bezpieczniej, iść gościńcem szerokim, wytkniętym, w drogoskazy zaopatrzonym, aniżeli otwierać go sobie dopiero, zapomocą cyrkla, busso-li, mikroskopu, młotka, skalpela?“ i t. d.

Inna znów uznawała się nawróconą i wołała:

— „Idź śmiało, naprzód! rozświetlaj drogi słowem brylantowem! Dąż ku prawdzie nieznaney za pomocą świadectw sprawdzonych! — ja z tobą!“ i t. d.

Dwa obozy zaatakowały go równocześnie z dwóch stron przeciwnych, i obydwą stały na jednym spólnym gruncie, którym było entuzyastyczne uznanie jego talentu. Jeden występował przeciwko niemu, drugi za nim. W listach, ten ostatni reprezentowanym był daleko liczniej, aniżeli pierwszy. Młodzieniec brał listy jeden po drugim i przebiegał je oczami. Rozweselały go one. Uśmiechał się. Te co od przeciwniczek jego pochodziły, składał na lewo, te których autorkami były jego stroniczki składał na prawo. Znajdował się jednak jeszcze i rodzaj trzeci, listy bezimienne, które także dzieliły się na dwie kategorie powyższe, zawierały w so-

bie jednak coś więcej aniżeli uznanie talentu. Tych znajdowało się nie wiele, pięć tylko. Adam składał je osobno i po przepatrzeniu korespondencyi całej, przekonawszy się, że więcej nie ma, wziął je do ręki, ułożył z nich wachlarz w sposób, w jaki gracz trzyma karty przy wiście lub preferansie, dołożył do nich ten, który w parku otrzymał, i począł porównywać. Porównywał najprzód daty: te obejmowały lat dwa i pół—był jeszcze studentem kiedy otrzymał najpierwszą do serca jego zwróconą odezwę, pisaną ręką wprawną i pewną. Następna wypadła w tym jakoś czasie, kiedy pisma publiczne ogłosiły listę młodzieży, opuszczającej uniwersytet i odznaczającej się nagrodami, w liczbie której i on się znajdował. Inne przyszły później. Wszystkie pochodziły od nieznanomych, były więc brzemienne zagadkami, zdolnemi fantastę w siódme niebo pchnąć. Istna napaść sentymentów, podawanych za uczucia siostrzane, czyste, kryształowe, dyamentowe, osłonięne białem skrzydłem anioła, a oblane świetlanym blaskiem miłości. Adam uśmiechał się, odczytując frazesy niektóre. Nie o to mu jednak chodziło. Chciał z porównania pism dojść, czy nie znajduje się też listów dwa lub więcej jedną pisanych ręką. Charakter pisma ostatniego przypominał mu jedną z korespondentek dawniejszych—porównywał. Napróżno jednak. Pismo wszakże nie było mu obce—i im się bardziej onemu przypatrywał, tem mocniejszego nabierał przekonania, że ogląda je nie po raz pierwszy. Bawiło go to i—powiedzieć należy—pochlebiało mu, łechcąc miłość własną, a raczej, próżność, która, jak się zdaje, stanowiła słabą stronę jego rozwijającego się i formującego charakteru.

Na zajęciu tem upłynęło czasu sporo. Chwila udania się na wieczorek nudeszła i minęła. Spostrzegłszy to, Adam zerwał się, listy do szufladki wrzucił i pośpiesznie ubierać się począł.

IX.

Salon pani Eulalii przystrojony odświeżnie, zapełniał tłum gości.

Salon ten, pod tą nazwą ogólną, obejmował trzy duże pokoje w jednym szeregu, komunikujące się pomiędzy sobą za pomocą drzwi szerokich i z pokoiów tych, środkowy jeno, mieszczący pomiędzy meblami dwa fortepiany, jeden z ogonem, drugi bez takowego, a oba Erardy—nosił nazwę salonu, z dwóch zaś skrajnych, ten co się znajdował na prawo nazywał się salką, ten, co na lewo, mianowany był panteonikiem. Nazwy te nadał im jeden z gości i przylgnęły one niejako do tych komnat gościnnych. Salka zmieniała się niekiedy na scenę, na której występowali amatorowie i amatorki w sztukach, bądź znanych, bądź też umyślnie dla salki pani Eulalii pisanych. Panteonik zwał się tak od tego, iż ściany onego zapełniały wizerunki wielkich mężów, zmarłych i żyjących, zwłaszcza zaś takich, co narodowi służyli piórem, uczonych, poetów, pisarzy, którym przypatrywać się było można z ustawionego na środku krągłego dywanu, wygodnie wymateracowanego i osłoniętego konarami dużej drzewiny laurowej, wystrzeliwującej z obwodu poręczowego. Umeblowanie w ogóle znamionowało dostatek gustem okraszony. Zbytku ani śladu, wystawności, ekspozycyi ani cienia, pomimo że małżonek pani Eulalii, szczęśliwy dorobkiewicz, stojący na czele domu ban-

kowego, który rozległe prowadził interesa, należał do tego ludzi rodzaju, co to siebie wielbi w przepychu i rozkoszuje się w wykrzykach podziwu, wydzierającego się ludziom na widok milionów, wydanych na ramy do obrazów i na ugarniowanie kominika. Pan Z. wydział ten zdał całkowicie na żonę, ta zaś potrafiła trzymać się w granicach gustu dobrego, którym powodując się, uniknęła zarazem i braku i zbytku. Gust dobry panował w domu całym, w tych nawet salonach, w których bankier przyjmował spółników i współzawodników, w obec których przepych miał znaczenie reklamy handlowej, szyldu na sklepie.

Państwo Z. trzymali dom otwarty, ale dom ten dzielił się na dwa państwa: państwo pana i państwo pani. Pierwsze tkwiło w świecie finansowym, drugie w artystycznym i literackim. W pierwszym pani występowała w rodzaju prezydentki honorowej, nie zobowiązanej do niczego innego, jak tylko do rozdawania uśmiechów łaskawych ludziom, którzy bezpiecznie mogliby głowy swoje człowiecze, w jakie ich natura zaopatrzyła, zamienić na cielece i niktby się na zamianie tej nie spostrzegł. Do drugiego pan nie zaglądał nigdy, nie wiedział o nim nic, świat ów nie istniał dla niego: w nim pani prezydowała rzeczywiście, mając asystencyę w tym względzie w córce, pannie Kornelii, posiadającej talenta rozliczne, wymagające nastroju poetycznego. Panna Kornelia grała, śpiewała, produkowała się na teatrach amatorskich, rysowała, układała sztuki dramatyczne, pisywała nowelle, tworzyła wiersze i protegowała systemata filozoficzne. Pani posiadała talenta te same. Matka i córka stanowiły rodzaj spółki współpracowniczej, której produkta szły

wyłącznie na użytek salonowy. Po za salonem znano je jeno jako echa, wałęsające się po świecie.

Pomiędzy panią Eulalią a panna Kornelią zachodziła różnica wieku, wynosząca lat szesnaście przynajmniej. Różnica ta atoli spostrzegać się nie dawała. Matka wyglądała na siostrę starszą, córka na młodszą—blondynki obie, słuszne obie, przystojne obie—jedna trochę bardziej przywidła aniżeli druga.

To, że produkuje ich talentów nie przekraczały granic salonowych, zapewniało im wyższość ogromną. Nie wystawiały się na porównanie, a oklaski jakie zyskiwały, pozostawały własnością ich bezpodzielną: uchodziły przez to za bezwzględnie wyższe pod względem dowcipu i rozumu. Dwór ich stanowiła przeważnie literacka brać, zgromadzająca się w każdym tygodniu raz i przez zgromadzenie się to ciągnąca ku nim, w tym mniej więcej stosunku, w jakim planety ciągną ku słońcu. Każdy, co pisał i drukowanym był, miał do nich wstęp otwarty i byłby mile powitany, gdyby bez preliminaryów żadnych przyszedł i nazwał się:

— Jestem ten a ten, utwór mój, liczący wierszy piętnaście, drukowany był w piśmie tem a tem...

Rekomendacya taka była wystarczającą. Dla zadośćuczynienia jednak wymogom światowym, przypuszczenie do zgromadzeń wtorkowych członka nowego podlegało formalności wprowadzenia przez jednego ze starych, dokonywanej najczęściej na żądanie aspiranta, niekiedy jednak w skutek życzenia wyrażonego przez panią Eulalię. To ostatnie zdarzało się bardzo rzadko. Członkowie zgłaszali się pospolicie sami, a to dla powodów wielu, pomiędzy którymi dwa mianowicie wywierały siłę atrakcyj-

na: przyjemność rzeczywista, jaką sprawiał wieczór spędzony wśród rozrywek, jakich dostarczały dobra muzyka, dobry śpiew, deklamacye, odczyty i gawędki i rzeczywista przyjemność, jakiej doznawali ci mianowicie, co stali pod sztandarem głodu literackiego. Ci ostatni znajdowali przyjemność niewysłowioną, wychodzili bowiem zrekonfortowani na tydzień cały. Herbata pani Eulalii nie była herbatką z wody lekko zafarbowanej, podawanej w towarzystwie pokazywanych zdaleka butterszniczków lub suchareczków. Przechodziło się na takową do salonu jadalnego i zasiadało do stołu, jak, nieprzymierzając, *table d'hôte*. Półmiski obnoszono, a podawano niezmiennie dwa mięsa, jedno stanowiące *pièce de résistance*, bifszyk soczysty, poledwicę, rostbif lub kotlety, drugie, dodatkowe niby, dziczyznę, drób lub cielecinę. Przy każdym z gości stała filiżanka spora, napełniana herbatą prawdziwą, którą pił kto chciał; kto zaś wolał wino, mógł gustowi dogodzić, potrzebował jeno ręką sięgnąć po stojącą przed nim butelkę Bordeaux albo burgunda. Oprócz tego do zastawy nastolnej należały szynki różne, ozory, rulady, ciasta i owoce. Nie podjadał sobie ten jeno, kto nie chciał, a raczej kto się opierał nagabywaniom lokai, którzy w skutek snadź rozkazów z góry, pilnowali tych szczególnie, co prędko z talerzy zmiatali, i powracali z półmiskami po dwa i po trzy razy, zapytując uprzejmie:

— Pozwoli pan jeszcze?.. proszę pana.. niech pan będzie łaskaw...

Trudno się oprzeć było. Głodni wstawali od stołu sytymi i w dobrym humorze, a jaki taki unosił ze sobą w kieszeni pamiątkę, pod postacią udka pulardy, skrzydełka kuropatwy lub bifszyku całego

w gazetę, albo też w przyniesiony do odczytania rękopis zawiniętego.

Dla braci literackiej stał dom pani Eulalii otworem, ale li tylko we wtorki około dziesiątej wieczorem. W inne dni tygodnia, w domu jej nie było, chyba, iż kogo zaprosiła na jakąś godzinę naznaczoną i w jakimś specjalnym interesie.

Goście wtorkowi — o tem zaledwie wzmiankować warto — składali się z przedstawicieli płci obojej, podzielonej w stosunku pięciu do jednego. Na pięciu literatów przypadała jedna literatka. W liczbie tych ostatnich zanotujemy panią Idealję Y., kobiecinę wcale już nie młodą, rumianą, przysadkowatą, pisującą z wielką łatwością wierszem i prozą i z równą łatwością rozmowy prowadzącą. Pani Idealja była entuzyastką we względzie frazesów kilku, z których ułożyła sobie rodzaj *credo* i w takowe wierzyła całą iście młodzieńczą ducha potęgą. Nie sposób jej było wyperswadować, że niejeden z jej artykułów wiary jest nie czem innem, jeno figurą retoryczną, hyperbolą. W hyperbolach upatrywała fundamenta i wysoki trzymała sztandar, na którym wielkimi głoskami napisała dewizę: „Łam, czego rozum nie złamie!“ . Łamała też — łomotała — zgadzając się zresztą na wszystko i uznając wszystkie postulata przez postęp stawiane. Lubiała młodzież zdolną, rada się nią otaczała i na wtorkowych u pani Eulalii posiedzeniach odegrywała taką samą rolę, jak sól w potrawach. Przypisywała sobie przytem zdolność odkrywania talentów, wywoływania takowych, tworzenia nawet. Pretensyi tej — niech jej Bóg nie pamięta! Dzięki jej, pomnożył się znacznie proletaryat literacki, w przednich zaś szeregach przybyło kilku kwaśnych apostołów, trudniących się z nie-

małą czytelników i literatury krzywdą, łamaniem tego „czego rozum nie złamie“. Takich bowiem zwłaszcza, babina forytowała.

Ona to odkryła Adama i była pierwszą pobudką ściągnięcia go na salony pani Eulalii. Działo to się na półtora jakoś roku przed momentem, do którego odnosi się powieści niniejszej rozdział poprzedni. Pani Idealia wpadła jak bomba do salonu, trzymając w ręku jedno z pism czasowych i wołając głośno:

— Pani Eulalio! panno Kornelio! panie i panowie!.. odkrycie!.. talent!.. ogromny, olbrzymi talent!.. Ateka!.. Zkąd on się wziął?.. co on za jeden? czy to on, czy ona? Słuchajcie!

Zaimprovizowała lekturę, nie całego atoli opracowania, ale okresów jeno niektórych, przez nią ółówkiem czerwonym zakreślonych.

— Co to za wdzięk! co to za siła! Panie i panowie, proponuję: spólnemi siłami zarządzić poszukiwania i wynaleść tę mgłąmi olimpijskiemi otoczoną istotę...

— Najłatwiej — ktoś się odezwał — do redakcyi się zgłosić i za jej pośrednictwem...

— Ba! — przerwała. Użyłam już sposobu tego... Redakcyja o niczem nie wie...

— Albo powiedzieć nie chce.

— Być może, nie przypuszczam jednak, zaklinałam bowiem redaktora na świętości wszystkie.

— I na liczbę prenumeratorów? — ktoś zapytał.

— A! — rzuciła się. Byłoby to niegodnem! Zapewniał mnie najuroczyściej, że otrzymał rękopism w kopercie i że przy takowym nie było nic, coby osobistość autora zdradzało, ani listu, ani karteczki. Rękopism przyszedł przed miesiącami kilku

i spoczywał pomiędzy utworami przeznaczonemi do ogłoszenia w razie posuchy redakcyjnej... Nie uderzył zrazu, nie czytano go nawet, zwłaszcza że pismo niewyraźne.

— Widziała pani rękopis? — zapytała panna Kornelia.

— Widziałam, porznięty i poznaczony przez zecerów. Redaktor zachował go sobie, ażeby poznać autora, gdyby się kiedy zgłosił jeszcze. Panie panowie! szukajcie... znajdziecie.

Tajemnica utrzymywała się dosyć długo, że jednak, z jednej strony, znaną była kolegom Adama, z drugiej nie miała racyi istotnej, pani Idealia przeto mogła, w kilka tygodni później wpaść na wieczór wtorkowy z okrzykiem:

— Eureka!.. Wiem już, kto to Ateka! Nazywa się Adam Tadeusz Kozarski, mieszka (wymieniła ulicę i numer domu). Spodziewam się, że pani nie zaniecha zwabić go do grona naszego! Jestto człowiek młody, potrzebuje poparcia, zachęty, ostrogi kierunku, opieki, życzliwego słowa, przyjacielskiej rady i wielu innych rzeczy.

Inwitacya formalna sprowadziła wkrótce potem młodego autora na posadki pani Eulalii. Nie spieszył się jednak, zwlekając nie dla tego, ażeby się drożyć miał z osobą swoją, lecz dla innych powodów. Nie posiadał odzieży odpowiedniej. Musiał się pierwej ogarnąć od stóp do głowy — od butów do krawatki—i dopiero wystąpił na salonach przedstawiony gospodyni domu przez panią Idealę, która też nazywała go „swoim wynalazkiem.“

Wystąpienie Adama nie sprawiło wrażenia nadzwyczajnego, a byłoby sprawiło fatalne, gdyby na wtorkach zachodziły wymagalności etykietałne wiel-

kie. Te jednak, zastosowane do rodzaju gości dawały swobody dużo, i dzięki tej swobodzie nasz Adam przebył szczęśliwie chwile nowicyatu, które poprzedziły oswojenie się zupełne ze zwyczajami domu. Pomagały mu wielce, uprzejmość pani i ton familiarności, jaki panował, na wieczorach. Do oswojenia się przyczyniła się też niemało i dystynkcyja, z jaką go przyjmowano. Uczuwał się niejako uprzywilejowanym—uprzywilejowanie zaś, bądź co bądź, sprawia ludziom przyjemność i ułatwia im znacznie egzystencyę. W tym razie chodziło o egzystencyę salonową, łatwą samą przez się i wymagającą tylko nieco rozgarnięcia i trochę uwagi.

Znamy już rozkład salonów, znamy i nazwy onych, powiedzieć jednak musimy, że co się tych ostatnich tyczy, zachodziła waryacya pewna, wprowadzona przez autora kronik niedzielnych jednej z gazet miejscowych, dowcipnego *ex-officio*. Ten, stosując się do wyrazu „bawialny“ i do wtorkowego sposobu spędzania czasu, salon środkowy nazwał „pokojem gadalnym“ salkę „pokojem szeptalnym“ a panteonik „pokojem dumalnym“. W pierwszym toczono rozmowy ogólne, w drugim odbywały się konferecye osobnikowe, w trzecim, trzymanym zawsze w półcieniu, oddawano się rozmyślaniom, tak dla literatów potrzebnym. Tam zazwyczaj, chronili się ci, którym bardziej chodziło o herbatę, niż o co innego.

Jakież było zdziwienie tych ostatnich, gdy przyszli i znaleźli drzwi od pokoju szeptalnego otwarte, a od dumalnego zamknięte!

Wypadek ten miał miejsce w dniu owym, kiedy Adam otrzymał zaprosiny podwójne; rano od pani Eulalii, a wieczorem od panny Korneli.

— Co to znaczy?—było zapytanie ogólne.

Pani Idealia, która o wszystkim wiedziała, zdawało się, że wiedziała także i o powodzie wzbronienia gościom przystępu do panteoniku. Na zapytania jednak odpowiadała mruganiem i ramion ścisłaniem, co oznaczać mogło, że i wie i nie wie.

Przystrojenie salonów naprowadzało na myśl uroczystość jakąś. Domyślano się czegoś. Ci, co bawczym obdarzeni byli umysłem, zastanawiali się nad datą, usiłując przypomnieć sobie, azali nie jest ona rocznicą jakąś, w dziejach sztuki, poezyi lub literatury pamiętną.

Koniec końcem, zachodziła tajemnica.

Pani nie nie mówiła i panna nie nie mówiła.

Goście wietrzyli siurpryzę.

Pani E. zachowywała spokój jak najzupełniejszy, panna Kornelia toż samo. Przyjmowały powitania przychodzących i prowadziły rozmowy ze swobodą całą — wszelako, obserwator uważny dostrzedzby mógł w oczach ich oznaki niepokoju pewnego, wzrastającego w miarę jak wieczorek posuwał się naprzód. Spoglądały na drzwi i każda postać nowa wywoływała im na oblicza wyraz nadziei zawiedzionej. Spoglądały niekiedy jedna na drugą jak lekko ramionami wzruszały.

Pani Idealia zawiązała rozmowę interesującą, otwierającą pole popisów zarówno dla erudycji i dla dowcipu. Rzuciła zapytanie:

— Dla czego wszystkie cnoty, wszystkie zalety i wszystkie potęgi moralne przedstawiane są pod postacią niewieścia? Czemu mianowicie do spersonifikowania wojny, która wyłącznie do mężczyzn należy, nie wzięto postaci męskiej lecz niewieścia?

— Dla tego, że wojna jest owocem kłótni — ktoś rzucił.

Z tego założenia, pół dowcipnie, pół rozumowo, rozwinęła się pół-dyskussya, żywa i zajmująca, wywołująca raz śmiech, znów oklaski.

Podano do herbaty. Towarzystwo parami weszło do sali jadalnej. Panna Kornela szukała kogoś w tłumie oczami, znalazła Bolesława i rękę mu pod ramię wsunęła.

— Co się dzieje z panem Adamem? — półgłosem rzekła.

— Pani... nie wiem—odparł zapytany.

— Nie widział go pan dziś?

— Widziałem.

— Nie wspominał panu nic o wtorku dzisiejszym?

— Wspominał.

— Mówił, że przyjdzie, czy że nie przyjdzie?

— Ani to, ani owo—odrzekł Bolesław, chcąc zapewne odpowiedzią tą ulżyć przyjacielowi ciężaru odpowiedzialności, jeżeliby jaka zachodziła.

— Panowie miewacie zwyczaj, do domu niekiedy nie zaglądać przez godzin dwadzieścia cztery. Może wypadek ten, dziś właśnie, przytrafił się panu Adamowi.

— Może—odparł Bolesław ramionami ściskając. Widziałem się z nim nie w domu jego. Przyszedł do redakcyi naszej, wyszliśmy razem i udaliśmy się do parku, gdzie....

Bolesław urwał. Przeprowadził damę swoją do sali jadalnej. Zajmowano miejsca przy stole.

— Gdzie co?—zapytała panna, ramię jego przytrzymując.

— Spotkała go awantura, na poły zabawna, na poły romansowa.

— Tajemnicza?

— Tajemnicza...

— Ale nie skandaliczna?

— Bynajmniej, przeciwnie: gołębio-naiwna.

— A! Siądźmy razem, opowiesz mi pan to.

— I owszem.

Zajęli przy stole miejsca obok siebie i Bolesław opowiedział o liście podrzuconym, powtarzając wkrótkości treść onego.

Panna Kornela, wysłuchawszy z uwagą, odrzekła w rodzaju sentencji:

— Ciekawe to są rzeczy w dziewiętnastym wieku. Może więc, ów list tajemniczy w następstwa się rozwinął i pan Adam, w tej chwili, zamiast nudzić się z nami, spędza słodkie chwile na rozkosznym gruchaniu.

— Nic nie umiem na przypuszczenie pani odpowiedzieć.

— Odpowiedz pan, że jest prawdopodobnem.

— Nie wiem. Wiem tylko, że Adam nie zna wcale autorki listu.

— Ale autorka zna pana Adama. Nie można więc przypuszczać, iż spotkała go przy wyjściu z parku, pod ramię go wzięła, do karety obok siebie zaprosiła i uwiozła; pozbawiając nas nietylko jego towarzystwa, ale oraz i....

Coś powiedzieć chciała, wstrzymała się jednak.

Bolesław nie dopytywał się, raz przez grzeczność, powtóre dla tego, że nie umiał bronić Adama, który, nie przybywając na wieczór, po otrzymaniu zaproszenia wyraźnego, i nie przysyłając ekskuzy żadnej, popełnił ciężkie we względzie konwenansów światowych uchybienie.

Naprzeciwko siedział redaktor Kwiatów, postać, której snadź w kolebce wróżka przepowiedziała, że

redaktorem będzie, krótka, krągłuchna, słodziutko uśmiechnięta. Ten, jakby na przekór, o Adama zapytał:

— Gdzież to się nam Ateka zapodział?

— Gardzi nami—odrzekła panna Kornela. My się jednak na nim zemścimy, srodze zemścimy... rzucimy sobie od nas do niego most z pokory i po moście tym sprowadzimy go kiedyś.

— Pokora niebiosa przebija —zauważył redaktor tonem dowcipu.

— Przebije też i pana Adama serce, pewna tego jestem.

Zaledwie słowa te wymówiła, aliści postać Adama zjawiła się, jakby z pod podłogi, dotknięciem różdżki czarodziejskiej wywołana.

Z ust panny Korneli wydarł się radośny pół-okrzyk:

— A!...

Pani Eulalia podała młodemu człowiekowi dłoń do uściśnienia i powiedziała mu z naciskiem serdecznym:

— Dziękuję. Zaczynaliśmy już nadzieję tracić... Czemuż tak późno?

— Grzebałem się w dokumentach, mających wartość nadzwyczajnie względną.

— Siadaj-że pan.

Adam zajął miejsce obok gospodyni domu i, odpowiadawszy lokajowi podziękowaniem na podanie sobie półmiska, zwrócił się do pani Eulalii.

— Przepraszam — rzekł — za spóźnienie z mojej strony mimowolne.

— Coś pan budujesz.

— Gdzież tam!

— Grzebiesz się w dokumentach.

— Tak, nie idzie jednak jeszcze zatem, ażebym dokumenta owe brał w znaczeniu materyału budulcowego.

— Czegóż się one tyczą, jeżeli zapytać wolno?

— Zapytać wolno, ale niech mi pani pozwoli zapytanie jej bez odpowiedzi pozostawić, z powodów odnoszących się wprost do osoby mojej.

— Szanuję tajemnice—odrzekła p. Eulalia, okraszając usta uprzejmym acz dwóznaczny uśmiechem—autorskie nawet, a to tem bardziej, że będę potrzebowała pobłażliwości ze strony pańskiej.

— Pani możesz być pani takowej z góry pewną.

— Niekoniecznie. Czuję się obarczoną względem pana winami.

— A to?—zapytał młody człowiek.

— Czuję się obarczoną winami strasznymi.

— Pani mnie przerażasz. Nie wiem o niczem.

— No no—rzekła pani. Pan wiesz. Dowód zaś, że ja się do win poczuwam, ten, że nie liczyła nie tylko na to, ażebyś pan na dzisiejszy przyszedł wtorek, ale i na to ażeby przyszedł który z przyjaciół pańskich. Dla tego to rozesłałam do panów zaproszenia specjalne a nalegające.

— Poczucie się do winy, a wina sama, są to dwie rzeczy różne.

— Cóż tam mamy—podchwyciła pani—w insynuacye się bawić. Na prośbę moją napisał pan artykuł do Kwiatów. Owoż artykuł ten przeraził mnie. Cięży on na sumieniu mojem, niby zły uczynek, pomimo że rozum zapewnia mnie, iż jest to uczynek dobry. Sumienie pozostaje w kłótni z rozumem.

— Hm — uśmiechnął się Adam. Gdybym panią

traktował tak jak, słyszałem, traktują się kobiety po salonach, odpowiedziałbym na to komplementem.

— Jakim naprzykład?

— Prosiłbym ażeby pani sumienie rozumowi poddała.... i dogodziłbym przez to i pani i sobie. Dla pani byłby to komplement, dla mnie zaś byłoby to postawieniem się w zgodzie z przekonaniem, jakie wyznaję.

— Biorąc zaś rzecz inaczej?

— Zanalizowaćbym musiał rozum.

— I znalazłbyś pan, że popełniła niedorzeczność.

— Nie wiem, co bym znalazł; znajduję tylko, żeś pani postawiła kwestyę bardzo zwięźle.

— Nie masz pan jednak do mnie żalu?

— Za co?

— Za to, że pana na ofiarę wyciągnęła.

— Ach! — zachnął się młodzieniec. Ja ofiar nie rozumiem. Popełniłem rzecz godziwą lub niegodziwą, słuszną lub niesłuszną, pożyteczną lub niepożyteczną, rozumną lub niedorzeczną, spełniłem obowiązek lub występki, ale nie ofiarę żadną.

— Owoż—podchwyciła pani—dokonałeś pan rzeczy godziwej, słusznej, pożytecznej, rozumnej, i obowiązkowej.

— Ja trochę o tem wątpię—rzekł Adam, akcentując wyrazy. Ale, stało się. Pan Grocik—było to nazwisko redaktora Kwiatów—patrzy na nas, i założyłbym się, iż odgaduje, że o artykule mówimy.

— Mówmy więc o czem innem.... Pan nic nie je, ani pije.

Adam nabrał sobie szynki na talerz i począł talkową krajać.

Pani Eulalia zajęła się rozmową z sąsiadem, siedzącym obok niej po stronie przeciwnej.

W innej części stołu pogadanka ogniskowała się około pani Idealii, która poblizkim swoim do zrozumienia dawała, że po herbacie czeka ich siurpryza.

— Nie powiem jaka— mówiła. Powiem tylko, że pomysł wyszedł odemnie, jest mojem dziełem, mającym na celu dodanie bodźca pracy umysłowej.... Myśl to moja... Pani Eulalia pojęła ją, przejęła się nią i urządziła rzecz, jak nie można lepiej... Przed herbatą zachodziła obawa, ażeby wszystko nie spełzło na niczem... Obawa ta jednak przeminęła, przeszkoda najważniejsza usuniętą została, a raczej, usunęła się sama....

Herbata się zakończyła. Pani Eulalia dała hasło wstawania od stołu, literaci z miejsc swoich powstali, ona zaś podawszy rękę Adamowi, otworzyła pochód z sali jadalnej do pokoju gadalnym zwanego. Za nią szła pani Idealia z panem Grocikiem, dalej par pięć czy sześć różnopłciowych i panna Kornelia z Bolesławem, dalej znów par kilka i w końcu mężczyźni sami.

Adam, przyszedłszy późno, nie wiedział nic zgoda, ani o przystrojeniu salonów, ani o zamknięciu drzwi od panteoniku, ani o spodziewaniu siurpryzy jakiegś. Zdziwił się też niepomalu, ujrawszy blask niezwykły w stronie, w której zwyczajnie półcień panował.

Pani Eulalia prowadziła go w milczeniu, prowadziła przez salon środkowy, ku otwartym na ścieżaj drzwiom pokoju dumalnego, z którego biło światło wielkie. Adam zmarszczył brwi i przypatrywał się. Pani prowadziła go dalej. Weszli do panteoniku

oblanego blaskiem, uwydatniającym portrety na ścianach zawieszone. Wielka płomyków ilość otaczała mianowicie portret jeden, ustrojony w wieniec laurowy i przyozdobiony z góry w fontaż ze wstążek. Przed portretem tym pani Eulalia zatrzymała się z Adamem.

Adam niczego się jeszcze nie domyślał. Patrzył, widział i nie poznawał siebie samego, wymalowanego olejnymi farbami w połowie wielkości naturalnej, trafionego doskonale i umieszczonego w ramach złoconych kształtu półowalnego.

Patrzył, widział i nie poznawał siebie samego.

Goście schodzili się i kupili do koła pierwszej pary, zostawiając ją przed portretem.

Adam wciąż jeszcze nie wiedział o co chodzi, pomimo, że czuć zaczynał, iż jest osobą swoją na sztych niby wystawiony i byłby się w tłum wciśnął, gdyby go pani Eulalia pod ramię nie trzymała.

Aż wysunęła się naprzód panna Kornela. Pod ścianą stały schodki przenośne. Ona na schodki te w tąpiła i, podnosząc ramię prawe a ukazując ręką na Adama, deklamować poczęła.

Powiadają, że było to improwizacya. To być może. Rzecz w tem, że Adam od pierwszych przez nią wygłoszonych wyrazów, poznał nietylko, że portret w wieniec przystrojony jest portretem jego, ale oraz, że jest przedmiotem owacyi.

Zrobiło mu się zimno najprzód, potem gorąco, spuścił głowę i w milczeniu słuchał akordów poetycznych, spadających mu na głowę niby ognista fontanna. Strofa szła po strofie, niby hufiec po hufcu. Jedna lot orli rozwijała, druga iskrą geniuszu podpalona gorzała, trzecia o palcu bożym mó-

wiła; w konkluzji był zwrot, w którym, w kunsztownej oprawie rytmu, uwydatniły się wyrazy: „Adamie ty bożykmięciu“, zastosowane do młodego autora.

Podczas kiedy panna Kornelia mówiła, z pośródka skupionego grona gości słyszeć się dawały pojedyncze okrzyki:

— A!.. świetnie!... doskonale!.. brawo!..

Gdy skończyła, posypały się oklaski i powinszowania, składane zarówno autorce improwizacyi, jakoteż przedmiotowi owacyi.

Pani Eulalia uściśnęła Adama za dłoń i rzekła mu wzruszenia pełnym głosem:

— Przepraszam...

Panna Kornelia zszedłszy ze schodków uczyniła to samo.

Adam był wzruszony. Bąkał wyrazy podziękowania, których nie umiał w szyku gramatycznym utrzymać.

— Cicho!.. ts... rozległy się w tłumie sykania.

Na schodkach pojawiła się pani Idealia i zaczęła:

— Po jutrzni dzień, po poezji proza!.. Poezya to jutrznia, rzucająca te brzaski, przed którymi pierzchają ciemności nocy, świta ona u zarania narodów rozwidnia pierwsze pochodni ich kroki... Proza powstaje w blasku słonecznym i sama jest słońcem, szerzącym światło i ciepło, w których narody dojrzewają...

Egzorda ta posłużyła jej za punkt wychodni do mówki, utoczonyj bardzo dobrze i wygłoszonej dźwięcznie i z czuciem. Zwrot do Adama opierał się na porównaniu prozy do słońca i zawierał w sobie żądanie, ażeby prace jego tak świeciły wszystkim bez wyjątku, jak gwiazda dzienna wszystkim przyświeca. Było to i żądanie i krytyka, dotykają-

ca sposobem alluzji wyłączności przekonań, a przepowiadająca młodemu autorowi miejsce poczesne w panteonie sławy.

— Tu panteonik—były słowa mówczyni, poparte giestem odpowiednim—a za obrębem tym panteon... Ztąd, Adamie, droga dla ciebie tam. Nie przesądzając przyszłości, uczciliśmy twój talent młody, który na horyzoncie naszym pojawił się i tkwi na kształt świetnej obietnicy. Oczekujemy na ziszczenie takowej, oczekujemy wszyscy, starzy i młodzi, mężowie i niewiasty, konserwatywni i postępowi, idealisci i pozytywiści... wszyscy, bez różnicy, bez wyjątku... oczekujemy!.. Niech to—tu pokazała na portret—będzie dla ciebie podnieta, bodźcem i skazówką... To jeszcze nic; to jeno zadatek, pochodzący od przyjaciół twoich, pragnących gorąco, ażebyś szedł naprzód, zawsze naprzód, coraz to wyżej i zajął w końcu miejsce wiecowe wśród tych, których wizerunki zdobią ściany skromnego przybytku tego. Idź-że, młodzieńcze, w drogę, którą dla ciebie świetny talent twój wytyka i... niech cię pan Bóg prowadzi!..

Wyrazy ostatnie z przyciskiem i pomazaniem wygłoszone, wywołały burzę oklasków.

Adam czuł się niejako w sieci pojmanym, spokorniał, wstyd mu niby było, rozumiał, iż wypadałoby coś odpowiedzieć, a nie był w stanie myśli jednej porządnie w głowie uszykować: więc tylko dziękował - dziękował pani Eulalii, dziękował panie Korneli, dziękował pani Idealii, dziękował każdemu i każdej z osobna, ale do podziękowania wszem w obec sił nie miał. Nie dziw. W razach podobnych uprzedzają solenizantów i ci układają sobie zawczasu odpowiedzi... improwizowane. On

nie wiedział o niczem, ani się domyślał niczego. A przytem wzruszył się głęboko i czuł, w rzeczy samej, w duszy tę wdzięczność, co to słów znaleźć nie umie. Z ochotą by do piersi panią Eulalię, pannę Kornelię i panią Idealię przycisnął, ale... przyzwyczajenie nie pozwalała. Myślał więc tylko, że im się wywdzięczy kiedyś—jak?—nie wiedział.

Goście oczekiwali przez chwilę na odpowiedź Adama, poznawszy atoli, że nic z tego nie będzie, krążyć zaczęli po salonach, grupując się po osób dwie, trzy i więcej. Z grupp jedna, z młodzieży złożona, cofnęła się do pokoju szpitalnego i tam konwersacyjką się zabawiała.

— A no—powiadał jeden—złapany?..

— Ha! — odrzekł drugi, ramionami ściskając. W tem wszystkiem nie upatruję nic, coby na nagane zasługiwać miało... Przeciwnie... Znajduję całkiem na miejscu swoim, ten hołd talentowi, hołd nie obowiązujący do niczego...

— Do niczego!—rzucił jeden z ironicznym naciśnięciem.

— Ja — odparł drugi — pokładam ufność nieograniczoną w hartowności ducha Adama... Zresztą nie zapominajmy o tem, że to — tu o podłogę nogą lekko stuknął—grunt neutralny... Owacya odnosi się nie do czego innego, jeno do talentu, wyłącznie i specyjalnie do talentu...

— Toś—podchwycił inny—nie zważał niby na alluzyjkę misternie odcieniowaną w mowie pani Idealii...

— Zważałem... ale cóż to?.. zdanie indywidualne...

— A ja przecież—odezwał się poprzedni—zannotowuję sobie w pamięci wieczór dzisiejszy i od nie-

go zaczynam żałować Adama... Obyż przynajmniej talent jego ocalał...

— Amen—zakonkludował pierwszy.

Adam wyszedł z panteoniku z panną Kornelią pod ramię. Szli powoli i rozmawiali.

— Daj nam Boże—były słowa panny—jaknajczęściej uroczystości podobnych... Niestety! talenta prawdziwe tak rzadko pojawiają się obecnie...

— Nic o tem mówić nie mogę—odrzekł Adam.

— Czemu?..

— Bom wzruszony... Przytem, wyznać muszę pani szczerze, maszerując w szeregu, tego byłem przekonania, że miejsce moje w szeregu, nie zaś przed szeregiem... W chwili obecnej, w przekonaniach moich zaszła rozterka jakaś... Czuję się, jakby nie na swoim miejscu... Przed chwilą lepiej mi było...

— Ulegałeś pan złudzeniu, pochodzącemu z nieznamomości samego siebie... Nikt panu nie powiedział dotychczas: geniuszem jesteś...

— O!... podchwycił młodzieniec protestacyi tonem.

— Czyż mówił to kto panu?..

Adam się uśmiechnął i odrzekł:

— Złożyć bym mógł dowody na piśmie, w ilości niemałej...

— Świadectwa szkolne, dyplomy...

— Nie... listy...

— A! — podchwyciła panna — listy nietylko z uznaniem talentu, ale i z wyznaniem affektów...

— Rozmaite—odrzekł Adam z uśmiechem.

— Słyszałam o dzisiejszem zdarzeniu w parku... Musiało to jednakże wrażenie niejaki na panu sprawić...

— Bardzo niejakie—odrzekł młodzieniec, dopuszczając się gry wyrażen. Za pierwszym razem było silniejsze..

— Więc to już pana nie po raz pierwszy spotyka?..

— A nie — odpowiedział młodzieniec.

— Widzi pan przeto!.. Objawy tego rodzaju dowodzą, że się w panu potęga rzeczywistość ogniskuje.. Duchy kłóca się o pana..

— Tylko.. nie mocne..

— Kto wie.. Niepospolitą posiada własność ujarzmiania umysłów bardzo mocnych i serc bardzo czystych..

Przy tych słowach rozmawiająca para znalazła się wobec pana Grocika, który siedział obok dwóch krzeseł niezajętych. Panna Kornelia puściła ramię Adama i osunęła się na siedzenie. Młodzieńcowi nie pozostawało co innego, jak zająć miejsce przy niej. Uczynił to i znalazł się pomiędzy panną Z. a redaktorem Kwiatów. Ten ostatni natychmiast do niego się zwrócił.

— Winszuję, winszuję kochanemu panu — mówił — tej ze strony wielbicieli talentu jego owacyi, jaka go spotkała dziś.. Winszuję serdecznie.. Była to dla mnie niespodzianka, którą zaliczę do najmiłszych w życiu swoim chwil.. Zaliczam się bowiem do najgorętszych pańskich wielbicieli..

— O, panie!—odparł Adam.

— I prawdziwej doznawałem rozkoszy—ciągnął redaktor — ogłaszając w piśmie swoim artykułik pański..

— A mnie to zdziwiło — wtrącił młody człowiek.

— Czemu?..

— Z powodu rażącej różnicy, jaka pomiędzy duchem pisma a duchem opracowania mego zachodzi...

— O! — podchwycił pan Grocik z uśmiechem. Różnicy?.. Zdziwisz się pan, gdy mu powiem, że pomiędzy przekonaniem pańskimi a mojemi różnica jest tak mała, iżby ją uważać można za żadną... Różnica cała w sposobie brania się do publiczności... Panowie młodzi rzucacie się na oslep, z głową pochyloną i ze sztandarem podniesionym, usiłując z głowy zrobić taran i przejść na przebój... My starzy, sztandar pochylamy, a głowę podnosimy, czyniąc ustępstwa pozorne... Czy pan myśli, żem ja ślepy na prawdę?.. Należy ją jednak podawać publiczności, jak dzieciom lekarstwo, w cukierkach, w konfiturze, w opłatku: gdy się gniewa, to gniewać się wraz z nią, gdy się śmieje, śmiać się razem, gdy płacze, płakać... Ztąd to pochodzi, że my panów ścigamy gniewem, szyderstwem, że płaczymy nad rzekomem zaślepieniem waszem... Jestto taktyka, nie co innego...

— Od któregoś pan jednak odstąpił, artykuł mój ogłaszając....

— To co innego!.. W artykule tym nie zmieniłem ani joty, ani komy, przez wzgląd na autora, przez szacunek dla pióra... Dla pana kolumny Kwiatów otwarte; pisz co zechcesz, ja drukować każę wszystko i—dodał z uśmiechem uprzejmym—śmiem spodziewać się, że w piśmie mojem podpis Ateka figuruje po raz pierwszy, ale nie ostatni...

W tej chwili panna Kornela wtrąciła się do rozmowy, wprowadzając do takowej materyę, która nie dała Adamowi ani tak, ani nie, panu Grocikowi odpowiedzieć.

Nie rozmaitszego jak talenta w pisarzach. Zależą one od harmonii pomiędzy treścią a formą. Doskonała, zupełna harmonia stanowi pisarza znakomitego, pozostającego w dziejach literatury i czytającego się z zajęciem po upływie lat i wieków, chociażby fraszki pisał. Ci, w których przeważa treść nad formą, bywają mniej lub więcej głębcy, lecz zajęcia nie budzą. Ci, w których przeważa forma nad treścią, są zawsze płytcy, ale nieraz wśród społecznych do wielkiej dochodzą wziętości, niekiedy nawet szkoły tworzą. Tych ostatnich jest najwięcej; urabia ich wprawa we władaniu piórem, za pomocą której oswajają się z frazesami i okresami, mając na każdy z nich gotową w myśli foremkę, taką lub owaką, z wykrętasem lub bez wykrętasa, z czubkiem lub bez czubka, jak potrzeba. O treść im nie chodzi. Poświęcają takową formie bezwzględnie, goniąc przedewszystkiem i nadewszystko za efektem.

Pisarze znakomici tem są osobliwi, że się nie urabiają. Występują gotowi, wyskakując niby Minerva z głowy Jowisza, uzbrojeni od stóp do głowy. Wnich treść tworzy formę; odjąwszy pierwszą, druga upada sama przez się, blaknie, płowieje, niknie— i nierzadko się zdarza, że autor poglądów, pożeranych przez czytelników, poci się nad napisaniem listu prostego. Treść i forma związane w nim są łańcuchem nierozzerwalnym.

Tego rodzaju talent dostał w udziale nasz Adam. Był to talent rzeczywisty, ale od treści nieodłączny. Zabić go było łatwo. Należało jeno treść obuchem trzasnąć.

Owacya przez panią Eulalię do spółki z panią Idealią sporządzona, obuchem owym się stała.

Adam dawać zaczął artykuły do Kwiatów i w ar-

tykułach tych dotykał kwestyj bez porównania ważniejszych i żywotniejszych, aniżeli „Muzyka przyszłości“, napisana na odczepne, ale... ale... zachodziły już w nich mnogie „ale“, strącające autora z piedestału na poziom pisarzy tuzinkowych. Nie było już w nich tej siły, co to czytelnika na uwięzi niejako trzyma, zmuszając go wbrew własnej jego woli czytać od początku do końca, cisnąc książkę z gniewem, zawołać:

— Szelma!..

i iść się do czytania ponownego.

Ateka blaknął, płowiął, ratował się połyskami, nie był jednak już w stanie całości w jednym utrzymaniu tonie, na jednej trzymać wysokości. Pochodziło to ztąd, że nie chciał, nie mógł... kamieniem za chleb oddawać. Nie zaprzeczał przekonaniom swoim, ale usiłował, przez wzgląd na redakcyę, na czytelników, na przyzwoitość, oszlifowywać je, ogładzać, osładzać, za przenośnie chować, w złagodzonej formie podawać—tak też formę łagodził, łagodził. że treść często z widoku gubił, częściej zaś rozwadniał takową i gubiła się ona sama.

Nie zrywał z kolegami i przyjaciółmi, stronił jednak od nich od niechcienia, czytając w ich oczach coś na kształt żalu czy pretensyi, co mu się niesłusznością wydawało. Pracował dużo, poszukując odpoczynków dla umysłu, bądź w widowiskach teatralnych, bądź też w towarzystwie płci pięknej, wśród której znajdował długo uznanie gorące. „Długo“—powtarzamy—i wśród niej bowiem wielbicielstwo nie wzrastało lecz słabło, słabło widocznie i szybko, w stosunku do zawodów, jakie sprawiała każda jego nowa drukiem ogłoszona praca. Zapytywać poczęto: co to znaczy?

Na jednym z wtorków u pani Eulalii, podczas kiedy Adam obecnym nie był, poruszono tę kwestyę.

Pani Idealia, popierana przez panią domu i przez osób kilka, utrzymywała, że to przejdzie.

— Osłabienie chwilowe... skrzydła mu opadły... Zobaczycie jednak państwo, że odzyska potęgę pierwotną...

Pan Grocik uśmiechał się na to złośliwie.

— Odzyska potęgę pierwotną—powtórzyła pani Idealia. Trzebaż pozwolić i autorowi być człowiekiem! Weźmy pisarzy najznakomitszych, Mickiewicza naprzykład, czy nie jest on niekiedy słabym, bardzo słabym?..

— Jest jednak zawsze sobą—odparł pan Grocik.

— Ateka nie jest ze sobą?..

Redaktor ramionami ścisnął i dłonie rozłożył, jakby odpowiedzieć chciał: Ani trochę...

Giest jego oznaczał jeszcze, że znanemi mu są tajemnice, przed publicznością zakryte.

Tajemnice te nader były smutne. Okazywała się potrzeba oglądania opracowań Adama, inaczej bowiem byłyby nie do czytania.

Adam, zdawało się, nie dostrzegał upadku własnego. Zdawało się jakby zdrzemnął się i drzemał na tym laurze, który portret jego przez ciąg wieczora jednego przyozdabiał.

Aż nagle obudzony został. Ktoś go szarpnął. W jednym z pism pojawiła się zjadliwie napisana krytyka porównawcza prac jego dawniejszych i prac późniejszych. Ten, co to pisał, nie oszczędzał go wcale, wnikał w pobudki, badał przyczyny i chłostał a chłostał. Było tam dużo prawdy w szczegółach, ale tkwił fałsz w założeniu ogólnem.

Krytyk przyrównał Atekę do racy, puszczonej w celu sprawienia alarmu fałszywego. Zakonkludował:

„Raca-Ateka wyniół się, tysiącem słońc zająśniał, milionami iskier się osypał, spalił się i zgasł. Nic już z niego nie będzie“.

— Otóż będzie!—zawołał Adam. A ha!..

W duszy mu zawrzało. Zamknął się. Przez parę tygodni pióra nie dotknął i w izbie swojej wyglądał niby tygrys w klatce zamknięty. Chodził, przylegał, krążył, do biurka po kilkanaście razy przystępował, aż wreszcie zasiadł i pisał. Nie dojadł, nie dosypiał—pisał. Tak na gorączkowej zapamiętałej pracy tygodni kilka upłynęło i z pod pióra jego wyszedł tomowych rozmiarów utwór, podzielony na ustępy, traktujące każdy o przedmiocie innym i związane ze sobą jedną myślą przewodnią. Co do treści, był to rodzaj bigosu filozoficzno-historyczno-krytyczno-socjalno-literackiego, obrobionego *con amore* i przyprawionego z gustem, na pieprzno a szczypiąco. W głębi onego ukrywała się obrażona miłość własna, która go zwróciła przeciwko swoim.

Napisał, odczytał i poszedł do pana Grocika.

— Panu mojemu!—zawołał tenże, ujrawszy go na progu swoim. Sługa najniższy!.. witam...

— Przynoszę rękopis...

— I owszem... Tylko—tu kwaśną zrobił minę, którą natychmiast zasłodził—zasypani, zawaleni jesteśmy w tej chwili... Rękopism pański będzie musiał poczekać aż się dla niego miejsce otworzy...

— Jakto? — zapytał Adam ze zdziwieniem, nieprzyzwyczajony do podobnego ze strony redaktorów traktamentu.

— Prawdziwie... Niech pan z łaski swojej rzuci

okiem na Kwiaty.. Zapełnione są pracami w dalszym ciągu...

Adam usta już otwierał, chcąc pożegnać pana Grocika, ten go jednak uprzędził.

— Jeżeli łaska, proszę mi rękopism pokazać.. Zobaczę objętość... może też...

Młody człowiek wręczył mu spory plik.

Redaktor rozwinął, okiem rzucił na tytuł, przebiegł oczami okresów kilka, zajrzał do środka w jednym i drugim miejscu, po ustach jego przesunął się uśmiech, wreszcie odrzekł uprzejmie:

— Proszę mi to zostawić...

— Życzyłbym sobie, aż by się drukowanie od najbliższego rozpoczęło numeru i szło bez przerwy ustępami jak najwiękшими.

— Będziemy się starali życzeniu pańskiemu za-
dość uczynić.

— Jeżeli miejsca niema..

— Dla pana? O panie! Toć byłbym nie Grocikiem, gdybym dla Ateki połowy współpracowników nie wyrzucił.

— Dobrze więc. Wymawiam sobie tylko modyfikację wszelką.

— Ani joty! ani komy!

— Będę odbitki przeglądał i korektę autorską prowadził.

— Poszlę panu kochanemu każdą odbitkę próbną do domu.

Po odejściu młodzieńca, pan Grocik powtórnie wziął się do przeglądania rękopisu, odczytywał ustępy całe, uśmiechał się, ręce zacierał, wkońcu, zabrawszy manuskrypt, udał się drogą najkrótszą do kamienicy pani Z. Dzwoni—a nie pytając lo-

kaja, czy pani w domu, wręcza mu kartę wizytową, dopisawszy na takowej ołówkiem wyrazów parę.

— Pani prosił—nadeszło wkrótce wezwanie.

Redaktor, poprzedzony przez lokaja, przeszedł szereg pokojów i wpuszczony został do komnaty, zastawionej szafami politurowanemi, zapełnionemi książkami. Na szafach biusty, na środku stół z przyborami do pisania i z podręcznikami encyklopedycznymi, do koła fotele, pod oknami kanapy wygodne, tu i ówdzie, na etażerkach i stolikach stosy pism peryodycznych, przeglądów, albumów, keepsaków, znamionowały bibliotekę. Pani znajdowała się sama.

Pan Grocik wszedł z wyrazami na ustach:

— *Le coup a porté juste.*

— Co?—zapytała pani Eulalia.

— A co się tej krytyki tyczy.... Poskutkowała ...

— No?

— Oto owoc.

To rzekłszy, wydostał rękopis z zanadru i podał takowy pani Eulalii. Ta, wzięwszy papier do ręki, odparła:

— Ależ to dzieło woluminarne — i zapytała: Cóż to właściwie?

— Odpowiedź na krytykę.

— Odpowiedzi tu nie widzę.

— Ukryta między wierszami. Jam się obawiał nieco odpowiedzi, odpowiedzi wzręcznej, brutalnej, byłby to bowiem wyskok, ułatwiający powrót na dawną drogę. Tak zaś jak jest, jest dobrze. Włazł po uszy w sofizmata, w tych nowe poczynił odkrycia, a nowe odkrycia, są to dzieci najulubieńsze, których autorowie bronią zębami i pazurami.

— I odzyskał wigor dawniejszy?

— W części.

Pani Eulalia, przebiegając rękopis oczami, uśmiechała się niekiedy i odzywała:

— Dobrze.... wybornie.... czuć przycisk pióra....
I ukaże się to?

— W najbliższym numerze Kwiatów.

Po chwilce pani zapytała:

— Czy też pan myśli, że on i nadal wytrwa w tym tonie i na tej wyżynie?

— Sam może i nie, ale przy pomocy naszej, przy dawaniu mu od czasu do czasu ostrogi, *ça ira*.

— Pani Idealia wtajemniczona?

— A niech Pan Bóg broni!

Konferencya trwała krótko. Redaktor, z rękopisem w zanadrzu, powrócił do biura i natychmiast zrobił dla utworu Adama miejsce w piśmie swoim.

Utwór ukazał się we właściwym czasie. Nie stworzył on epoki, sprawił jednak wrażenie niemałe jednością i siłą, przypominającą pierwotne pióra Ateki produkeye. Nie otworzył on epoki w odniesieniu do literatury, ale zaznaczył punkt zwrotny w literackiej karierze Adama. Zrobił go... popolitością, czerpiącą pobudki twórcze w drażliwości własnej. Na rzeczy, na kwestye, zaprzestał zapatrywać się ze stanowiska przedmiotowego, zastawując do takowych tylko przekonania swoje. Zapatrywał się na takowe przez pryzmat własnego ja, podporządkowując onemu i przekonania i zasady. W takich nawet przedmiotach, jak naprzykład wypadki przeszłości odległej, gdy o nich pisał, tu i tam wsuwał osobistość swoją, w odpowiednich obłonach, zakrywających ją przed oczami czytelników. Była jednakże, tkwiła, zabarwiała produkeyę i po barwie poznać ją było można, tak jak

chemicy rozpoznają z kolorów obecność kwasów pewnych w roztworach i minerałach.

I nastąpiło, co nastąpić miało. Młody człowiek, prędko dożył tej chwili, w której uczuł się niezadowolonym z samego siebie, poczuł próżność w sobie.

Siadł i zadumał się.

Była noc. Na biurku jego gorzała lampa, rzucając z pod umbrelli światło na kałamarz, pióra, papiery. Wziął pióro do ręki, umaczał je i na stronie położył, a odrzuciwszy głowę w tył, tak że się oparła na poręczu fotelu, oczy zamknął. W położeniu tem przesiedział z godzinę. Wyprostował się nareszcie i wyjął szufladkę, w której znajdował się skład listów od wielbicielek. Od lat dwóch blisko do szufladki tej nie zaglądał. Nowego nie przybyło nic. Westchnął i wziął z listów jeden. Był to ten właśnie, który w parku otrzymał. Odczytał go. Tajemnicza korespondentka w innem aniżeli dawniej przedstawiła się mu świetle.

— Hm — mruknął. A gdyby? Kto wie. Ale kto ona?

Położył list ten na stole, i biorąc inne jeden po drugim, porównywał pisma.

— A! — zawołał.

Znalazł.

Znalazł list jeden, podpisany i w daty zaopatrzony. List ten pochodził z prowincyi, z Kobieczyna od Emmy Rzemuskiej, osobiście mu nieznaney, ale znanej dobrze z imienia, należącego do jednej z rodzin historycznych, i zawierał proste zapytanie, odnoszące się do kwestyi edukacyi niewieściej. Autorka onego pisała go dla tego jedynie, że, widocznie, uległa była świerzbiącze pisania. Ateka ogłosił był artykuł w tej kwestyi i ona zgłosiła się

do niego, jak się zgłaszać zwykło do ekspertów. Zapytała, on jej odpowiedział, i na tem się korespondencya urwała czasu onego. Taż sama ręka napisała list ów podrzucony. Adam, im pilniej się przypatrywał, tem się bardziej w tem utwierdzał przekonaniu, że była to ręka ta sama. Dostrzegł nawet na końcu E wielkie, na które zrazu uwagi nie zwracał.

— Otóż i nitka—rzekł sam do siebie. Po niej dojść można do kłębka.

Dawniej wydawało mu się to rzeczą niepotrzebną i śmieszną; dziś zdarzenie to nasuwało się pod postacią materyi do zapełnienia próżni owej, która mu już dokuczliwą być zaczynała.

Za pierwszym spotkaniem się z panią Idealią, zapytał jej od niechcienia:

— Nie wie też pani czego o paunie Emmie Rzemuskiej?

— Wiem tylko że mieszka na ulicy, zdaje się (wymieniła ulicę) i uchodzi za ekscentryczkę.

— Więcej nic?

— Że jest sierotą, bardzo bogatą.

— Ekscentryzm zaś jej polega?

— Na tem głównie, iż za mąż nie idzie.

Adam miał trudności nieco z odszukaniem mieszkania panny Emmy. Bawiła przy wuju, którego nazwisko tworzyło niejako maskę dla nazwiska, jakie nosiła. Trzeba było znać stosunki rodzinne, ażeby ją za tą maską dojrzeć. Wyszukanie jej przeto zabrało czasu nie mało, i po kilku dopiero tygodniach dowiedział się Adam o adresie dokładnym. Dowiedziawszy się o adresie, zapragnął poznać osobę, z widzenia najprzód. Dopięcie tego przedstawiało trudności nowe. Panna Emma Rze-

muska pozostawała w nieprzystępnej jakowejś dali. Wuj jej trzymał się w sferze arystokratycznej—bywał, bywano u niego, lecz progi jego przestępowali sami jego wybrańcy, a do takich brać literacka nie należała wcale. Gościom jego wolno było i literaturą się bawić, ale nie było wolno nie móż się wykazać przodkami, wchodzącymi do składu dawnej magnateryi i zajmującej w takowej wydatne stanowisko. Kto nie był panem z panów, kto się nie wyprowadzał od senatorów, ten, w mniemaniu wuja panny Emmy, zaliczał się do czerni; człowiek zasługi i talentu, zasługiwał na względy i poszanowanie, ale nie na zaszczyt bycia przypuszczonym do tej poufałości, jaka wynika ze stosunków towarzyskich. Hrabia M. trzymał czerń w oddaleniu od osoby swojej, a zatem i od osoby siostrzenicy, której był opiekunem.

Adam, zasięgnąwszy szczegółowych w tym względzie informacji, doznał uczucia takiego, jakiego doznaje koń arabski na widok przeszkody, którą przeskoczyć należy. W koniu rozognia się krew. W Adamie rozpałiło się pożądanie. Trudności bodźca mu dodały, tyczyły się zaś jeno dumy pańskiej hrabiego i więcej niczego. Cóż bowiem? Panna nietylko miłość wyznała, lecz niedwuznacznie do zrozumienia dała, że ręka jej i majątek są dla niego, do wzięcia.

— Ręka? majątek?

To ostatnie, jakkolwiek Adam był młody i bezinteresowny, nie wydawało mu się rzeczą do odrzucenia. Ręka zaś — ręka? Korespondentka pisała wprawdzie, że jest nie brzydką i że nawet w oczach ludzi za piękność uchodzi; było to jednak zdanie stronnictwami nacechowane, pochodziło bowiem od

niej samej. Dla tego to Adam, jako człowiek oględny, postanowił, zanim się na co zdecyduje, sprawdzić pierwej podanie tej materyi tyżące się. W tym celu odbywać począł warty przed pałacem hrabiego M., śledząc osoby wchodzące i wychodzące.

Zajęcie to zabierało mu czasu sporo. Stawał przed bramą, spoglądał w podwórze, i dla nadania sobie kontenansu odbywał funkcyę szyldwachy, przechadzając się po trotuarze ciągnącym się wzdłuż sztachet. Widział ludzi różnych wchodzących i wychodzących, widział karety wjeżdżające i wyjeżdżające i drogą obserwacyi doszedł do tego, że się dowiedział iż te jeno osobistości, które pojazdów i to własnych używały, należą do sfery towarzyskiej hrabiego, a zatem i panny Emmy. Inne—była to czerń służbowa, albo też rzemieślnicy, dostarczyciele, oficjaliści i t. d.

Dalsza obserwacya doprowadziła go do rozpeznawania pojazdów hrabiego; jeszcze dalsza oznajmiła go z fizyonomią wuja i wujenki panny Rzemuskiej i z fizyonomiami czterech młodych kobiet, pomiędzy którymi musiała być ona.

Tu jednak dopiero zawiązał się węzeł gordyjski.

Która z czterech była ona?

Rozwiązanie zagadki tej przedstawiło się pod postacią sęka, którego rozbić ani rusz.

Pan Andrzej, gdy mu przyszło z pomiędzy trzech jedną wybrać, co miał trudności! Adamowi zaś nie o wybór, lecz o rozpoznanie chodziło.

Piękna. Stanowić to miało niejako oznakę. Która z nich piękna? Raz wydawało się mu, że ta, znów, że owa; do sądenia zaś o tem, najprzód nie posiadał wprawy, powtóre, znajdował się w wa-

runkach ogromnie niekorzystnych. Porównywać musiał wdzięki podczas, kiedy cztery młode kobiety przesuwały się mimo niego w karecie, to znaczy, porównywać je musiał w lot. Wprawne oko możeby temu podołało. On nie umiał pochwycić rysów, tem bardziej, że nigdy nie widywał ich razem. Panny prezentowały się mu, to pojedynczo, to po dwie, a było ich cztery.

— Ot kłopot! — myślał sobie.

Wiedział, że w komedjach i romansach znajduje się zawsze jakaś duegna lub subretka, której powołaniem jest wyprowadzanie kochanków z kłopotów tego rodzaju. Wiedział jednak, że do medjanterek tych nie przystępuje się bez sakiewki przeczystej, przez którą przegładają dukaty. U niego zaś mamony było w samą miarę, tyle właśnie, ile płacić należało za lokal, za światło, za opranie bielizny, za żywienie się, za odnawianie toalety etc. Na zbytki nie pozostawał mu ani szeląg złamany. Chcąc więc konfidentkę opłacić, potrzebaby chyba na długi wskazać się post, albo też zrezygnować z butów, naprzykład, i zdecydować się boso przed panną Rzemuską występować. Znanym mu był los Beniowskiego, gdy, za powrotem z Rzymu, obdarł i chudo sprezentował się pannie Anieli. Nie chciał się na los podobny narazić. A zresztą, niedosyć było konfidentkę opłacić, należało ją pierwej wynaleźć, to jest, dostać się do niej mimo ócz Argusów, którzy, w postaci służby różnego rodzaju, zapelniali pałac hrabiego.

— Kłopot — powtarzał.

I na wyjście z takowego nie widział sposobu innego, jak tylko: list napisać i na zwiady go posłać.

— Ostatecznie, pomiędzy tem czworgiem dziewięć

brzydkiej niema ani jednej. Jeżeli przeto ona nie brzydka, to... i czego trzeba więcej?

Tak powiadał sobie, palony pragnieniem roman-su, w celu zapełnienia próżni, jaka się w nim otwo-rzyła.

— Ha! Niech się co chce stanie. Trzeba jeno list oględnie ułożyć.

I ułożył go w sposób następujący:

„Pani, — bardzo niedawno, od dwóch zaledwie miesięcy dowiedziałem się, że autorką listu w kwe-styi edukacyjnej i autorką listu wręzonego mi w parku, jesteś ty, pani. Na pierwszy odpisałem; odpowiedź zaś na drugi, zagadkowy a zarazem tyle dla mnie powabów w sobie zawierający, zwlec mu-siałem do tej chwili. I dobrze się stało. Dawniej nie umiałem cenić ofiary twojej pani — nie rozumia-łem ofiary w ogólności. Dziś inaczej. Jestem czło-wikiem nawróconym.

„*Adam Tadeusz Kozarski (Ateka).*“

Podpisał datę i adres wyraźnie i list na pocztę miejską oddał.

— Odpisze czy nie odpisze? — myślał sobie.

Odpisała i to wkrótce, tak wkrótce, że, zdaje się, jakby nie namyślała się wcale. Jednego dnia wie-czorem poszedł list Adama, nazajutrz rano przyszła odpowiedź panny Emmy.

A jaka!

— „Zapóźno“ — napisane na liście jego pod spodem.

Oto wszystko — i pod tem podpis: Emma Rze-muska.

— Ot i masz, babo roraty! — zawołał Adam.

Pomyślał przez chwilkę, pod podpisem napisał:

— „Dla czego?“

Dodał swoje imię i nazwisko, włożył w świeżą kopertę, zaadresował i na pocztę oddał.

Odpowiedź nadeszła wieczorem, na liście tym samym. Brzmiała jak następuje:

— „Dowiesz się.— E. R.“

Adam czekał przez dni kilka, przypuszczając, zdaje się słusznie, że—jak to powiadają—na panewce spaliło.

— Dowiem się—powiadał sobie—„tfu! że za mąż idzie...“

Po kilku dniach atoli namyślił się inaczej. Wybrał jedną z najudatniej zrobionych fotografii swoich i posłał takową, opatrzywszy ją na odwrotnej stronie napisem:

— „Z prozbą o wzajemność.“

Otrzymał wnet w zamian kartę fotograficzną z napisem:

— „Z prozbą o cierpliwość.“

Fotografia zafrasowała go tą osobliwością, że nie podobną była do żadnej z czterech młodych kobiet, pomiędzy którymi Emmy się domyślał.

Ramionami wrzucił.

— Intryga się wzięła—rzekł. Niema jednak co. Gdybym się wziął był do rzeczy wówczas, kiedy list w parku otrzymałem, byłoby poszło jak z płatka. Ale wówczas, co innego miałem w głowie... W głowie!—dodał z ironicznym naciskiem.

I westchnął.

Przypatrywał się fotografii przez czas jakiś. Przedstawiała ona kobietę opartą łokciem o książkę. Kobieta była przystojna, więcej nawet niż przystojna, smukła, zadumana i nacechowana piętnem dystynkcyi arystokratycznej. Trzymała w ręku coś nakształt karty. Przedmiot ten nie uderzył zrazu

Adama, przypatrując się mu jednak lepiej, zapytał siebie:

— Czyżby to, w rzeczy samej, karta być miała?

Dla przekonania się, włożył w oko lupę i poznał, ku niemałemu swemu zdziwieniu, fotografię, tę samą według której zrobionym był portret olejny, zawieszony w pantecniku pani Eulalii.

Fotografia ta odnosiła się do czasów dawniejszych—do czasów owych, kiedy talent jego, zwrócony całkowicie na zewnątrz, ku treści poważnej a osobistością jego nie przeniknionej, jaśniał blaskiem całym pierwotnej potęgi. W duszy młodego człowieka obudziło się coś nakształt żalu za przeszłością. Z żalu tego jednak sprawy sobie zdać nie umiał. Zdawało mu się bowiem, a raczej głęboko był o tem przekonany, że zerwanie z przeszłością nastąpiło nie z jego winy, że on pozostał samym sobą i nie miał sobie nic do wyrzucenia, że przyczyna zerwania tkwiła w złościwości, w zazdrości, w zawiści ludzkiej, w tych karlich, poziomych uczuciach, rozlewających się po ziemi nakształt śliny gadów, narażającej człowieka na poślizgnięcie się konieczne. Nie, winy on nie przypisywał sobie. Jednakże żal mu się robiło. Znow westchnął

Panna Emma zalecała cierpliwość we względzie odpowiedzi pierwszej która odejmowała nadzieję wszelką. Cierpliwość przeto racyi pozbawioną była, ukazując w perspektywie samo jeno zaspokojenie ciekawości. Romans, po którym się Adam zapełnienia próżni spodziewał, urywał się w zawiązku samym. Nie było jednak rady. *Sic fata tulerunt.* Adam próbował zająć się pracą. Pisał, czytał. Śród pracy przychodziło mu niekiedy na myśl:

— Czyby nie spróbować jeszcze? Wszak nie ona

jedna miłość mi ofiarowała.... Oprócz jej listu, spoczywa tam w szufladce pięć innych, pochodzących od autorek tajemniczych... Samo dochodzenie tajemnic da mi zajęcia i rozrywki dużo.

Tak sobie powiadał, postanowienie brał, lecz się z wykonaniem takowego nie spieszył. Do szufladki nawet nie zaglądał.

Upłynęło tygodni kilka.

Aż przyszedł list od niej, treści następującej:

— „Jeżeli masz odwagę zejść się zemną, bądź w parku dziś wieczorem. Zajmij ławeczkę na prawo, pierwszą od wejścia. Równie o dziewiątej przyjdę po ciebie.“

Emma R.

— Phiii! —zawołał Adam. A toż co! „Jeżeli masz odwagę...? Przyjdę po ciebie?“ Miała pani Idealna rację, nazywając ją ekscentryczką. Cóż się tam roi po głowie.

Czekał do wieczora, poszedł, usiadł na ławeczce, czekał i równie o dziewiątej stanęła przed nim postać niewieścia, w której od pierwszego oka rzutu rozpoznał oryginał przysłanej mu z nadpisem „z prośbą o cierpliwość“ fotografii. Rozpoznać było bardzo łatwo. Na ławeczkę rzucała światło tuż obok stojąca latarnia, postać zaś, wbrew przyjętemu w razach podobnych zwyczajowi, nie była wcale zakwefioną.

— Poznajesz mnie?—rzekła.

Głos jej był suchy i surowy, bynajmniej nie taki, jakim miłość przemawia.

— Poznaje—odparł Adam wstając.

— Podaj mi ramię.

Młodzieniec łokieć ku niej nastawił, ta go ręką objęła i poprowadziła.

Adamowi nie wydawało się rzeczą przyzwoitą i godziwą zapytywać jej, dokąd idzie. Prowadziła, szedł. Wyszli z parku w stronę zamiejską, wydostali się na szosę i uszedłszy takową kawał spory zwrócili się w prawo, ku rzece, nad którą miasto leżało, a która połyskiwała w dali, niby rzucone na ziemię olbrzymie zwierciadło metaliczne, odbijające niebo lazurowe i wyiskrzzone na niebie gwiazdy.

Zapytanie „dokąd idziemy?“ cisnęło się młodeму człowiekowi do ust, a nie umiał go zadać. Emma nie odzywała się ani półsłówkiem.

Adam przypuszczać począł, że w tych stronach znajdować się musi jakaś willa, jakiś pałacyk zamiejski, jakiś domek zresztą, i ten jest kresem pochodu tego zagadkowego.

— Zobaczymy — mówił sobie. Przecież jakos skończyć się to musi.

Ona nic nie mówiła, on milczał.

Przewodniczka z niej była dobra. Prowadziła krokiem śmiałym i pewnym, tak pewnym, że kiedy przyszła nad urwisko, u stóp którego rzeka płynęła, to, bez zawahania się ani na oka mgnienie, puściła ramię Adama i weszła na ścieżeczkę, zbiegającą na brzeg zukosa.

Adam się zawahał i zawołał:

— Pani!

Ona mu na to:

— Jeżeli masz odwagę.

Głos jej był spokojny i swobodny, a nawet mniej suchy aniżeli w parku.

Adam poszedł, zapytując siebie samego:

— Co to z tego będzie?

Nie bez trudu przyszło mu spuścić się na dół i stanąć w obec Emmy, która wstąpiła do łodzi

uwiązanej u białego na brzegu słupka i kołyszącej się na nurtach.

— Masz odwagę?—zapytała łagodnie.

Adam, nic na to nie odrzekłszy, poszedł za jej przykładem.

— Usiądź tam, naprzeciwko.

Ukazała mu ręką ławeczkę, Adam usiadł. Ona też samo uczyniła. W tej chwili łódź spłynęła, rwana nurtem ku środkowi rzeki.

— Co to znaczy?—zapytał siebie Adam w duszy, z naciskiem wielkim, spowodowanym tak osobliwością zdarzenia całego, jako też tą podróżą nocną, tak niespodzianą.

Chciał już zapytać. Nagle jednak krzyknął:

— A wiosła!

Spostrzegł się, że łódź nie posiadała ani wiosel, ani rudła i mknęła na woli prądu coraz szybciej i szybciej.

— Wiosła?—odpowiedziała panna Emma. Płyniemy w dal przysłowiową, jak płynie tyłu... jak płyniesz ty, mój—tu westchnęła—niegdyś luby.

Adamowi zrobiło się nijako. Spojrzał ku brzegowi, ten był już daleko, spojrzął w górę, tam ujrzał lazurową banie gwiazdami usypaną, zaniepokojonym wzrokiem powiódł do koła, do koła rozlegały się ciche tonie a przed nim siedziała kobieta. Zatrzymał wzrok na niej. Ona zachowywała spokój zupełny.

— Mam do czynienia z wariatką—przyszło Adamowi na myśl.

— Masz do czynienia—odezwała się, jakby myśl jego odgadując—z kobietą, która cię wielbiła... która niczego mocniej w życiu nie pragnęła, jak zjednoczyć się, złąć z tobą, być twoim wtórem, iść za

tobą. Powiedziałam ci to w liście, który w parku otrzymałeś. Chciałam powiedzieć raz jeszcze i raz jeszcze; chciałam uwagę twoją na siebie ściągnąć, a wkońcu do nóg ci się rzucić. O! wielbiłam cię bezmiernie. Zachwytem przejmowała mnie potęgą twoją, potęgą, którą ty zmarnowałeś.

Patrzyła mu w oczy i głową kiwała. Westchnęła.

A łódź pławiła się wciąż dalej i dalej.

— Zmarnowałeś potęgę i... zgłosiłeś się do mnie. Po co? Zadałam sobie to zapytanie, list twój otrzymaawszy, i natychmiast pomyślałam: dobrze.... tylko teraz nie ja pójdę za nim, ale on pójdzie za mną.... pójdzie tam dokąd ja go poprowadzę.

I zapytała po chwili:

— Wiesz dokąd płyniemy?

— Pani! — odparł zapytany — ja tu nic a nic nie rozumiem.

Emma uśmiechnęła się, schyliła, wyjęła czop w dno łodzi wbity i precz go na rzekę cisnęła. Woda wnet wpływać zaczęła do środka.

— Szalona! — krzyknął Adam głosem przerażenia.

— Ha. ha — odparła Emma spokojnie. W głębi łodzi są dwa kamienie, ze sznurkami oba. Ja uwiążę sobie do szyi jeden, ty uwiąż drugi.... pójdziemy na dno, za karę: ja za, to żem się zgorszyła uwielbieniem, ty za to, żeś zgorszenia przykład dał, marnując potęgę, której depozytorem byłeś. Idźmy na dno, mój niegdyś luby. Miej tę odwagę. Nie pozostaje ci zresztą już nic innego. Pozostaniemy jedno obok drugiego we wspólnym grobie, w topielach, wśród rybek pogoni, będą nad nami fale szumiały.

Mówiąc to, założyła sobie sznurek na szyję.

Adam ręce podniósł.

Łódź, coraz to bardziej wodą się napełniająca, tonęła tymczasem, obracając się na miejscu, tonęła, wgłębiała się i, napełniwszy się po brzegi, znikła. Z łodzią razem zniknęła i p. Emma. Adam, który, co się przywiązywania sobie kamienia do szyi tyczy, rady jej słuchać ani myślał, lecz przeciwnie, podczas kiedy ona tę radę dawała, obmyślał środki ratunku, pozostał na powierzchni. Pływać nie umiał po pływakku; kąpiąc się jednak nieraz, znał sposoby trzymania się na wodzie i wiedział, że, ażeby nie utonąć, bronić należy szczególnie głowy, zamykać usta, nie wciągać wody przez nos i trzymać uszy wysoko. Więc też robiąc rękami i nogami, ratował się, płynął. Gdy się zmęczył, obracał się na wznak. Przewracał się i znów płynął. Całe jego szczęście, że przytomności umysłu nie stracił—płynął i płynął, jak długo, niewiadomo, aż wreszcie ujrzał przed sobą brzeg blisko. Natężył siły wszystkie, jakie czuł w sobie, i dopłynął.

Noc jeszcze panowała.

Na brzegu dopiero strach go przejął, i strach ten wypocząć mu nie dawał. Położył się, odetchnął razy kilka z głębi piersi i wnet na równe skoczył nogi. Patrzał na rzekę z wyrazem przerażenia w oczach; woda z niego ociekała, zimno go przejmowało, drżał ciałem całym, bladeś mu taka oblicze powlekła, że jako trup wyglądał. Uciekać począł.

Ubiegłszy kawał znaczny, zatrzymał się i obejrzał.

— Ah! — westchnął. Rzecz okropna!

Nogi pod nim drżały, a w myślach panowała płątanina ogromna. Puścił się znów i szedł, zataczając się, niby człowiek pijany. Wciąż wydawało się mu, że słyszy za sobą jakieś głosy, wołanie jakieś,

wabiące go do powrotu. Przyśpieszał kroku, i kiedy świtać zaczynało, doszedł do bramy miejskiej, a kiedy dobrze rozświtało, wchodził do siebie. Wielkiem dla niego szczęściem, nie spotkał się na drodze z agentami władzy przestrzegającej bezpieczeństwa i porządku publicznego. Ci musieliby czepić się do człowieka zmokłego i bez kapelusza, przedstawiającego osobą swoją nieporządek w stopniu najwyższym. Nie spotkał się jednak z niemi, nie spotkał się z nikim, miasto spało, nikt go nie widział; niepostrzeżenie wszedł do siebie, rozebrał się i położył.

Nazajutrz Grześ napróżno przez dzień cały czekał na odezwanie się dzwonka z pod numeru, zajmowanego przez Adama. Nie doczekawszy się, wszedł wieczorem ze świecą. W pierwszym pokoju nie było nikogo. Zajrzał do drugiego.

— Jest — rzekł. Śpi czy co?

Zbliżył się do łóżka.

— Panie Kozarski — odezwał się zrazu zcicha, następnie za każdym razem głos podnosił:—Panie! Panie! Panie!

Ujął go za nogę.

— Panie! — wrzasnął.

Podszedł ze świecą i nastawił takową na twarz Adama.

Adam westchnął. Oblicze jego pałało ogniem niby. Oddech miał krótki i urywany.

Grześ głową pokiwał.

— Licho go się jakieś przyczepiło. Zaniemógł wyraźnie. Trzebały jejmości dać znać.

Dał znać jejmości; ta przysła, spojrziała, po lekarza posłała, lekarz oglądał, za puls brał, ucho do piersi przykładał i zadecydował, że mu się rozwi-

nęła silna gorączka, wymagająca środków energicznych. Zapisał receptę i zalecił troskliwość,

— To dobrze, panie konsyliarzu — rzekła jejmość. Troskliwość? Panu konsyliarzowi łatwo powiedzieć. Kto to się troszczyć ma?

— Do mnie to nie należy — była lekarza odpowiedź.

— Do mnie może?

— Zostaw go więc pani tak, on do dni trzech zemrze.

— Ot i kłopot! — zawołała baba.

Przyszło jej atoli na myśl, iż lokatora tego odwiedzali ludzie różni, na których ręce możnaby go oddać. Odbyła naradę krótką z Grzesiem, i ten przypomniawszy sobie, że chodził raz z karteczką do „jednego“ pana, udał się do pana owego z zawiadomieniem, iż Adam umrze, jeżeli go nikt doglądać nie będzie. Panem owym był Bolesław.

Zniknięcie panny Emmy narobiło wrzawy wiele. Przepadła — jak? pozostało to tajemnicą dla rodziny, dla władz, dla wszystkich. Świadek jedyny, którym był Adam, znajdował się przez tygodni kilka pomiędzy życiem a śmiercią, bredził w gorączce, wydawał okrzyki przerażenia, lecz nie dawał skazówek żadnych, po którychby ci, co go doglądali, domyślić się mogli, jaki los spotkał dziedziczkę fortuny, pozostawionej bez właścicielki. Zresztą nie obchodziło to ich. Bolesław i towarzysze jego, którzy przy chorym dyżur urządzali, interessowali się bardziej stanem pulsów i żołądka Adama, aniżeli tem, co on wygadywał. Ucieszyli się wielce, gdy lekarz oświadczył, że niebezpieczeństwo minęło. Po oświadczeniu tem, chory pcezał wkrótce do

zdrowia przychodzić, a pierwszą stanu rekonwalescencji oznaką było westchnienie głębokie.

— Ach! — wypłynęło mu z piersi powoli.

Zwrócił wzrok na Bolesława i poznał go.

— Co to znaczy? — zapytał.

— Chory jesteś — była zapytanego odpowiedź.

— Chory, hm. Która godzina?

— Czwarta.

— Tak późno! Jakże spałem długo! Ale też późno wczora do domu przyszedłem ..

Bolesław poznał, że chory stracił rachunek czasu i za jedną dobę bierze tygodni kilka. Nie wprowadzał go z błędu, nie chcąc go snadź trwożyć niepotrzebnie. Odpowiedział mu więc:

— Przyszedłeś i zachorowałeś, jednakże na dobrej już znajdujesz się drodze. Cierpliwości trzeba a wyzdrowiejesz zupełnie.

Adamowi powieki spadły — zasnął.

Nazajutrz miał się lepiej, dalej jeszcze lepiej i w dni kilka później można już mu było powiedzieć, jak długo trwa choroba jego. Zdziwiło go to.

— Tygodni tyle — rzekł z cicha — to i wyzdrowienie nie rychło przyjdzie.

— Przyjdzie — odparł Bolesław. Cierpliwości.

— I cóż to będzie? — zapytał Adam, siebie niejako.

— Co? to co i było. Powrócisz do pracy, do zajęć.

Adam westchnął i głową smutnie pokiwał.

Zdrowie powracało mu powoli. Wstawał już z łóżka i odyskiwał apetyt, a siadając w saloniku, spoglądał zdaleka na biurko i wzdychał. W obec tych, co go odwiedzali, stał się milezącym. Stół krążył zawalony był pismami peryodycznymi. Nie dotykał się ich wcale. Aż odwiedził go p. Grocik,

który wielką okazywał radość z wyzdrowienia młodego autora.

— Powracasz nam pan nakoniec, co to za szczęście! Choroba pańska, stała się była powodem smutku powszechnego.

Rekonwalescent uśmiechnął się i pokiwał głową z niedowierzaniem niby.

— Przekonam pana o tem natychmiast.

Mówiąc to, wziął ze stołu numer jeden Kwiatów z przedkilkutygodniowej daty, i przewróciwszy takowy na stronicę, na której figurowała rubryka rozmaitości, podał go Adamowi. Adam przebiegł oczami wskazaną mu kolumnę. Przebiegł ją oczami i zbladł. Wyczytał wiadomość o chorobie swojej, pod nią zaś notatkę następującą:

„Miasto nasze dziwne obiegają pogłoski, co do zniknięcia panny E. R. z pałacu hrabiego M. Nie chcemy stawać się echem przypuszczeń i domysłów rozmaitych, mnogość i różnorodność których tłómaczy się dostatecznie nadzwyczajnością zdarzenia. To tylko pewna, że dziedziczka wielkiego imienia i wielkiej fortuny znikła bez śladu i wieści. Zdarzenie to zmusza nas marzyć o średnich wiekach, tak w niem dużo *niesamowitości*.“

— Widzisz więc pan — mówił p. Grocik — jakie żywe, jakie serdeczne, jakie głębokie obudziło się dla pana spółczucie. U pani Eulalii wspomniano o panu często, a był wieczór jeden wspomnieniu temu poświęcony całkowicie.

Adam, który głowę na piersi spuścił, podniósł ją nagle i zapytał:

— I dowiedziano się?

— O! — odparł p. Grocik. Dowiadujemy się. Ja sam ile razy pod kamienicą przechodziłem, nie

omieszkiwałem nigdy odźwiernego o zdrowie pańskie zapytać.

— O zniknięciu?

— Jakim?

Młody człowiek pokazał mu palcem notatkę o pannie E. R.

— A!—zawołał p. Grocik. Cha, cha, cha! Rzecz zabawna. Rodzina tai i maskować się stara, ale to pewna, że panna uciekła z kuchtą. O tem się nie mówi, my jednak wiemy z pewnością.

Adam się zachnął i zrobił ruch taki, jakby powiedzieć coś chciał. Zamiast jednak co powiedzieć, westchnął tylko i głowę spuścił.

Po wizycie Grocika gorączka mu się wzmogła. Musiał się znów położyć, lecz choroba nie powróciła już. Lekarz usunąć zdołał przyczynę pierwotną, którą jak się zdaje było przeziębienie, młodość zaś nie dopuściła recydywy i Adam po niej jakim czasie opuścił stanowczo łóżę boleści. Jesień nadchodziła, on zdrowiał, zdrowiał i wyzdrowiał nareszcie.

Wyzdrowiał, chciał się wiaść do pracy, ale—ani sposób.

Od biórka odganiało go coś, nakształt strachu.

Wydawca i koledzy, odwiedzając go, wciąż w ucho mu kładli:

— Pracuj.

Nadaremnie jednak!

Powiadali mu:

— Wyjdź na miasto, za miasto... do parku.... Lekarz ci to doradza, a i sam rozum zdrowy nakazuje, odetchnąć świeżem powietrzem. Wyjdź, przejdź się....

Adam się na to odważyć nie mógł. Ten sam strach,

co go od biórka odganiał, nie dawał mu się za próg izby wydalić.

— Tak jednak być nie może!—rzekł do niego Bolesław razu pewnego. Zmarnujesz się na nic.

Adam ramionami ścisnął. Po odejściu kolegi, chodził po izbie długo, myślał, zastanawiał się, medytował i wymedytował wkońcu postanowienie jakieś, albowiem nagle pakować się począł. Pakował się wieczór cały i cały poranek dnia następnego. Składał książki, wypróżniał szuflady, układał papiery i związywał takowe, część onych odrzucając do kominka; odzież zawijał w zawiniątka. Pod koniec zajęcia tego, pod papiery w kominku, których się nagromadziło dużo, ogień podłożył, płomień je ogarnął i w przeciągu minut kilku w perzynę obrócił. Spłonęło brulionów i listów mnóstwo, a w liczbie tych ostatnich i listy z małej szufladki. Adam przypatrywał się temu z uczuciem przyjemności, która mu się malowała na twarzy. Gdy ogień dzieła zniszczenia dokonał zupełnie, młody człowiek zadzwonił—Grzesz wszedł.

— A toż co?—zawołał zdziwiony. Pan tak się urządził, jakby od nas się wyprowadzić zamierzał.

— Wyprowadzam się, mój Grzesiu...

— Dokądże to, proszę pana?..

— Daleko... wyjadę...

— Na Boga... No... Ale... i jabyem wyjechał, gdyby można... Człowiekowi zachciewa się nieraz potryndać po świecie...

— Poprosz jejmości o rachunek i sprowadz mi fiakra...

W chwilę później, Adam zapłacił rachunek; pakunki jego Grzesz zniósł na dół; fiakr zajechał i po-

wiół młodego człowieka na dworzec kolei żelaznej.

Wyjazd Adama stał się powodem zdziwienia, różnego prawie temu, jakie wywołało zniknięcie panny E. R. Zagadano o tem, ale nie po salonach. Wyjątek pod tym względem stanowił salon pani Eulalii, gdzie na wieczorku najbliższym, zastanowiano się nad powodami usunięcia się gwiazdy jednej z horyzontu literackiego. Domyślano się powodów rozmaitych, zgodzono się atoli na to, że nie co innego, jeno wzgląd na zdrowie wywołał go z miasta.

— Adam, zdaje się — powiadał jeden — posiada rodzinę, krewnych...

— Nie mówił o nich nigdy — zauważył drugi.

— Przecież... Kozarscy — rzekł trzeci — nazwisko znane... szlachta herbowa...

— Dla czegoż się wyniósł ukradkiem? — zapytała pani Idealia. Czemu się nie pożegnał ze znajomymi i życzliwymi?..

— Ha! „są cuda w niebie i na ziemi“ — odezwał się pan Grocik. Zresztą tłumaczy się to i bez cudu... Choroba go zmitrężyła, zmogła, wprawiła go w stan odurzenia. Odwiedzałem go razy parę i dogadać się z nim nie mogłem... Zajmowały go rzeczy, nie mające z literaturą związku najmniejszego, jak naprzykład zniknięcie panny Emmy Rzemuskiej...

— Al.. al.. podchwyciła pani Idealia. Panna Emma zajmowała go i przed zniknięciem... Zapytywał mnie o nią razy parę... Czy niema w tem jakiej *koincydencji*?..

Analizowano przedmiot ten poszczegółowie, analiza atoli do żadnego nie doprowadziła rezultatu.

Koincydencya nie wykazała się, a to dla tego szczególnie, że najświeższe podania lokowały pannę Emmę we Włoszech, w towarzystwie trębacza od huzarów.

Po upływie tygodni kilku, zapomniano o Adamie, a raczej zajmować się nim zaprzestano. My atoli zrobimy odwrotnie: zaprzestaniemy zajmować się światem, w którym z nim zabraliśmy znajomość. Zabłądziliśmy tu mimochodem i z przyjemnością wracamy do świata wiejskiego, na horyzoncie którego pojawi się nasz Adam niebawem.

Czytelnik domyśla się zapewne, że młody autor w utrapieniu swoim i w upadku na duchu, nie gdzieindziej schronienia szukał, jeno u pana Andrzeja.

W Zahorowie był on oddawna gościem oczekiwanym. Pan Zgrzebłowicz pisywał do niego bardzo rzadko, raz na rok, zazwyczaj około świąt Bożego Narodzenia — posyłał mu opłatek i życzenia, do których nie zaniechiwał nigdy dołączać zaprosin następującej treści:

„Spodziewam się, że w roku następnym, jeżeli czas ci pozwoli, odwiedzisz nas na wsi i zabierzesz znajomość ze swoją ciotką, pragnącą poznać ciebie, i z rodzeństwem wujecznem, które kocha cię na niewidziane, mianowicie zaś imiennik twój, Adaś, mój pierworodny“.

Kolej żelazna powiozła Adama do stacyi o mil dziesiątek od Zahorowa oddalonej. Był to najbliższy od drogi żelaznej punkt. W punkcie tym najał, nie bez trudności, furę żydowską i tą w dalszą puścił się wędrowkę. Żyd furman obiecał w jednym dniu dowieźć go do kresu podróży

— Mil dziesięć! — reflektował go Adam.

— Nu, taj co!.. Mil dziesięć!.. Owa!.. Tylko świsnę na konie z batogiem, to one nie dziesięć a piętnaście, dwadzieścia mil duchem przelecą... O, moje konie!.. nie taką już one drogę robiły...

— A znasz dobrze drogę do Zahorowa?..

— Il.. jakżebym znać nie miał!.. Znam i Zahorów i pana Zgrzeblowicza, jak kieszenie moje... To się jedzie tak: na Kozubówkę. Mamraińce, Gawrony, mimo karczmy chrustowskiej, traktem wielkim do Skalicy, a ze Skalicy w prawo i Zahorów... Bodaż mi Bóg dał zdrowia tyle, ile ja tą drogą jeździł ..

Była środa. Wyjechali: zaledwie jednak zrobili pół mili, aliści koń zakulał. Trudna rada. Kulawym koniem pośpieszać nie sposób. ujechali mil dwie i stanęli na nocleg. Żyd potrafił nieszczęście moje z takiej przedstawić strony, że Adam za opóźnienie w podróży gniewać się nie mógł. Nazajutrz powtórzyło się to samo, z tą jednak różnicą, że udało się im zrobić podwójną mil ilość. Zawlekli się do Gawronów i z Gawronów dociągnąć zdołali do karczmy chrustowskiej.

— Nie dotrzymałeś obietnicy— przemówił Adam do furmana tonem wymówki.

— Ja nie obiecywałem, że koń mi zakuleje.

— Jutro jednak zajedziemy?

— Ny.... jak Pan Bóg da, ja nie wiem.

--- Wstańmy tylko do dnia.

Żyd na to nie odpowiedział nic, wciągnął wóz na podsien, ulokował konie przy żłobie i zabrał się do odprawiania nabożeństwa w koszuli śmiertelnej. Adam umieszczony został w izbie gościnnej, w której blask słaby szerzyła jedyna świeczka smarkatka, włożona w ogromny lichtarz mosiężny. Do

iedzenia nie znalazł nic innego, jak tylko jaja i chleb. Posilił się i spać poszedł; obudził się przed świtem, ale jechać dalej nie mógł. Furma . oświadczył mu, że konia w nocy *mysze* napadły.

— Cóż więc?

— Ny.... a cóż?

— Obietnica, panie furman.

— Czy ja obiecywał, że mysze konia mi napadną?

— Kiedyż wyjedziemy?

— Wyjedziemy kiedyś, jak Pan Bóg da doczekać.

— O południu?

Żyd czmoknął i głową pokręcił.

— Kiedyż więc?

— Albo ja wiem!

— Zaciągniemy jednak dziś do Zahorowa?

— Dziś? do Zahorowa? jeden koń kulawy, drugiemu krew puścić potrzeba.

— Panie furman! cóż to z tego będzie!—zawołał Adam zniecierpliwiony.

— A cóżby być miało!

— Może koń wyzdrowieje do wieczora.

— Może—odparł żyd obojętnie. A choć i wyzdrowieje.

— Jedźmy na całą noc.

— W szabas?....

Zapytał i usta jak do gwizdania złożył, odchodząc na stronę ze spokojem do rozpacz przyprować mógł.

Adam też, w rzeczy samej, rozpacz był blizki, ujrawszy przed sobą w perspektywie całych dni dwa, piątek i sobotę, spędzonych w karczmie na trakcie. Co tu począć?

Dwa dni podróży znudziły go setnie. Była to jednakże podróż; był to ruch, który, acz powolny,

sprawił atoli dystrakcyą jakąś. Część większą drogi odbywał Adam piechotą; idąc myślał, rozpatrywał się w okolicy, znajdował rozrywkę i dla umysłu i dla wzroku. Tu zaś, w karczmie, w towarzystwie tuzina bachurów—co go czekało?

Udał się do Ieka Rubinsztejna.

— Panie arendarzu—przemówił prośby tonem—czy nie moglibyście wystarać się dla mnie o furkę jakąś?

— Zkądże ja panu furkę wezmę? na trakcie, gdzie tu furka?

— Czy nie ma tu gdzie wsi jakiej w pobliżu?

— Ta czemu by być nie miała! Jest i nie jedna, 0 milę Gawrony, o pół mili Pużajków, o ćwierć mili Chrustów. I to uwieś, i to uwieś, i to uwieś.

— Gdybyście więc z Chrustowa naprzykład podwodę sprowadzili?

— Bi, bi—odpowiedział żyd, głową kręcąc. Podwodę? jaką podwodę? na co podwodę?

— Ażeby mnie odwiozła do Zahorowa.

— To pan do Zahorowa?

— Do mego wuja, p. Adama Zgrzebłowicza.

— E! pan Zgrzebłowicz, to wujaszek pański?—zapytał arendarz z oznaką ciekawości obudzonej.

Adam dał odpowiedź potwierdzającą, zapytując ze swojej strony:

— Znacie go, panie arendarzu?

— Phiii, jak swoje kieszenie. Pan Zgrzebłowicz wziął pannę z Chrustowa.

— Z tej wsi, co stąd o ćwierć mili?

— Z tej samej, ny. To pan o tem nie wiedział—rzekł żyd, w którym zapytanie Adama podejrzenie wzbudziło. Wun pański wujaszek, a pan nie wie, skąd wun sobie żonkę wziął.

— Nie wiedziałem.... ale.

W tej chwili Adamowi w głowie myśl błysnęła: udać się do Chrustowa z żądaniem pomocy. Potrzebował jednak pierwszej informacji niejakich.

— Ale—ciągnął—to nie przeszkadza temu, ażebym z rodziną wujenki mojej znajomości zabrać nie miał. Jakże się ona nazywa?

— Kto?

— Wujenka moja?

— Ny. Jak się nazywa? Nazywa się, pani Zgrzebłowiczowa.

— A z domu?

— Z domu? z Chrustowa, ze samego dworu.

— Ma ojca i matkę?

— Matki nie ma.

— A ojca?

— Ojca ma.

— Jakże jej ojcu na imię?

— Pan Szamota — odpowiedział żyd, do muru niejako przyciśnięty.

— Człowiek familijny?

— Te, ta, a jakże! owo—i kręcił Icek głową.

— A gdybym się ja do niego wprost udał?

— Nu, taj co!

— Czy to człowiek chętny i uczynny? Czy zechciałby mi zaradzić?

— Niech pan spróbuje — odparł żyd, ramionami ściskając.

— Ale jakże się dostać do Chrustowa owego?

— Drogą przez las, i za lasem jeszcze trochę.

W Ieku Adam, który najętą podróżował bryczką, i wiózł ze sobą książek dużo, nie wzbudzał uszanowania. Uczony goj, w oczach tych potomków Izraela, co się zakonu starego wiernie trzymają,

uchodzi w ogólności za rodzaj waryata, zasługującego przez pół na wzgardę, przez pół na politowanie. Książki bowiem, cóż one znaczą w obec księgi ksiąg, w której czytać mogą wybrańcy jeno! Icek więc przez ramię spoglądał na obarczonego książkami młodzieńca i ledwie mu na zapytania odpowiadać raczył, tak że się ten niczego u niego dopytać nie mógł.

— Można więc piechotą?

— Owa, czemu nie.

— A mojej książki?

— Co książki! — odparł żyd z pogardliwym ust wykrzywieniem.

— Czyż mogę je w karczmie bezpiecznie zostawić?

— Niechaj sobie leżą w kąciku, ot tam.

Wybrał się więc Adam na piechotę. Godzina była ósma rano, ruszył przez las, za lasem jeszcze trochę, i po półgodzinnym pośpiesznym pochodzie, ujrzał przed sobą wieś, a nad wsią wpół w sadzie ukryty dwór szlachecki. Wieś i dwór przedstawiały się pod postacią posępnego pejzażu jesiennego. Barwy żółte i czerwone migotały w powietrzu, pajęczyna się snuła, stada szpaków przenosiły się ni by wiatrem gnane, kawki i gawrony obsiadły wieże cerkiewne, napełniając powietrze krakaniem. Adam nie miał potrzeby dopytywać się o drogę do dworu. Wszedł na podwórze i ściągnął na siebie uwagę psów, które z głośnym szczekaniem otoczyły osobę jego. Młody człowiek, który większą część życia swego w mieście spędził, nie był przygotowanym na tego rodzaju spotkanie, i nie wiedział jak napastnikom czoło stawić. Psy go atakowały, on się cofał ku bramie, i byłby zapewne z podwórza się wycofał, gdyby mu nie nadbiegła pomoc.

— A zasz! Na ci!—odezwały się głosy od stajni!

Psy ochłoneły nieco w zapale, niebawem zaś usunęły się, gdy do nich przystąpił człowiek z widłami i pod opiekę swoją przybysza wziął. Człowieka tego zaczepił Adam na sposób miejski.

— Czy tu mieszka p. Szamota?

— A tu—była odpowiedź. To i gdzieżby indziej mieszkać miał!

— W domu pan?

— A jakże! W domu pan i panicz starszy i panicz młodszy.

— Są więc i panicze—pomyślał sobie Adam i zapytał: Czyby się nie można z paniczem widzieć?

— Czemu nie, a z którym?

— Ze starszym—odpowiedział na chybił trafił.

— Czemu nie—powtórzył człowiek z widłami.

— Proszę mnie zaprowadzić do niego.

I pod eskortą stajennego wkroczył Adam do dworu, wszedł do pokoju i w tym znalazł się w obec widowiska, które dla niego miało powab nowości. W izbie obszernej spało pokotem osób sześć. Za posłanie służyło im siano, przykryte kobiercami. Pozy ich były rozmaite. Temu się poduszka wysunęła z pod głowy, ten prześcieradło miał na sobie a kołdrę pod sobą, ów głowę pod nakrycie schował a nogi wystawił, jeden się skurezył, drugi wyciągnął i t. d. Adam wszedłszy bez pukania — przewodnik bowiem otworzył przed nim drzwi na ścieżaj — chciał się już cofnąć, gdy jeden ze śpiących obudził się, głowę podniósł i szeroko otwartymi oczami na niego spojrzął.

— Przepraszam—zaczął Adam—pragnąłbym zobaczyć się z młodym panem Szamota.

— Ze Stasiem?—zapytał obudzony.

— Tak—hm, z panem Stanisławem.

— Stasiu!—krzyknął tenże.

— Czego wrzeszczysz?—odezwał się głos z pod kołdry.

— Wytknij łeb i spojrzuj, ktoś się pyta o ciebie.

Staś głowę wytknął i zwrócił wzrok na Adama, nadając onemu wyraz pytający.

— Przychodzę do pana z prozbą — odezwał się Adam—zanim jednak do takowej przystąpię, pierwszej przedstawić się mu muszę. Jestem Adam Kozarski.

— Siostrzeniec Andrzeja?—zawołał Staś, zrywając się z pościeli.

— Tak jest.

— Ateka?

— Tak jest.

— A!—krzyknął i w tejże chwili, niby z procy, z legowiska wyskoczył. Jakież losy, jakież cuda sprowadzają tu ciebie. Przyjechałeś z Andrzejem? Andrzej u ojca? No i cóż?

Stanisław okazywał radość wielką, wyrażającą się w ten sposób, że Adamowi do słowa przyjść nie dawał.

— Toż nie z Zahorowa chyba wprost jedziecie? Gdzieżeście nocowali? u Szafranowicza zapewne, a może w Skalicy, albo w Gawronach? No? jak? Pamiętasz, razem byliśmy w szkołach, w klasie pierwszej, drugiej i trzeciej? w trzeciej tyś mnie zostawił, pamiętasz? Pamiętasz, jak mnie na oślej sadzano ławce? Chodź-że.

Wyprowadził go do pokoju przyległego i tam dopiero rozmowa porządniej się odbyła. Staś dowiedział się, że Adam przybywa bez wuja i że w karczmie nocował.

— To okropność! Jakże można było, stawać na noco ćwierć milki od Chrustowa, a do Chrustowa nie zajechać?

Musiał mu się Adam tłómaczyć, opowiadając peregrynację z żydem.

— A to coś straszego! Hej!—krzyknął na służbę — natychmiast konie moje do wózka zaprządz, i od Ieka rzeczy tego pana sprowadzić!

— Chciałbym się do Zahorowa dostać — wtrącił Adam.

— Dostaniesz się. Odwiozę ciebie. Ale, ponieważ nam w ręce wpadłeś, więc u nas dni parę zabawisz. Czy masz co przeciwko temu?

Adam odpowiedział na to ramion ściśnieniem.

— Niechże cię zapoznam z ojcem.

Stanisław poprowadził gościa do p. Marka, i zostawiwszy go na chwilę, dał paniom znać, że Ateka przyjechał.

-- Ateka! — zawołała pani Tulicka i oczami zamigotała.

— Ateka!—zawołała panna Aleksandra i zbladła.

— Ateka! — zawołała panna Ewa i odetchnęła głęboko.

Nazwisko to wywarło na płeć niewieścią pod dachem chrustowskiego domu wrażenie rozmaite. Pani Tulicka wyobraziła sobie w przybyłym niespodzianie gościu siostrzeńca p. Andrzeja, otoczonego blaskiem, który się jej nienaturalnym wydawał; dla p. Aleksandry był to pisarz znakomity, człowiek wyższy, istota posiadająca własność podnoszenia istot innych; p. Ewie przedstawił się on pod postacią człowieka.

Przedstawił się jej pod postacią człowieka.

Chciałem to ostatnie komentarzem opatrzyć. Wo-

lę jednak pozostawić tak jak jest, dodając jeno tę uwagę, że wyraz „człowiek,“ acz do zrozumienia łatwy, rozumie się jednak, raz tak, znów owak. Bywa człowiek a człowiek.

Pan Marek przyjął Adama bardzo uprzejmie, związał z nim gawędkę o drodze, o pogodzie, o panu Andrzeju i t. d. Gawędka ta niedługo trwała. Powrócił Stanisław i zawezwał do śniadania.

Śniadanie poprzedziła krótka pomiędzy matką a córką rozmowa.

— Ach, mamol!—zawołała panna Aleksandra—ta Ewunia!

— Cóż Ewunia?—zapytała matka.

— Ta Ewunia! Nie uwierzysz mameczka kochana, jaka ona.

— Wiem ja, moje dziecko. Znam ja ją.

— Oto, na przykład, przyjechał ten pan.

— Ten pan—powtórzyła pani Tulicka echowym sposobem.

— Zobaczy mamunia droga, jak ona go będzie...

— Kokietowała—dowiedziała matka.

— Zobaczy mameczka. Ale...

— A!—podchwyciła p. Tulicka. Niech tam sobie kokietuje! Co cię tam jakiś Zgrzebłowicza siostrzeniec obchodzić może.

— Ach! mamusieczko! Ateka!—zawołała Olesia

— I cóż z tego! Zawszeż on....

— Ateka!—podchwyciła panna.

— Siostra Zgrzebłowicza wyszła za niejakiego Kozarskiego.

— Tak, ale Ateka pisze książki i przez to jest tak, jakby nie był siostrzeńcem pana Andrzeja.

— Siostrzeńcem jest zawsze.

— Zapewne, ale, zachodzi tu coś, co go wyró-

źnia, podnosi, co stanowi arystokrację w swoim rodzaju.

Wyraz „arystokracja“ sprawił na p. Tulickiej wrażenie nie małe,—odparła:

— Przecież, moje dziecko, Ewunia nie zaćmi ciebie. Ludzie mają oczy. Ubierz się tylko.

O tem ostatniem i Olesia myślała, i miała już w głowie plan cały. Dzięki pułkownikowej, tajemnica stroju była jej znaną. Wiedziała, co znaczą pukle, kokardki, zawiązki, wabiki. Obmyśliła to wszystko, a tylko głowę nad następującem łamała pytaniem: czy wyjść do śniadania, czy nie wyjść? Wahała się. Uzupełniła swoją toaletę i wahała się jeszcze. Chodziło jej o to, ażeby Ateka nie pomyślał sobie, że się ona kwapi na spotkanie jego i o to również, ażeby ją ujrzał po raz pierwszy w pozie odpowiedniej. Czyż odpowiednią jest poza przy śniadaniu? z filiżanką w rękę? z bułeczką w gębie? Z drugiej atoli strony, Olesia wiedziała o potędze pierwszego wrażenia, które, gdyby ona do śniadania nie wyszła, przenieść się mogło na Ewunię. Gdyby nie Ewunia, o wyjściu aniby myślała. Po starałaby się pokazać najprzód młodemu autorowi zdaleka—w ogrodzie naprzykład, pomiędzy drzewami, z książką w rękę, w perspektywie poetycznie omglonej. Ale, ta Ewunia! Ona z pewnością do śniadania wyjdzie.

Olesia się wahała, wahała, aż nagle poskoczyła, do bawialnego pokoju pobiegła, przy fortepianie usiadła, nuty rozłożyła i w klawisze uderzyła. Z pod paluszków jej popłynęły akordy, tłómaczące jeden z nokturnów mistrza melodyj, Fryderyka Szopena. Sztuka graną była żywo i śmiało, palce

po klawiszach biegały szybko, fortepian szczebio-
tał i huczał, a egzekutorka myślała sobie:

Wejdzcie i zanim próg od jadalnego pokoju prze-
stąpi, usłyszysz nokturno, usłyszysz je pierwej aniżeli
obaczy Ewunię... o....

Wyobrażało się jej, że przez zajęcie zmysłu sły-
szczenia zneutralizuje się zmysł widzenia. Przypusz-
czenie to nie pozbawionem było podstaw racjonal-
nych. W rzeczy samej, zmysł jeden jest w stanie
zneutralizować drugi. Ale....

Adam, przestępując próg od pokoju jadalnego,
zatrzymał się na chwilę, ucha nadstawił i gorzko
się uśmiechnął.

Za stołem, na miejscu prezydyalnem, siedziała
p. Tulicka, obok niej p. Ewa.

Stanisław przedstawił gościa.

— Prezentuję cioci i tobie, Ewuniu, dawnego me-
go kolegę a siostrzeńca Andrzeja, pana Adama Ko-
zarskiego, vulgo Ateka, autora dzieł wielu prozą
i wierszem.

— Tylko nie wierszem — zaprotestował młody
człowiek, kłaniając się paniom.

— Wierzaj mi, pisałeś — odparł Stanisław.

— Nie popełniłem występku tego — była odpo-
wiedź Adama, zajmującego siedzenie naprzeciwko
panny Ewy.

— Czyż to występek? — odezwała się p. Tulicka.

— Względny, pani dobrodziejko — podchwycił
młody człowiek. Występkiem nazywa się kalecze-
nie wszelkiego rodzaju. Kaleczenie ciała bliźnich,
kaleczenie własności spółobywateli, ściگانemi by-
wają na drodze sądowej, kaleczenia mowy ojczystej,
kaleczenia muzyki zabrania sumienie.

A nokturno właśnie brzmiało.

Pani Tulicka nic nie odrzekła, p. Ewa usta nieznacznie zagryzła i przelotnem spojrzeniem gościa obrzuciła; Stanisław odchrząknął i odezwał się, mowę do Adama zwracając:

— Czy nie podziwiasz muzyki prześlicznej, do kawy nam przygrywającej?

— Podziwiam—odrzekł zapytany krótko.

— W mieście nie słyszałeś nic podobnego?

— Słyszałem i w mieście—odparł, niosąc filizankę do ust, w celu zapicia zapewne kawą akcentu, z jakim mimowolnie wyrazi te wymówił.

Pani Tulicka, rzuciwszy na Stanisława spojrzenie ukośne, podchwyciła:

— Córka moja ma nadzwyczajne w muzyce zamiłowanie. To ona gra. Grałaby od rana do wieczora, gdyby jej nie odrywać.

— I pięknie gra—dodał Stanisław. Z tem wszystkim oderwaćby ją potrzeba, ażeby jej kawa nie ostygła.

Ton mowy Stanisława był żartobliwy; gniewać się na niego nie było można, zwłaszcza w obec gościa, dla którego Olesia nastroiła panią Tulicką na ton przymusowego uszanowania. Pani Tulickiej przeto zadrzały jeno wargi, lecz się powściągnęła i głosem spokojnym odrzekła:

— A prawda. Olesia! Ole-siał—wołać zaczęła.

Po chwilec, muzyka umilkła i panna Aleksandra wkroczyła do sali jadalnej.

Wejście jej odbyło się wedle przepisów sztuki, zaprawionej własnem natchnieniem. Wsunęła się, nie!—wpłynęła, jak wpływa łódź na jezioro, spokojnie, poważnie, dumnie, obojętnie, dziwiła się ni-by troszeczkę, ujrawszy oblicze obce, skłoniła się od niechcenia i uprzejmiej nieco na Adama spojrze-

ła, gdy Stanisław przedstawił go jej pod nazwiskiem Ateki.

Pani Tulicka śledziła okiem wszystkie córki giesty i uśmiechnęła się do siebie, uśmiechem dumy macierzyńskiej. Oczy jej mówiły: niechże się kto równa z nią! Odetchnęła z głębi piersi, spojrziała przelotnie na Ewunię i podała Olesi kawy filiżankę.

Zapanowało chwilowo milczenie, będące niby hołdem względem p. Aleksandry, którą przez to inwitowano niejako do zabrania głosu.

Lecz ona głosu nie zabierała. Poprawiała sobie mankietki i przypatrywała się paluszkom swoim. Milczenie więc przerwał Stanisław. Odchrząknął, i zwracając mowę do Adama, rzekł:

— Dostałeś się ty tu, kolego, z deszczu pod rynną. Wyjechałeś z pomiędzy literatów i wpadłeś pomiędzy literatki. I siostra moja, Ewa, literatka, i kuzynka moja, Aleksandryna, także literatka, i to jeszcze jaka! Trzymaj-że się ostro, co się albumów tyczy.

— Ty, Stasiu, żartujesz zawsze — odezwała się pani Tulicka.

— Żartuję! Pokaże się to, gdy Ateka zabierze bliższą z pannami naszymi znajomość. Ośmiel je tylko do siebie, a będziesz miał i do gadania i do czytania dużo. Słyszałem ja o utworach wierszowanych, oczekujących na znawcę. Śliczne rzeczy!

Panna Aleksandryna odchrząknęła leciutko i kawę popiła.

— Uderz w stół, nożyce się odezwą — ciągnął Stanisław. Uprzedzonyś już, Adamie, i wiesz gdzie masz poszukiwać utworów poetycznych.

Stanisław utrzymywał rozmowę w tonie żartobliwym, który nie przypadłał do smaku ani p. Tulic-

kiej, ani pannom, ani Adamowi. Jeden tylko pan Marek uśmiechał się, Adam zaś, odpowiadając monosylabami, zwracał często oczy na pannę Ewę i miał w oczach wyraz strwożenia niby, niby zdziwienia, niby smutku, niby pomieszania jakiegoś. W odpowiedziach, jakie Stanisławowi dawał, język mu się plątał, jakby się znajdował w stanie roztargnienia. Wyrażnem było, że roztargnienie sprawia mu widok Ewuni. Nie zachodziła w tem nadzwyczajność żadna. „Adam był młody a Ewunia piękna.“ Ale, dla czegożby widok pięknej panienci sprowadzać miał strwożenie i smutek? W tem tkwił sęk jakiś, przedstawiający się pod postacią zagadki, której rozwiązaniem nie zajmował się nikt, nie wyłączając Adama samego, który nie umiał sobie sprawy zdać z tego, z kąd i co to za siła nieprzeparta wzrok jego trzyma w przykuciu niejako do oblicza pierwszy raz w życiu widzianej kobiety.

— Co to za siła?

Siła ta Adamowi nieznaną była. Ulegał jej bezwiednie i ze zdziwieniem niejakiem, tymczasem zaś, obok przyczyny naturalnej, przyciągającej młodego człowieka do młodej dziewczyny, zachodziła tu jeszcze i druga przyczyna, także naturalna. Adamowi się wydawało, jakby Ewunię oglądał w życiu nie po raz pierwszy. I w rzeczy samej tak było, tylko, że on oglądał nie ją, lecz jej, że tak się wyrażymy, sobowtór. Była nim topielica Pomiedzy nieboszczką, w nurtach pogrzebioną, a p. Ewą Szamocianką, nie zachodziło najmniejsze co do rysów oblicza podobieństwo. Zresztą tamtej Adam nie widział prawie. Mignęła się przed oczami jego, przy blasku latarni, patrzyła na niego przy pełganiu gwiazd i tyle. Najlepiej znał ją z fotografii,

a ta bynajmniej za fotografię panny Ewy uchodzić nie mogła. Ale przy blasku latarni i przy pęłganiu gwiazd schwyił i w pamięć sobie wrył oczów jej wyraz — wyraz, który miał familijne niejako do wyrazu oczów panny Ewy podobieństwo. To podobieństwo właśnie niepokoiło młodego człowieka. To spuszczał wzrok, to podnosił, znów spuszczał i znów podnosił, i zapytywał w duchu samego siebie:

— Co to znaczy?

Nie umiał sobie bowiem z podobieństwa tak nieujętnego sprawy zdać. Tłómaczył więc ten pociąg do patrzenia tak:

— Piękna dziewczyna! powabna! posiada więc urok, będący naturalną tego, co powabne, właściwością.

Pomimo tłómaczenie to jednak, w którem się analiza zawierała, urokowi oprzeć się nie mógł. Obok tego smutek go przygniatał. Parę razy, przy kawie, westchnął głęboko, parę razy wpadł w pewien rodzaj zapomnienia i nie odpowiadał na zapytania wprost do niego wystosowane. Dziwiło to i niepokoiło jego samego najbardziej.

— Cóż u licha! — napominał sam siebie w duchu. Miałżebym tak, od pierwszego spojrzenia, zaszłapać się w wieśniacze?

XII.

— Cóż więc? cóż więc? Niech-że mi pani dobrodziejka rozpowie ze szczegółami wszystkiemi.

W ten sposób przemówiła pułkownikowa do pani Tulickiej, gdy ta podała jej szczegóły niektóre pobytu Adama w Chrustowie.

— Ewunia, pani kochana, Ewunia, nie wiem, do-

prawdy zkaąd się ona tego nauczyła, afiszowała się w sposób prawdziwie przerażający—była pani Tulickiej odpowiedź.

— Cóż przecie?

— Ja pani drogiej opowiadać wszystkiego nie chcę.

— Ja bo jestem baba stara, więc mi wszystko opowiedzieć można.

— Tak, zapewne. Ale pani kochana zrozumie, że mam niejake dla brata Marka obowiązki—odrzekła p. Tulicka z westchnieniem.

— Ach! i ja prezesowi sprzyjam z duszy całej... Taki człowiek zacny! Dla tego też właśnie potrzebaby, ażebym wiedziała,—może co poradzę.

Wyraz ostatni był dla p. Tulickiej wyrazem rozstrzygającym. Rozproszył skrupuły sumienia, które ją powstrzymywały. Westchnęła i rzekła:

— Ach! żeby pani droga wiedziała, kilka dni pobytu tego Ateki przewróciły jej w głowie wszystko. Lazła do niego, narzucała się mu, prawie się mu na szyję rzucała.

Pułkownikowa język sobie po ustach powiodła i uśmiechnęła się.

— Wstyd wszystek straciła. Coś okropnego!

— I doszło do czego?

Pani Tulicka, na zapytanie to, ramionami wyraziście wzruszyła i oczy do góry podniosła.

— Są jednak poszlaki jakie?

— Al poszlaków na wołowej nie spisać skórze. Biedny ojciec! Mnie jednak, chodzi i o dziecko moje. Olesia.

Tu westchnęła.

— Cóż Olesia moja słodka?—zapytała pułkownikowa.

— Przypatrywać się musiała tym wszystkim manewrom panny, wstydu pozbawionej

— O! — zawołała p. Kawaska.

— To szczęście, że ona tego nie rozumie. Patrzyła więc, jak patrzy dziecko pięcioletnie. A Ewunia... ach!

Tu się za głowę wzięła.

— Czyż to co takiego ciekawego, ten młodzieniec? Przystojny?

— Dostyc, tak, tego mu odmówić nie można.

— I dobrze? W towarzystwie?

— Ehm! — odrzekła p. Tulicka z przyciskiem. Milczący, zamyślony, zdaje się w sobie zakochany.

— Zwyczajnie, jak autor — podchwyciła pułkownikowa. Znam ja to ziółko! Młody, puszy się — iście, jak paw' na folwarku, ale się prędko rozpija... Taki los wszystkich autorów, zwłaszcza od czasu, jak poszli na karm podnożny, bo dawniej, póki wielcy panowie utrzymywali ich po dworach, na równi z błaznami nadwornymi, małpami, papugami i niedźwiadkami obłaskawionemi, póty byli przyzwoitsi i skromniejsi. Ale te czasy minęły. Obecnie autorowie mają się za coś i nadymają się.

Dla p. Tulickiej słowa pułkownikowej były odkryciem. Olesia inaczej autorstwo jej przedstawiła, podając je za rodzaj arystokracji, która jej imponowała. Odrzekła więc głosem nieco zdziwionym:

— Proszę, pani kochana.

— Tak, tak, pani dobrodziejko — potwierdziła pułkownikowa. Autorowie, do czego oni służą?

— Do pisania książek.

— A książki?

— Do... hm — zająknęła się p. Tulicka.

— Do rozrywki, do zabawy, i autorowie przeto

służą nie do czego innego, tylko do rozrywki, do zabawy, jak pieski, kotki, ptaszki, jak skoczki na linie, kuglarze, komedyanci. O!—podniosła rękę—znam ja ich.

— Proszę pani, no, a Mickiewicz! — zaprotestowała niby pani Tulicka.

— Mickiewicz, pani kochana? i!—odparła pułkownikowa z giestem odpowiednim. Mówiąc między nami, cóż on? Koziółki językiem zręczniejsi aniżeli inni wywraçał. To sztuka, prawda, wielka sztuka. Ja tego nie potrafię. Z tej sztuki jednak co?

Pani Tulicka odpowiedzieć nie umiała.

— Trzeba rzeczy brać jak są — prawda pułkownikowa. Mieliśmy w pułku paru takich, co rymy układali. Mąż mój nieboszczyk nazywał ich rymarzami, cha, cha, cha! Lubie, kiedy rymy dobierają dzieci albo młode panienki, to ich rzecz, nie zaś ludzie pod wąsem.

— Prawda, pani kochana—odparła p. Tulicka.

— Ewunia więc garnęła się do kawalera?

— Ach! i jak. Olesia z nim dwóch słów pomówić nie mogła.

— I Olesia tedy?—zapytała p. Kawaska.

— O! bynajmniej—odpowiedziała p. Tulicka pośpiesznie. Olesia, zwyczajnie jak z gościem, mówić chciała, ażeby mu czas uprzyjemnić; ale gdzie tam!

Niech jednak czytelnik łaskawy p. Tulickiej na słowo nie wierzy. Rzeczy miały się odwrotnie. Olesia mówiła z Adamem, ile chciała, ale mówić z nim nie umiała. Pochodziło to ztąd, że się, jak to powiadają, sadziła. Wydawało się jej, że do człowieka, którego nazwisko figuruje na okładkach książek kilku, nie wypada przemawiać językiem mowy potocznej. Dobierała wyrazów, co jej się

udawało nie zawsze szczęśliwie, i często zacinała się, że ani rusz dalej. O jednym, naprzykład, pseudo-poecie wyraziła się, że „napiął złotostrunną harfę,“ i kiedy jej Adam wytłómaczył, że poeta ów był echem, przedrzeźniającem tony jednego z poetów prawdziwych, napięła się sama i w napięciu pozostała. Trudna więc z nią była rozmowa, nie dziw przeto, że się rwała i przechodziła na p. Ewę, która w obec Adama stawiała się nie jak Olesia, w charakterze istoty wyjątkowej, ale takiej, co szuka światła. I znajdowała je. Adam jej nie jedną wytłómaczyć mógł zagadkę. Ztąd pomiędzy nim a nią zawiązała się rodzaju pewnego zażyłość, która Olesię i raziła i gniewała i w zły humor wprawiała. Widziała, że młody człowiek przekłada kuzynkę jej nad nią, i rzecz naturalna, przekładanie to przypisywała sposobom sztucznym, do których uczuwała wstręt taki niemal, jaki w wiekach panowania przesądów uczuwano do uroków praktykowanych przez czarownice.

— Ach! ta Ewunia!—powiadała sobie często.

Wykrzyknik ten powtarzała matce.

Na wiarę wykrzyknika tego, w oczach p. Tulickiej piękna jej kuzynka przedstawiała się pod postacią potworu, którego giest każdy był występkiem, każdy wyraz zbrodnią. Niechęć do niej, z chwilą niemal każdą, wzrastała, potęgowała się, i wkońcu wylała przed zacną pułkownikową, która zwierzenia się p. Tulickiej przyjmowała z radością niewymowną, wietrząc w takowych zdaleka jakiś pieprzny i korzenny skandalik.

Pułkownikowej chodziło o rzecz jedną, a raczej o projekcik jeden, osnuty około osoby p. Jakóba.

Pan Jakób był jej koszmarem.

Pragnęła—jak wiemy—uratować go od kapucynstwa. W tym względzie nie widziała sposobu innego, jak tylko, dobranie dla niego małżonki takiej, któraby mu—jak się wyrażała—chód w świecie dała. Upatrzyła Olesię, zahipotekowaną na Chrustowie, przygłaskała ją, nastroiła, ale się wahała. Skojarzenie p. Jakóba z p. Aleksandrą, kładło tamę zajęciu, które jej wielką sprawiało przyjemność.

— Cóż—mówiła bratu—ożenisz się i kłapniesz.

Zachciewała dla niego karyery, pragnęła go wykierować, trochę dla własnej satysfakcyi, trochę na przekorę tym dwóm braciom bogatym, którzy, zajmąwszy stanowiska poważne, przez ramię spoglądali na nią i na pana Jakóba. Do wykierowania tego ostatniego, nie wydawała się jej Olesia odpowiednią, a to z tego głównie powodu, że miała u nóg pęta, w postaci matki. Pani Tulicka przedstawiała się z góry, jako tłóмок zbytuczny dla tego, co, wzięwszy jej córkę, chciałby z Chrustowa zrobić sobie pierwszy szczebel na drabinie karyery. Wahała się więc i o Ewuni myślała.

— Owoż tedy—odezwała się, gdy jej p. Tulicka o popełnionych przez tę ostatnią monstrualnościach rozpowiedziała — zabiorę ją na dni kilka do Gwronów.

Pani Tulicka wzdrygnęła się.

— Niech się pani kochana nie trwoży. Czynię to przez przyjaźń i przez szacunek, jaki mam dla pocziwego prezesa, któryby nie przeżył, gdyby... broń Boże, co się stało.

— O! nie przeżyłby—westchnęła p. Tulicka.

— A to człowiek taki zacny, taki pocziwy...

— Pocziwy—powtórzyła p. Tulicka—choć...
 — No?

— Miękki, bardzo miękki, słaby dla synów, słaby dla córki.

— Ewunia, zdaje się, jest faworytką ojcowską.

— Tak, niby.

— Więc ją zabiorę na dni kilka i postaram się wpłynąć na nią. Pani dobrodziejka wie, że ja....

— O! pani kochana! — podchwyciła p. Tulicka. Wiem ja, że pani.... Tylko, proszę mi wierzyć, Ewunia tak już zepsuta, że trudno, bardzo trudno na dobrą naprowadzić ją drogę.

— Sproбую jednak. Ja z różnymi i z różnemi do czynienia miałam....

— Jak się pani kochanej podoba.

I stało się, podług pułkownikowej życzenia. Ewunia pojechała z nią do Gawronów i postawioną została w obec tych samych sideł, w jakie się uwickłała Olesia. Pani Kawaska oddała ją w ręce kandydata do kapucynów i ten wziął się do niej, jak się brał do Olesi. Ale—trafiła kosa na kamień. Ewunia obojętnie przyjmowała owe imaginacyę rozpalające przedmioty, które p. Jakób za treść do rozmów brał i sprowadzała je na pole zupełnie obce. Kiedy on, naprzykład, mówił o potędze spojrzenia, to ona zapytywała o skład oka, o konstrukcyę wzroku, o mechanizm patrzenia i wprawiała go w ambaras nie mały. To samo działo się z kwestyami takimi, jak cera, jak jędrność ciała, jak kształty rączek i nóżek i t. d. On brał je z punktu okazowego, ona z punktu naukowego. Ciekawość jej szła w kierunku wręcz przeciwnym temu, w jakim ją pan Jakób zaspakajać usiłował, tak że rozmowa pomiędzy niemi była ciągiem jednym nieporozumienia, nie zabawnego dla jednej, nudnego dla drugiej strony.

— *Ah! quelle sotté!* Jak żyję, nie podobnego nie widziałem—uskarżał się brat przed siostrą.

Pułkownikowa pocieszała go i odwagę w nim podtrzymywała.

— *Allez toujours*—mówiła. Mała należy do osobnego czeczotek rodzaju, który, byle tylko na drogę wszedł, to już idzie.

— *Mais je perds tout mon latin avec elle.*

— Niechno się z nią rozmówię ja.

Posłała po Ewunię i w te do niej odezwała się słowa:

— Moja duszko, czy ty wiesz, żeś bez posagu?

— Domyślam się tego — była zapytanej odpowiedź.

— A więc?

— Chciałabym się usposobić tak, ażebym posag w samej sobie znalazła.

— Jakże ty to rozumiesz?

— Ażebym pożyteczną być mogła i sobie i drugim.

— I w czymże posag ów upatrujesz?

— W wiadomościach, w nauce.

Pułkownikowa głową z politowaniem pokiwała, i nagle ukazując palcem na Ewunię, zawołała:

— Masz go, nie w sobie, a na sobie, w twarzyczce twojej, w oczach, na ustach, na warkoczach, w uśmiechu, w ponętach postaci twojej! Ty, Ewuniu, alboś ślepa, alboś się w zwierciadło nie patrzyła nigdy. Posag twój ceni się w świecie wysoko, bylebyś tylko właściwy z niego użytek zrobić chciała. Tyś piękna, Ewuniu, tyś piękna.... Czy wiesz o tem?

— Wiem, pani Dobrodziejko—odrzekła dziewczyna spokojnie i bez uśmiechu samozadowolenia.

— A czy wiesz, jaki z wdzięków twoich użytek zrobić możesz?

Panna Ewa spojrzała nu panią Kawską w pół pytającym, w pół zdziwionym wzrokiem.

— Trzeba brać życie jak jest, trzeba brać ludzi jak są. My świata nie przerobimy. Ty powinnaś się postarać, wyjść jak najrychlej za męża za człowieka, któryby chciał i umiał na wielki cię wprowadzić świat. Wdzięki twoje i ciebie i męża zaprowadziłyby mogły wysoko. Wysoko... rozumiesz?... Zdobyć można, dla męża zaszczyty, dla siebie hołdy, zaszczyty i hołdy, zapewniające los, o który spółubiegają się wszyscy bez wyjątku, a który do ciebie, życie moje, uśmiecha się ponętnie. Wierz mi, ja baba stara i doświadczona, co mówię, tego nie mówię na wiatr.... Tyś stworzona nie dla wsi.

— Ja myślę — odpowiedziała Ewunia, oczy spuszczone — że ludzie w ogólności nie są tworzeni, jedni dla wsi, drudzy zaś nie dla wsi.

— Ot co! — podchwyciła pułkownikowa. Gdyby tak nie było, to nie zachodziłaby żadna pomiędzy wsią a miastem różnica. Czyż różnicy tej zaprzeczysz?

— Nie, pani, przeczyć jej nie mogę. Zdaje mi się jednak, iż nie tyczy się ona obowiązków, jakie wkłada towarzystwo na każdego z członków swoich, bez względu na to, czy jest on wsi, czy miasta mieszkańcem.

— Obowiązki tyczą się przede wszystkim osoby własnej — odparła p. Kawka.

— I nakazują — wtrąciła panienka — osobę tę szanować.

— Nie ubierać jej — ciągnęła pułkownikowa — w dziurawe trzewiki, w cerowane pończochy, w sztu-

kowane sukienki, ale, przeciwnie, zaopatrzyć ją, jeżeli można, w środki jak najdonioślejsze, przy pomocy których pełnić można obowiązki, przyspiewując sobie.

— Środki bywają godziwe i niegodziwe.

— Ciekawam, jakie ty niegodziwemi nazywasz.

— Te, pani, które moralność obrażają.

— Otóż widzisz, gdybym cię zapytała, co to moralność, tobyś mi odpowiedzieć nie umiała.

— Mnie się zdaje, żebym umiała—odrzekła dziewczyna, oczy na pułkownikową podnosząc.

— A no?

— Moralność jest to życie przykładne, w odniesieniu do tego, co doświadczenie wieków uznaje jako różnicę pomiędzy złem a dobrem.

Pułkownikowa spojrzała na Ewunię i oczy przy mrużyła. Spodziewała się odpowiedzi innej i miała już replikę gotową. Zdziwiła więc ją definicya filozoficzna, której sensu i znaczenia schwycić nie zdołała.

— Rozpoznanie złego i dobrego—ciągnęła Ewunia głosem naturalnym—jest owocem doświadczenia, z którego sens wyciągnął Chrystus, polecając ludziom nie czynić tego, czego nie chcą, ażeby im czyniono.

— A, a—przerwała pułkownikowa — ty zagadki znasz, a zagadkami ludzie nie żyją.

— Pani pułkownikowo, w tem, com powiedziała, zagadkowego niema nic.

— Czemuż ja nic a nic nie rozumiem! Mniejsza jednak o to. Jeżeli moralność znajduje się gdzieindziej niż w katechizmie, niech się sobie znajduje: ja o tem ani wiem, ani wiedzieć chcę; wiem zaś, że nie występne go nie może być w tem, co ludzie sza-

cunkiem otaczają, przed czem czołem biją i na co sarkają nie inaczej, jak pokątnie. Zostań jeno magnatką, zobaczysz, jakimi cię wnet otoczą hołdami! Będą cię czcili, jak obraz cudowny, i chociażbyś do bogactw doszła drogą najgorszą, będą cię podawali jako wzór cnót i doskonałości... Zostań jeno magnatką, a ręczę ci, taką wonią cnotliwości się otoczysz, że pójdziesz wprost do nieba.

— Pani — odezwała się panna Ewa tonem prośby—ja o tem nie myślę wcale.

— Myśląc o moralności—odparła pułkownikowa z przekąsem niejaki—myśleć powinnaś i o nagrodach za takową.

Ewunia się uśmiechnęła, uśmiechem politowania, wstała i odparła:

— Nagrody bywają kupne albo zasłużone. Pierwsze osiąga się za pomocą bogactw, drugie drogą pracy. W oczach moich te tylko ostatnie mają wartość rzeczywistą, tamte zaś są bez znaczenia.

— Dziecko, dziecko — odrzekła pułkownikowa, głową kiwając. Pstrzy się tobie w głowinie; widać żeś przeczytała książek dużo i roi się tobie; wiedz jednak o tem, że książki i życie są to rzeczy całę różne, które, jeżeli godzić zechcesz, złamiesz się, styrasz i niczego nie dopniesz. A szkoda ciebie.... Pan Bóg obdarzył cię takimi przymiotami, których, doprawdy, marnować się nie godzi.

Ewunia westchnęła zcicha.

— Sprzyjam ci z serca całego—ciągnęła p. Kaw-ska. Żał mi ciebie. Chodź, niech cię uściskam.

Wyciągnęła do panienki ramiona i ta pochyliła się w nie, ale z takim niesmaku akcentem, że pułkownikowa nie mogła jej tak uścisnąć, jakby należało. Ogarnęła ją rękami, do piersi przytuliła i pu-

ściła. Panna Ewa natychmiast o powóz i konie poprosiła.

— Co! Chcesz już mnie osamotniać?

— Tęskno mi bardzo do ojca i braci.

— Może i jeszcze do kogo?—zapytała p. Kawaska.

— Do kogóżby?

— Do świecącego na zachorowskim horyzoncie młodego poety?

— Nie, nie wiem—odpowiedziała Ewunia, tonem lekkiej urazy, pochodzącej z dumy owej dziewczęcej, co to zaprzecza prawa wglądania w pewne tajemnice.

— Przyznaj się—nalegała pułkownikowa.

— Nie mam się przyznawać do czego, a proszę pani łaskawej, bardzo proszę o pozwolenie mi odjechania do Chrustowa.

— Nie mam prawa odmawiania ci pozwolenia tego. Jedź, kiedy taka wola twoja; powiem ci tylko, że Olesia była na mnie łaskawszą, względniejszą, była dla biednej staruchy, od wszystkich opuszczonej.

Były to strzały ostatnie, za pomocą których pułkownikowa starała się trafić do serca dziewczyny, próbując, azali w takowem nie da się zrobić wyłom otwierający przystęp do przekonania. Strzały te atoli bokiem poszły. Ewunia, po rozmowie z pułkownikową, tak silne powzięła postanowienie powrócenia niezwłocznie do Chrustowa, że byłaby odeszła piechotą, byłaby uciekła, gdyby z odesłaniem jej zwlekano. Powóz zaszedł przed ganek; zawiniątko jej wyniesiono; dygnęła zdaleka p. Jakóbowi, który jej głęboki złożył ukłon, przytknęła usta do ramienia pułkownikowej, która uścisnąć jej czasu nie miała; wybiegła i zaledwie powstrzymać

się zdołała od mamrotania na woźnicę: ruszaj! prę-
dziej!

Za odjeżdżającą, p. Kawaska następujący posłała
wyraz, trzykrotnie wymówiony:

— Głupia, głupia, głupia.

— A co, pani siostrze?—odezwał się p. Jakób.

— Miałeś racją, phiii, co za fanaberya! Naczy-
tało się to książek i nadziało sobie głowę błazeń-
stwami. A szkoda! buziak choć maluj. Gdyby ją
z szykiem na wystawie wielkiego świata pokazać,
zawróciłaby głowę nie jednemu. Tak jednak jak
jest, niema co. Nie dla ciebie ona. Jej potrzeba
męża, któryby jej mściankę wziął w cugle krótko,
w ostrogi ostro i wypędził jej fonfry z głowy a mu-
chy z nosa. Trzymajmy się my Olesi kochasi, le-
pszy tyć jak nie, chociaż przyznam się tobie nie bar-
dzo mi do gustu przypada ta polygamia, która cię
w pożyciu z nią czeka.

— Ha!—odezwał się p. Jakób z naciskiem rezy-
gnacyi.

— Brać ją, a z nią taką mamunię.... no! Możebyś
ty wolał w kapucyny pójść?

— Hm....

— Powiedz prawdę. Czy wolisz Olesię z matką
i Chrustów w dodatku, czy też mury klasztorne?

— Matka wiekowa.

— Nie licz na to. Baba zawiędła, będzie żyła
a żyła, przeżyć gotowa i ciebie i córkę.

Pan Jakób pomyślał przez chwilę i odrzekł:

— Chrustów jednak. Z drugiej atoli strony, pan
Marek. Pomiędzy Tulicką a nim zachodzą stosun-
ki jakies, i jak długo on żyje....

— Jak długo — przerwała pułkownikowa. I!....
śmiej się z tego. Stary nie pociągnie, z tej strony

spokojnym być możesz. Wytrzyma jeszcze może marzec jeden, drugi i, jak tylko oczy zamknie, Tulicka wszystkich Stasiów, Guciów, het, z Chrustowa wymiecie. Co do tego, mój Jakóbcu, niech ciębie głowa nie boli; możesz się na babę spuścić, uwinie się gracko i z energią potrzebną. Mnie co innego w głowie ćwiekiem siedzi.

— Cóż takiego?

— Wybranie momentu stosownego do skojarzenia ciębie z Olesia.

— Ja gotów chećby natychmiast.

— Ba! A chciałbys w komornem w Chrustowie osiadać?

Pan Jakób skrzywił się, jak—jak to powiadają—środa na czwartek.

— Czekaj więc. Baba starego Szamoty nie wyrzuci.

— Ale, gdy on się wyniesie sam.

— To co?

— To właścicielkę Chrustowa otoczy gachów taka zgraja, że...

— Ty się nie przebijesz przez nią — dokończyła pułkownikowa. To prawda. Widzisz, co to za kłopoty! i jaki to trzeba posiadać rozum delikatny, ażeby wykombinować jak należy.

Przez chwilę p. Jakób w okno patrzył, trzymając wzrok na tym samym krzyżu, pod którym przed laty siostra jego zobaczyła była galopujących oficerów, a śród nich sążonego swego; przez chwilę pułkownikowa milczała, aż wreszcie odezwała się:

— Ha! tu rady innej niema, tylko... pilnować potrzeba. Ja będę Tulickiej dozorowała, ty Olesi bakę świeć, a gdy dostrzeżemy, że starego moment nadchodzi, wówczas, *en avant!* deklaracja, oświad-

czyny, zaręczyny, ze ślubem zaś tak zamańwrować potrzeba, ażeby się odbył na dzień, na dni dwa, najwyżej na trzy przed śmiercią starego.

— Możeby z deklaracją, z oświadczynami i z zaręczynami załatwić się zawczasu, odkładając szlubowiny na później—zauważył p. Jakób.

— E! widzisz go! w jakiej to on gorącej wodzie kąpany—odrzekła pułkownikowa żartobliwie. Nie. Pośpiech zbyt szyki nam popsuć może. Zapytają: co to? Obudzi to uwagę Stasiów, Guciów, ze starym pogadają, stary o dzieciach pomyśli, z Tuličką rachunki zrobi, Zgrzebłowicza na pomoc przywoła i tobie się krzywda stanie.

— Hm—mruknał p. Jakób.

— Nie, czekajmy i dozorujmy. Zmieńmy się w żółwie, wysiadujące jaja zapomocą patrzenia.

— Chrustów cały, to drobiazg — wtrącił zaeny p. Jakób—wart nie więcej jak talarów trzydzieści tysięcy.

— Fortuna bardzo skromna — dorzuciła pułkownikowa — przydatna jedynie na wykup od kapucynów.

— A z nią jeszcze i mama.

— O! widzisz. Namysł ty się dobrze.... Tu idzie o ofiarę. Ofiara tak, ofiara siak, w klasztorze bez kłopotów; w stanie zaś małżeńskim, są wprawdzie przyjemności, których klasztor nie posiada, ale są i kłopoty. No?

— Tyżes sama przecież tę Olesię wynalazła.

— Tak, ale to dla tego tylko, ażeby tobie wybór rodzaju ofiary podać, ażebyś nie powiedział, że cię do klasztoru wypchnęła. Masz wybór, masz mnie do rozporządzenia, ja siebie nie pożałuję. No?

— Gdyby nie mamunia, nie wahałbym się ani chwili.

— Nie wahaj się, wybieraj, bo stać się tak może, że ci pannę z przed nosa schwyca.

— O?—zawołał pan Jakób tonem lekkiego zdziwienia, niedowierzaniem nacechowanego.

— Nie żartuj z ogniem. Zjawił się tam poeta jakiś, do którego i Ewunia i Olesia garną się, jak igielki do magnesu.

— Toż Ewunia w sam raz dla poety — odrzekł p. Jakób z przekąsem.

— Tak, ale, jeżeli młokos zwącha, że Ewunia, z wyjątkiem buziaka nie posiada nic, a Olesia Chrustów w garści trzyma, he?

Pan Jakób głową wstrząsnął i brwiami mrugnął.

— Już ja tam Tulickiej o poetach nagadała. Trzeba jednak, żebyś i ty na ostrożności się miał, jeżeli nie przekładasz klasztornej zaciszy nad żywot w obywatelstwie. No?

Na postawione po raz trzeci zapytanie, trzeba było nareszcie dać odpowiedź stanowczą. Pan Jakób ręką machnął i odparł:

— A! Na pójscie do klasztoru czas zawsze będzie.

— I ja jestem tego zdania.

— Sprobować więc gotówem słodczy stanu małżeńskiego.

— Nawet, pod okiem i opieką p. Tulickiej?—zapytała pułkownikowa z uśmiechem.

— Nawet.

— A, anżoliwujże ty panienkę (wyraz anżoliwuj wzięła zapewne p. Kawaska z francuzkiego *enjoliver*), a ja będę babę stroiła jak na roraty. *Du courage, bonne espérance.* Ty rób swoje, ja będę robiła swoje, dobrej sprawie Bóg błogosławi.

Ostatnie wyrazy cechowała ironia. Pułkownikowa wiedziała, że popierana przez nią sprawa, nie jest wcale dobrą; popierała ją jednak właśnie dla tego. Taka była jej natura. Spraw dobrych nie lubiła, nie dla tego, żeby ich uznawać nie miała, ale dla tego, że wydawały się jej ekliwemi, pospolitemi, sentymentalnemi, nrdnemi, bez życia, bez ruchu, bez racyi bytu w odniesieniu do tego, co umysł zająć może. Dobra sprawa! Na wyrazy te p. Kawaska oczy zawracała i minę nabożnie nastrajała, ale, za żadne świata skarby, rękiby do niej nie przyłożyła. Wydawało się jej, że to rzecz specjalistów: nauczycieli, księży, zresztą dziwaków, biorących na seryo morały dzieciom prawione wraz z bajeczkami o kotkach kulawych, o żabach gadających, o Jasiach sukienki plamiących i o tym podobnych prawdach. Tolerowała to, okazywała się łaskawą dla moralności, ale, żeby aż popierać ją miała — a! Uważała to za rzecz niewłaściwą dla ludzi dojrzałych.

W kilka dni po odjeździe Ewuni, pojechała pułkownikowa z wizytą do Chrustowa.

W Chrustowie, jak zwykle, zastała osób parę. Stasia nie było, Gucio polował. pan Marek gości bawił.

Celem wizyty pułkownikowej było zbadanie stanu zdrowia tego ostatniego.

— I jakże tam prezes dobrodziej?

— At, asani dobrodziejko — odparł zapytany, głową kiwając.

— Prezes, Bogu dzięki, wygląda jak róża.

— Al — ręką machnął. Jak wyglądam, tego nie wiem, czuję jednak na sobie palec czasu.

— O! któż, usłyszawszy to, pomyślećby gotów, że prezes stary.

— Ano, mości dobrodziejko, siedmdziesiątka za pasem.

— Cóż tam! siedmdziesiątka?

— Tak, tak. Czuję też ją w nogach, w krzyżach, w bokach; rusztowanie dezoluje się powoli.

— Wytrzyma ono długo jeszcze.

— Kto wie? Opanowuje mnie niekiedy ociężałość jakaś, jakaś sennaść.

Pułkownikowa pilnie oczami przymrużonemi panu Markowi w oczy patrzała, i po chwili, głową lekko wstrząsnawszy, jakby dla zanotowania sobie w pamięci postrzeżenia jakiegoś, zapytała:

— Ale prezes dobrodziej chorym się nie czuje?

— Chorym? hm. Gdybym lat temu dwadzieścia czuł się tak jak dziś, to miałbym się za bardzo chorego.

— Możeby się poradzić lekarza?

— Jeszcze co!—zawołał p. Marek. Jak żyję, nie zadawałem się z lekarzami.

— Możeby pojechać do kąpieli jakich?

— II—machnął starzec dłonią. Kąpiele nie odmładzają, a moją chorobą jest nie co innego, jak tylko ucieczka młodości bezpowrotna. Byłem młody, byłem zdrów bez lekarzy i kąpieli.

— Te jednakże bóle w nogach, w krzyżach, w boku....

— Ustaną one, gdy się obok mojej Róży położę.

— Ach, panie kochany!—zawołała pani Kawka. Niechże się prezes w ten sposób nie odzywa, bo i ja gotowam zacząć lata sobie liczyć.

— Asani dobrodziejka młodsza odemnie.

— Nie bardzo.

— O, młodsza, o lat przynajmniej....

Pan Marek począł przypominać sobie, pułkownikowa podpowiedziała:

— Dziesięć.

— Więcej. O lat? o lat?

— Dwadzieścia najwyżej.

— Ba, piętnaście, tak. Byłem już sporym wyrostkiem, kiedy, pamiętam, przyjechawszy raz ze szkół na święta Bożego Narodzenia, pojechałem ze świętej pamięci rodzicami na chrzciny do Gawronów. Przypominam sobie te chrzciny. Zamianowany na nich zostałem narzeczonym asani dobrodziejki.

— Niechże prezes takich nie przypomina rzeczy! — podchwyciła pułkownikowa żartobliwie.

— A to?

— Ba, a nuż upomnę się o dotrzymanie słowa.

— Pani dobrodziejko! — odparł pan Marek, ręką machnąwszy a głową kiwając. Nie miałabyś pani pociechy ze mnie.

— No no, bywają starcy więcej od młodych warcici, zwłaszcza w naszych czasach.

— To prawda — odrzekł p. Marek.

— Niech więc prezes dobrodziej nie wyrzeka, ani na wiek swój, ani na dolegliwości. Da Bóg, pozjemy jeszcze lat dziesiątek kilka.

Pan Marek westchnął. Pułkownikowa zwróciła się z rozmową do p. Tulickiej i mówiła z nią o rzeczach potocznych, utrzymując materję tyczącą się pogody i deszczu, krochmalu i lazurku tak długo, aż starzec usunął się i z salonu wyszedł. Wreszcie przeskoczyła odrazu do materji innej.

— No i jakże tam — zagabnęła — Ewunia?

— Ach! — odparła p. Tulicka i ręką machnęła.

— Mówiłam z nią, przemawiałam po macierzyńsku, ale....

— Widzi, pani kochana!

— Miała pani rację.

— A co!

— Jakże, gdy z Gawronów powróciła?

— Ona to, przy wszystkim, jest skryta, nadzwyczajnie skryta.

— Nie opowiadała nic?

— Nic a nic, pani kochana. Widać tylko po niej było, że jej nie w smak poszło, była bowiem w humorze gorszym niż zwykle. O! jam się odrazu domyśliła, że pani musiała jej dać dobrą moralną nauzkę.

— Mówiłam jej po macierzyńsku, powiadam pani.

— Domyśliłyśmy się tego, i ja i Olesia. Olesia się nad nią lituje.

— I dla czegoż to?

— Ot tak. Nie wyobrazi sobie pani droga, co to za serce dobre! Taka tkliwa! Jak tylko spostrzegła, że Ewunia zasepiona, natychmiast powiedziała do mnie: proszę mameczki, coś jej się stało, biedna ona. Chciała ją pocieszać, ale.... groch o ścianę.

— Anielska natura! złote serduszko! — wtrąciła pułkownikowa od niechcienia niby.

— O! mogę to śmiało przyznać, pomimo, że to córka moja. Serca podobnego nie znaleźć chyba. Musiało jednak Ewuni źle jakoś pójść z panem hrabią, bratem pani dobrodziejki.

— Albo co?—zapytała pani Kawaska.

— Bo kiedy ją Olesia o pana hrabiego zagabnęła, to odpowiedziała w sposób prawdziwie brutalny.

— No?

— Nie wiem, prawdziwie, zkąd się tego nauczy-

ła. Wyraziła się tak nieprzyzwoicie, jakby najmniejszego nie miała wychowania

— Przecie? Pani dobrodziejka zaciekawia mnie. Mój brat nie mógł się jej narazić niczem.

— Czemżeby mógł się narazić człowiek tak pięknie wychowany!

— Cóż powiedziała?

— Nazwała, proszę pani kochanej, nazwała pana hrabiego, niedołągą i osłem.

— O! — zawołała p. Kawska, jakby zdumiona.

— Ja też Olesi mówiłam: jak może Ewunia porywać się do wydawania opinii o ludziach takich, jak pan hrabia!

— Wiem ja, zkąd ta niełaska pochodzi — były słowa pułkownikowej. Brat mój delikatnie, ale bardzo delikatnie, dał Ewuni do zrozumienia, że jest troszeczkę zarozumiała. Obraziło to ją widać.

— Otóż to! A obrażać się nie było czego, bo to prawda, wielka prawda. Jest zarozumiała w rzeczy samej, ale nie troszeczką — bardzo. Lubi pochlebstwa i pochwały. Ot, ponieważ pan hrabia prawdę jej powiedział, obraziła się i wymyśla nań od takich wyrazów, których się chyba w piekarni nauczyć mogła; ponieważ zaś Ateka wdzieczył się do niej, więc się nad nim unosi.

— Unosi się?

— Nie inaczej. A proszę pani kochanej, niech pani sama rozważy: co za porównanie pomiędzy panem hrabią a Ateką! To człowiek, to zaś, z przeproszeniem, autor jakiś.

— Biedny Jakób! — odezwała się pułkownikowa z przekąsem politowaniem. No, i proszę.

— Spodziewam się, że opinia Ewuni — zaczęła pani Tulicka.

— Nie wiele go obchodzi, o, tak. Zabolałby jednak głęboko, gdyby się dowiedział, że opinię tę Olesia podziela choć w części.

— Ach!—zawołała p. Tulicka. I jakże pani kochana może coś podobnego przypuścić!

— No widzi pani, młoda dziewczyna! Młode dziewczęta, to stworzenia takie łatwowierne!

— Ale nie moja Olesia—protestowała matka.

— Mówię to w ogólności, wymieniając Olesię w sposób przypadkowy niejako. Bo co się Olesii tyczy, mojej kochanej Olesii, to jej pewną jestem. Olesia może i nie wie o tem, że ja ją kocham, a brat Jakób ją wielbi. Ja ją kocham, on ją wielbi.

— Pani droga!—wtrąciła rozrzewniona pani Tulicka.

— Ja ją kocham, on ją wielbi — powtórzyła pułkownikowa po raz trzeci ze spotęgowaną dobitnością—tak że nie raz mi na myśl przychodzi....

Tu pułkownikowa niby się zacięła.

— Co, pani droga?—zapytała p. Tulicka.

— Nie raz mi na myśl przychodzi, że on oszalałby chyba, gdyby Olesia wyszła za jakiego Atekę.

— Zkądże przypuszczenie podobne!

— Albo to pani wie, za kogo ją pani wyda?

Pani Tulicka zastanowiła się na te wyrazy, rzucane, jak Francuzi powiadają *à brulle point*.

— Pani nie jesteś w stanie przyszłego zięcia swego na wylot przejrzeć. Ten, co się do jej ręki posunie, ułoży się, weźmie na siebie skórę owczą, ach!

— Pani droga! — zawołała pani Tulicka głosem przerażenia.

— Musisz ją jednak pani za męża wydać.

Pani Tulicka westchnęła głęboko.

— Gdyby ona moją była, nie oddałabym jej, jak

tylko człowiekowi wytrawnemu, pewnemu, kochającemu ją, ocenić ją umięjącemu i dobrze u niej samej znajomemu.

— Jestże człowiek taki?

— Jest, znajdzie się — odrzekła p. Kawaska, wyciągając rękę z gięstem namaszczenia. Niech pani tylko Ateków od córki odpędza, ażeby jej, broń Boże, główki nie zawrócili. W Bogu nadzieja.

— I w pani kochanej — dodała p. Tulicka z przymleniem.

XIII.

W rzeczy samej, Ewunia garnęła się do młodego autora. Stało się to w sposób naturalny. Inaczej być nie mogło. Adam gromadził w osobie swojej trzy zalety, które posiadały własność trzech magnesów, działających w sposób pociągający. Pierwszym z magnesów owych był jego charakter autorski.

Autor pod strzechami dworów naszych szlacheckich, instynktowie odczuwających potrzeby i zadania chwili, posiada, z góry mu niejako zapewnione poszanowanie. Oddają mu hołd mimowolnie i mimowiednie. Z hołdu tego niejedyn wytlómaczyłyby się nie umiał. Oddają go jednak, jak w czasach dawniejszych, kiedy ogień uważanym był za dar niebios ludziom do pielęgnowania powierzony oddawano hołdy tym, co posiadali tajemnicę przechowywania iskier w popiele i rozdmuchiwania ogniska z zarzewia. I autorstwo w pewnym względzie tajemnicę tę w łonie swoim piastuje. Ztąd ten szacunek, jaki je otacza w tej sferze społecznej, która o tyle jest ukształconą, iż potrzeby narodu od-

czuwa, nie jest zaś tak dalece zepsuta, ażeby takowe lekceważyć miała, jak się to praktykuje niekiedy po „pałacach sterczących dumnie“.

Ten więc magnes był pierwszym, który niezależnie od powierzchowności, od sposobu znajdowania się w towarzystwie, od majątku, od wszystkich innych mniej więcej cennych zalet, pociągał Ewunię do Adama.

Drugi magnes zawierał się w tem, że Adam do tego należał stronnictwa, niedawno w świecie wyłączonego, które na stosunek płci męskiej do płci niewieściej zapatruje się z punktu zupełnej równości.

Dawniej tego nie było, Zdarzało się wprawdzie i nawet dosyć często, że mąż żonę, zwłaszcza, jeżeli do tego zmuszonym był energią jejmości, traktował seryo. Ojciec względem córki powagę zachowywać się starał. Poza małżonkami atoli i ojcami, wszyscy inni zwracali się ku kobietom z uśmiechem na ustach, jeżeli nie obłudnym to żartobliwym, jeżeli nie żartobliwym to drwiącym. Dostać od kobiety w policzek nie uważało się bynajmniej za obrazę honoru. Ztąd wytwarzał się stosunek naprężony. Dwie płcie, których harmonia powinna być podwaliną ustroju społecznego, jeżeli ludziom na seryo, nie mówiąc o czem innem, o porządek chodzi, wysiłały się na to, ażeby się wzajemnie oszukiwać!

To też zjawienie się człowieka, który przemówił seryo, taki na Ewunię wywarło wpływ, że gotową była modlić się do niego.

Trzeci magnes posiadał także niepoślednią siłę pociągu. Adam był autorem, co szkoły skończył. Jestto niby nic, można bowiem autorstwo wyimprovizować w sobie, pisać gładko, z talentem nawet; jestto jednak rzecz wagi nie małej. Szkoły nadają

· autorstwu klej—i gdy klej ów wejdzie w styczność z taką jak Ewunia istotą, to niema sposobu, ażeby istota owa nie lgnęła do autora.

Lgnęła więc Ewunia do Adama. Na drugi już dzień pobytu jego w Chrustowie wytworzyła się pomiędzy nimi zażyłość wzajemna, sprawiająca to, że im być razem bardzo było miło.

Zawadzała im Olesia, nie bardzo jednak. Nie mieli tajemnic do udzielania sobie żadnych, obecność przeto osoby trzeciej, jeżeli z jednej strony przeszkadzała trochę, to z drugiej przyczyniała się do urozmaicenia rozmów, do przeskakiwania z przedmiotu na przedmiot.

Adam chodził w uniwersytecie na wydział nauk naturalnych, pracował niezależnie od wykładów szkolnych, posiadał więc w tym względzie wiadomości rozległe, których przytem udzielać umiał w sposób łatwy i przystępny, co Ewunię i dziwiło i zachwycało.

— Panie Adamie—zapytała razu pewnego—czy wszystko, co naukę stanowi, tak jest łatwem i przystępnem, jak to, co nam pan opowiadasz?..

— Jest, pani, łatwem — była młodego człowieka odpowiedź. Potrzeba jeno wiadomości kolejno zdobywać, tak jak one wypływają jedne z drugich... Postępując w ten sposób, nie łatwiejszego jak nauczyć się...

— I kobieta by dopiąć tego mogła?..

— Czemu nie... byle wytrwała i uważną była...

— I żadna nie jest dla niej nieprzystępną nauka?..

— Żadna... Dam pani dowód logiczny... Kto się potrafi nauczyć rachować, ten potrafi się nauczyć czterech działań arytmetycznych. Od czterech

działań z liczbami całymi, przejście do działań z ułamkami jest łatwe, naturalne i bynajmniej dla płci jednej raczej aniżeli dla drugiej nie przeznaczone. To samo tyczy się stosunków, proporcyj, progressyj, reguły trzech, reguł o procentach, całej słowem arytmetyki, od której łatwo i naturalnie przechodzi się do algebry i postępuje się w niej od działań łatwiejszych do trudniejszych, od prostych do skomplikowanych, z których każde poprzednie służy jako wstęp objaśniający do następnego. W ten sposób dochodzi się aż do końca, i na żadnym punkcie nauka ta, nazywająca się matematyką czystą, nie powiada, ażeby dotąd być miała przystępną dla mężczyzn i kobiet, odtąd zaś dla mężczyzn tylko. Z nauką każdą dzieje się to samo.

— Utrzymują jednak, że uczenie się wyżej od punktu pewnego, jest dla kobiet rzeczą bezużyteczną, a nawet szkodliwą.

— Hm—odparł Adam. — Użyteczności wyrazem jest korzyść, korzyść, która w nauce rozdziela się na naukę samą i na osobistość nauczaną. Nauka zyskuje, im większa ilość ludzi ją posiada, i im ci co ją posiadają zapatrują się na nią z punktów widzenia rozmaitszych, tak że, dla korzyści nauki, dla tem łatwiejszego posuwania jej naprzód, rozwijania i doskonalenia, nie tylko kobiety, ale, gdyby istniała jakaś płeć trzecia i czwarta, i tę należałoby do nauk przypuścić. Co zaś do osobistości uczących się, nauka, chociażby ona w życiu powszednim zastosować się nie dała, tę jednak przynosi korzyść, że rozwija umysł. Czy rozwój umysłu nie jest pożytkiem? Czy nie jest to nabytek taki, który zastosować się da w życiu najpowszedniejszym? Kobiety są matkami, matki wychowują dzieci. Wychowu-

jąc dzieci rzeczą, niezmiernie ważną, jest znać wychowania cel ostateczny. Możnaż cel ów znać bez nauki? Zkądże się biorą owe wychowania bezładne, prowadzone w rzutach, w skokach, w błędzeniu, w deptaniu na jednym miejscu, tak pospolite w sferach zwłaszcza zamożniejszych, jeżeli nie ztąd, że matki ciemne, nie widząc celu, idą biedne po omacku? Nauka dla kobiet, nauka jak najobszerniejsza, nie to ażeby bezużyteczną lub szkodliwą być miała, ale przeciwnie, jest konieczną, niezbędną.

— Ale przyznasz pan—wtrąciła Olesia—że z nauk niektóre skalałyby światłą niewiasty szatę.

— Któreż to?

— Są niektóre.

— Naprzykład?

— Te co rozbijają kryształowy kielich ideału, te co z obłoczystej wyżyny ducha na padół ściągają, te, co poezję tłumią.

— Niech pani weźmie najpoetyczniejszą z istot, słowika, którego śpiew duszę drzeniem zachwyty przejmuje. Śpiew jego jest cudny. Nieprawdaż?

— Prawda—odparła Olesia, pomyślawszy chwileczkę, pierwiej: czy nie dałoby się zamiast tego wyrazu użyć bardziej brzmiącego.

— Przy śpiewie jego modlić się chce. Czy nie tak?

— O! tak—westchnęła.

— Ptaszek ten niesie jajeczka, wysiaduje takowe, z jajeczek wykluwają się pisklęta, on je żywi—i wszystko to jest cudowniejsze, poetyczniejsze aniżeli jego śpiew. Dalej, on sam żyje. Jego życie całe jest cudowniejsze, poetyczniejsze, aniżeli jego śpiew. Życie przestaje, przetwarza się. To znów jest cudowniejsze, poetyczniejsze, aniżeli jego śpiew.

Cóż nam cudowności te i poetyczności poznać daje? Nauka, nauka badająca ptaszka tego od chwili urodzin do chwili zgonu, badająca go przed urodzinami i po zgonie i posługująca się skalpelem, nożyczkami, szczypcami, mikroskopem.

— Aha! — krzyknęła Olesia i ręce wyciągnęła, jakby co od siebie odpychała. Okropnem jest, takie wydzieranie naturze tajemnic.

— Nie jest to wydzieranie lecz odkrywanie tajemnic nowych, co raz to dziwniejszych i poetyczniejszych, tajemnic, wprawiających tego, co się ich dotyka w zdumienie nad mądrością Stwórcy wszechświata, objawiającej się w robaczku najdrobniejszym, w rośline na najniższym szczeblu życia postawionej.

— Ależ dla panów tajemnic niema.

— Pani! — zawołał młody człowiek. Bezmiar bezmierny! Nauka zaledwie elementarz rozpoznawać zaczyna, ludzie oglądają się dopiero dokoła siebie, chwytając to, co najbliżej pod ręką mają i o tem się dopiero przekonują, że im więcej się uczą, tem bardziej poznają, jak mało umieją.

— To już któryś z greckich filozofów powiedział — wtrąciła Ewunia.

— Tak, ale mu nie wierzono. Trzeba było aż krytycznego rozpatrzenia się we wszystkich wiadomościach ludzkich, ażeby stwierdzić prawdę słów jego.

— Czyż może człowiek umieć to wszystko, co ma do nauczania się?

— Człowiekowi pojedynczemu przysłoby to z trudnością wielką i wyręcza go w tym względzie człowiek zbiorowy, który, co się nauki tyczy, z nadto zbiorowym nie może być nigdy. Ażeby się

nauka rozwijać mogła, należy się uczyć wszystkim bez wyjątku.

— Ach! panie—zawołała panna Ewa—jakżebym się uczyć chciała!

Olesia spojrzała na kuzynkę z ukosa, ścisnęła usta, uśmiechnęła się złośliwie nieco i odrzekła:

— Nauka zabija uczucie.

— Zkądże płynie zamyślenie nauki, jeżeli nie z uczucia?—zapytał p. Adam.

— A zkad płynie egoizm, jeżeli nie z rozumu?—odpowiedziała panna Aleksandra zapytaniem, ogłoszonym z naciskiem tryumfu.

— Egoizm—odparł p. Adam — płynie z nierozumu i najsilniej objawia się w zwierzętach. Człowiek rozumny, rzeczywiście rozumny, przez to już samo, że rozum posiada, udziela się bliźnim mimowolnie, mimowolnie przeto egoistą nie jest; jeżeli zaś przy tem, uznając się członkiem społeczeństwa, a nie sposób, ażeby ten, co ma rozum nie uznawał się, pełni obowiązki swoje, to pełni je ze świadomością rzeczy, a zatem daleko lepiej aniżeli ten, co rozumu nie ma i na uczucie samo się spuszcza. Nie, pani—mówił dalej—nauka uczucia nie zabija, ale je kształci i udelikatnia. Rozum pomaga potężnie człowiekowi do tego, aby był dobrym obywatelem, obywatelskość zaś opiera się na stosunkach rodzinnych, ztąd więc wypływa, że im kto rozumniejszy, tem lepszym być może i być powinien ojcem, synem, bratem, mężem a nawet i kochankiem.

Przy wyrazie ostatnim, obie panny spojrzały na młodzieńca, jedna wzrokiem na poły omdlewającym, druga wzrokiem ciekawości jakby na nowo obudzonej, i obie razem westchnęły. Po westchnieniu, obie równocześnie jedna na drugą spojrzały.

Wzroki się ich skrzyżowały w sposób szpad. Ewunia pierwsza oczy spuściła; na policzki jej wystąpił rumieniec zawstydzenia niby.

Panna Aleksandra odezwała się:

— Nie, nie, pan mnie nie przekona.

— Nie z braku dobrej woli z mojej strony — odparł Adam.

— Miłość jest ślepą.

— I to jej wielkie nieszczęście.

— Rozum odbiera jej urok, woń, blask.

— Obdziera ją ze złudzeń.

— Och! obdziera. A nie jestże to krzywdą, straszną krzywdą, wyrzec się złudzeń owych, które stanowią całe nieraz wynagrodzenie w obec rzeczywistości, często smutnej niekiedy, bolesnej? O! nie wydzierajcie nam złudzeń! — zawołała w uniesieniu! — „Tyle życia, co jest w pieśni, tyle szczęścia, co człek prześni.“ Bierzcie wy, panowie, sobie rozum, nam zaś, kobietom zostawcie uczucie! Ono nam gwiazdą przewodnią przyświecało dotychczas, i nie myliło, niechże przyświeca i nadal.

Adam ramionami lekko ruszył i głowę pochylił. Po chwilce odezwał się:

— Przedewszystkiem, szanować należy wolę w bliźnich swoich. Kto złudzeniami chce żyć, niech niemi żyje. Na to rady nie ma, albo raczej, jedyna na to rada w postępie wyobrażeń, które widocznie rozlewają się coraz szerzej i przenikają coraz głębiej.

— Czy zna pan hrabiego Jakóba Jałomnickiego? — zapytała Olesia nagle.

— Nie mam tej przyjemności — odpowiedział Adam, któremu wyraz „hrabia“ zgrzytnął nieco w słuchu.

— To człowiek rozumny, a jednakże rozum jego—zawahała się i dokończyła—obchodzi się bez instrumentów tortury, skalpeli, szczypców i nożyczek.

— Bo może pracuje nad prawem, nad filologią.

— On, pracuje... nad... sobą.... Jest to człowiek wysoko wykształcony. Nieprawdaż, Ewuniu?

— Nie poznałam z tej strony p. Jakóba—odparła zapytana. Sama przytem umiem tak mało, że o wykształceniu p. Jałomnickiego mówić nie mogę.

— O! i czemuż! — odrzekła panna Aleksandra. Wykształcenie jest to rzecz, co w oczy się rzuca.

Panna Ewa miała na języku wyrazy: „jak komu,“ lecz z wypowiedzeniem takowych wstrzymała się. Niecierpliwiło ją wtrącanie się Olesi do rozmowy i ustawiczne spychanie Adama z tonu. Nie było jednak na to rady. Młody człowiek, który, jak jej się wydawał, był w stanie udzielić jej wiadomości mnóstwo ogromne, dzięki przerywaniom Olesi, trzymał się w ogólnikach i przerzucać się zmuszony był od kwestyi jednej do drugiej. Pomimo to, wszystko, co z ust jego wyszło, wydawało się jej tak nowem, a tak zarazem prawdziwem, że przejmowało ją uwielbieniem dla tego gościa przypadkowego. Spostrzegła jakby nowe roztwierające się przed nią horyzonty. Słuchałaby go, słuchała i słuchała. Adam zachwycił ją. To też nie dziw, że kiedy nadeszła chwila wyjazdu jego do Zahorowa, Ewunia, skorzystawszy z chwili, w której z nim sam na sam się znalazła, nastroiła minkę modlitewnie prawie, podniosła ręce jakby do złożenia dłoni jak w pacierzu i przemówiła:

— Czemu się pan tak śpieszy?

Było to w tydzień po przybyciu Adama, który też

na zapytanie to, w taki wygłoszone sposób, nie znalazł na podporędziu odpowiedzi innej, tylko tę.

— Jadę ze Stanisławem....

— Ale z powrotem do Chrustowa?

— Pani!

Coś chciał powiedzieć jeszcze, lecz zamilkł. Zbliżyła się Olesia z książką w ręku. Ewunia, która dotychczas, w nadziei dowiedzenia się czegoś, miała zwyczaj nie odstępowania młodego człowieka dla nikogo, tym razem jednak zostawiła go z Olesią, sama zaś udała się pośpiesznie do brata.

— Stasiu—były jej słowa, gdy w obec niego stanęła—czy ci tak do Zahorowa pilno?

— Albo co?—odparł zapytany.

— Bo ja bym cię prosiła — zaczęła z przymilem — ażebyś zwłóknął wyjazd na dni kilka.

— Dla czego?

Zarumieniła się Ewunia na słowa te i odrzekła:

— Dla tego, żeby p. Adam pozostał z nami dłużej trochę.

— Cóż ci z pana Adama?

— Ja się od niego uczę.

— Czego?

— Zapatrywania się na życie.

— Ej—zaczął Stanisław tonem półzartu—nie tego ty się uczysz od niego.

— Słucham go. Słuchać go tak miło!

— Ta, ta, ta. Rzeczy znane, a jak świat stare. On młody chłopiec, ty młoda dziewczyna.

— Stasiu! — odezwała się panienska tonem proszącym.

— He?

— Nie mów ty tym językiem do mnie.

— Chcesz więc, żebym mówił po francuzku, po niemiecku, po angielsku, po turecku?

— Proszę ciebie nie żartem...

— O co?

— O to, żebyś do Zahorowa wyjazd zwłóknął o dni kilka?

— Kilka, liczy się od dwóch do dziesięciu, od dziesięciu zaczyna się kilkanaście, a od dwudziestu kilkadziesiąt.

— Od stu kilkaset — podchwyciła Ewunia, wpadając w ton żartobliwy, dla tego snadź, ażeby się bratu przypodobać. Proszę o kilka tylko, zostawiając tobie swobodę, wybrania pomiędzy dwoma a dziewięcią.

— Co za wspaniałomyślność! no proszę.

— Bądź-że i ty wspaniałomyślnym, mój Stasiu, mój Stasieczku, mój braciszku. — Zarzuciła mu ramię około szyi. Przecież ty mnie kochasz troszeczkę.

— Nie dziś! — zawołał Stanisław, wydierając się z objęć siostrzanych. Chcesz chyba, żebym wcale nie jechał, biorąc się do osoby mojej w sposób, zdradzający zamiary bratobójcze.

— Nie jedź, nie wcale lecz przez dni jeno kilka. Czy cię tam wzywa interes jaki?

— Wzywa, i niezmiernie ważny.

— Jaki?

— Gwałtowny, nagły, niedopuszczający zwłoki najmniejszej.

— Ale jaki?

— Powiadam ci przecie: ważny, gwałtowny, nagły.

— Nazwij mi go rzeczownikiem.

— Interes sumienia.

— Określ go.

— Wymagający wręczenia wujowi siostrzeńca w całości.

— Wręczysz go w całości po dniach kilku.

— Kto wie? Dzięki tobie i Olesi, taki zdarzyć się może przypadek, iż do Zahorowa zajedzie jego tułów, serce zaś zostanie w Chrustowie.

— Mój Stasiu, nie żartuj—podchwyciła dziewczica tonem proźby spotęgowanej — i zrób to, o co cię proszę.

— Zostawże mi czasu trochę do namysłu.

— O!—zawałała Ewunia—nie pojedziesz! zostaniesz!

— Zobaczymy.

— Ty dobry. Ty mi przykrości wyrządzić nie zechcesz. Dziękuję ci, Stasieczku!

Panna Ewa, nie mając od brata przyrzeczenia wyraźnego i nie mogąc takowego otrzymać, udała się do ojca, po kilku słowach przedmowy, przystąpiła do rzeczy, zaczynając trochę z ogródkami. Oznajmiła najprzód wyjazd Stanisława do Zahorowa.

— A—rzekł pan Marek obojętnie. Staś jedzie, to dobrze.

— I zabiera p. Adama ze sobą.

— Zabiera, to dobrze.

— Mnie się zdaje, tatku, że oniby mogli się z wyjazdem wstrzymać.

— Czyby mogli? hm, zapewne.

— Gdyby też tatko powiedział Stasiowi słówko.

— Czy ci co na tem zależy?

— Zależy. Towarzystwo p. Adama jest tak pożyteczne.

— Pod jakim względem?

— Ja się od niego dużo, dużo uczę.

Pan Marek okulary na czoło podniósł i na córkę spojrzął. Wzrok jego wyrażał zapytanie, które się w ustach sformułowało tak:

— Uczysz się, i czegoż to?

— Dowiaduję się i upewniam o potrzebie nauki.

— Czyś tego nie wiedziała?

— Wiedziałaam tatkowi, alem nie wiedziała, co to jest nauka. On mi daje o niej wyobrażenie, które pragnę uzupełnić, jak można najbardziej.

— Do czego to tobie?

— Chciałabym jedną z nauk wybrać sobie, zająć się nią i w jednej przynajmniej wydoskonalić się gałęzi.

Pan Marek zdziwionym i politowanie wyrażającym wzrokiem przez chwilę na córkę patrzył, wreszcie splunął i rzekł z niecierpliwości oznaką:

— Tfu! głupstw mi tu nie gadaj! Pilnuj swego i po obłokach nie lataj!

Pannie Ewie na płacz się zebrało. Usta jej drgać poczęły. Powściągnęła się jednak, przysunęła się do ojca, przytuliła się do niego, w ramię go pocałowała i zniżonym głosem mówiła:

— Niech się tatko na mnie nie gniewa. Ja czuję takie pragnienie, takie nieprzeparte pragnienie uczenia się, że nie mogłam tatkowi nie powiedzieć tego. Komużbym powiedzieć miała! Proszę się nie gniewać na mnie, i....

— Nie lubię—przerwał p. Marek—niedorzeczności słuchać. Uczyć się? jeszcze co! Cóż to, czy nie umiesz, co do ciebie należy? Chcesz się na sawantkę kierować? Nic nie znośniejszego i nie wstrętnejszego, jak kobieta uczone. Wybij to sobie z głowy. Nie wiedzieć co! Zapewne to Kozarski tak cię do nauk rozochocił.

— Nie, tatau—odparła panna Ewa smutnie, oczy spuściwszy i wzdychając. Ochota tkwiła we mnie oddawna. Pan Adam pokazał mi tylko, że zaspokojenie onej nie jest rzeczą niemożliwą.

— Pokazał!—podchwycił p. Marek. O! on, zwyczajnie jak młody człowiek żartuje sobie z siebie. Nie wiesz chyba o tem, że wyprowadzić pannę w pole jest majstersztykiem ludzi młodych, używających do tego sposobów, jakie który w ręku posiada. Kozarski ma naukę, więc ci nauką wędkę rzuca... i pierwszy będzie się śmiał, gdy zobaczy, że się zła-pała głupia rybka, nazwiskiem Ewa Szamocianka. Daj ty sobie z tem pokój i swego pilnuj, czekając na to aż ci się trafi człowiek jaki uczciwy. O to proś Boga. Wolę żebyś była dobrą żoną i przykła-dną matką, aniżeli filozofką znakomitą.

Wiedziała panna Ewa, że po takim przez ojca postawieniu kwestyi, nie ma już co mówić więcej. Zabolało ją to. Zabolało ją szczególnie podejrzenie, wymierzone na Adama, jakoby on na nią wędkę rzucał. Do odparcia podejrzenia tego nie miała nic. Czyż rzucanie wędek tego rodzaju nie było ogólnym stosunku płci męskiej do niewieściej wyrazem? Pan Marek miał rację, co się ogółu tyczy i nie było sposobu przekonać go, że młody autor stanowi wyjątek od reguły, stwierdzonej doświadczeniem, cofającym się praktyką w wieki najodleglejsze. Stanowiło to *cercle vicieux*, z którego wyprowadzenie człowieka starego, zacnego a przesiąkniętego wyobrażeniami za młodu powziętemi, przedstawiało się pod postacią niemożliwości absolutnej. Nie było więc co. Panna Ewa wyszła od ojca, niby zmyta, pokładając nadzieję swoją całą w tem, że może też Stanisław namysli się i podróż odłoży.

Tyle miała dla Adama zapytań!

Wyjazd nastąpić miał po obiedzie. Gdy do stołu podano, w sali jadalnej zgromadzili się wszyscy. Ewunia, przesuając się mimo Stanisława, szepnęła mu do ucha:

— A co?

— Co?

— Jedziecie?

— Namysłam się.

Przy obiedzie Stanisław zabrał głos, i zwracając mowę do Adama, zapytał:

— Czy nie wakuje tam w uniwersytecie jakim katedra jaka?

— Wakujące katedry zdarzają się często.

— Bo ja miałbym kogoś, widzisz, coby z ochotą katedrę professorską zajął.

— Jaką?

— Jakąkolwiek, choćby, na przykład: białej magii, czarnej magii.

— Tego rodzaju katedra jest rzeczywiście wakującą od lat wielu — odparł Adam z uśmiechem.

— O! to i dobrze, będzie więc obsadzona. Potrzeba tylko, ażeby zaopatrzoną była w gotownię kompletną.

Panna Aleksandra chrząknęła, panna Ewa oczy spuściła, p. Tulicka do lokaja głosem się odezwała, p. Marek się uśmiechnął, Adam się skrzywił.

Żarty o czarnej i białej magii, ciągnęły się przez cały obiad, a były dla Ewuni bolesne. Przyjmowała je w milczeniu, nie mając do przyjmowania ich sposobu innego. Pocieszała się jeno nadzieją, że przecie Stanisław namysli się i nie pojedzie.

Nadzieja ta zawiodła ją.

Po obiedzie zajechała przed ganek najdyczanka Stanisława, wypakowana zawiniątkami i książkami Adama.

Nastąpiło pożegnanie, przy którym trzeba było udawać obojętność uprzejmą. Ewuni ledwo serce nie pękło, na widok bryczki odjeżdżającej, odwożącej gościa, który przed nią przeczuwane a nieogładane skarby rozkładał i nie rozłożył ich, jak tylko cząsteczkę nader drobną. Ledwo jej serce na ten widok nie pękło. Stała przy oknie, póki bryczka z oczu nie znikła, następnie do pokoiku swego uciekła, zamknęła się, na łóżko się rzuciła, twarz w poduszki ukryła i rzewnie płakać poczęła.

Miała, zaiste, czego.

W świecie, co ją otaczał, uczuła się bardziej obcą niż kiedy. Pewną była miłości ojca i braci, ale miłości warunkowej, wymagającej od niej zrzeczenia się tego, co nie przeszkadzając jej bynajmniej być względem pierwszego najlepszą córką, względem drugich najczulszą siostrą, dogadzało popędowi, który czuła w sobie. Że z popędem tym zdradziła się, więc ściągnęła na siebie gniew ojca, drwiny brata i niechęć ciotki i kuzynki. Gniew, drwiny, niechęć oskrzydliły ją ze stron wszystkich, formując do koła niej niby wał, najeżony krzemieniami ostremi. Przebyć wał ten ani sposób. Zwykle w razach podobnych pociecha znajduje się w obwinianiu drugich. Ewunia i tej pociechy mieć nie mogła. Kogóż bowiem obwiniać miała? Ojca—za co? — za to, że był czystym w sumieniu własnym, i jeżeli się gniewał, czynił to z przekonania, przeniknionego miłością względem niej? Brata? — za co? — za to, że widzenie jego obracało się w promieniu zakreślającym ciasny horyzont, którego on nie

stworzył ale który zakreślało do koła niego chybiłone wychowanie? Ciotkę i kuzynkę—za co?—za to, że we dwie stanowiły świat w świecie, żyły sobą i dla siebie, głęboko przekonane o godziwości życia podobnego i o doskonałości własnej? Nie, nikogo obwiniać nie mogła, siebie zaś mniej niż kogobądź, czując i uznając całą słusność i prawowitość popędu, który ją w takim fatalnem stawiał położeniu.

Płakała długo i rzewnie.

Nagle na łóżku usiadła, i łez nie obcierając ani ust nie otwierając, następujący monolog z duszy wysnuła:

— Cóż płacz pomoże! Życie ludzkie układa się sposobem dwojakim: albo bez przeszkód, albo z przeszkodami. Moje zapowiada się z przeszkodami. Cóż? Mamże ręce opuścić, i z góry, usuwania przeszkód nie spróbowawszy nawet, za pokonaną się uznać? Mężczyzna, na miejscu mojem, powiedziała: to nie po mężku! ja zaś powiem: to nie po ludzku! Pan Adam nie usunął się na zawsze, spotkam się z nim jeszcze w warunkach może wygodniejszych aniżeli tu, i rad jego swobodniej zasięgać będę mogła. Potrzeba, żebym się uzbroiła tymczasem w cierpliwość i spokój.

Uzbroiła się więc w cierpliwość i spokój i czekała. W trakcie czekania pułkownikowa zabrała ją do Gawronów. Czytelnikowi, którego dziwił może sposób, w jaki się ona w gościnie zachowywała, jasnym jest teraz, dla czego nie zachowywała się inaczej. Pan Jakób wydawał się jej czemci potwornem, pani Kawaska budziła w niej wstręt nieprzezwyyczajony—wstręt, który z granic wystąpił, gdy zacna ta pani z morałami się do niej zwróciła. W czasie, kiedy ją pułkownikowa moralizowała, Ewunia

wrzała oburzeniem, i nie wybuchnęła dla tego jedynie, że wybuch uważała za niewłaściwy, poczytując pułkownikową za niezasługującą na zaszczyt jej gniewu. Powściągnęła się przez poszanowanie względem samej siebie. Powściągnąć się jednak nie mogła od tego, ażeby, gdy do domu powróciła i Oleścia ją o p. Jakóba zagabnęła, nie nazwać tego ostatniego niedołęgą i osłem. Była to jedyna satysfakcja, na jaką sobie pozwoliła. Zresztą w sobie się zamknęła i milczała, uzbrowiwszy się w obojętność pozorną, z której zrobiła sobie rodzaj puklerza. Ojciec pogniewał się na nią, i zwyczajnie jak ojciec, gniewać się przestał. Ale Stanisław ścigał ją mniej lub więcej ostremi żarcikami bezustannie; ale ciotka i kuzynka okazywały jej niechęć wytrwale. Puklerz ów przeto służył jej do odpięcia pociśków dowcipu i niechęci. Ześlizgiwały się one po nim i jej nie dotykały, szczególnie zaś nie pozbawiały jej nadziei i odwagi. Trzymała się, jak się trzyma na morzu bity falami korab'.

„Odwagi“ — rzekliśmy powyżej. Na czemże odwaga jej zależała?

A oto na czem. Ewunia powydobywała z pyłu zapomnienia wszystkie książeczki i książki, które jej, niegdyś dziecku, do nauki służyły, wszystkie geografie, historye, arytmetyki i odbywała przy ich pomocy repetycyę ogólną, a porządną i dokładną studyów, które z nauczycielami i guwernantkami poślizgiem przebiegła była. Zadziwiła się mocno, przekonawszy się, że w elementarzach tych znajdowała dużo nowego i zajmującego. Miała się uczyć czego, a nauczała się bardzo szybko.

Miesiąc czasu wystarczył jej na to, ażeby posiadać wiadomości w książkach kilku zawarte. Dalej, pa-

miętając o tem, co Adam mówił o rozwoju wiadomości, wyszukiwała w ojcowskiej i we własnej bibliotece dzieła odnoszące się treścią do książek elementarnych i w takowych szukała wyjaśnień i dopełnień; te notowała i porządkowała, ściągając je w grupy jednego rodzaju. Czasami zdarzało się jej czynić odkrycia, które ją niewysłowioną przejmowały radością. Odkryła, naprzykład, dzieła wszystkie księdza Kluka, odkryła księgi Euklidesa. Z jakąż rozkoszą rozczytywała się w pierwszych i studyowała drugie! Jak ją cieszyło, że rozumieć mogła jedno i drugie! Dykcyonarz geograficzno-historyczny, podający króciuchne wzmianki o ludziach uczonych i ich pracach, służył jej jako ważne źródło. Z niego dowiadywała się o naukach, spisywała je i grupowała, układając oraz pewien rodzaj bibliograficznego wykazu dzieł, o których czytaniu słodko marzyła, odgadując co w nich być może.

Była to więc praca na seryo i nie całkiem jałowa. Zresztą, chociażby i na zarzut jałowości zasługiwała, to cóż biedna dziewczyna począć miała! Na wytchnienie po tej pracy, na benedyktyńską zakrawającą, brała się do zajęć, jakim się zwykle oddawała: szyła, dzierzgała, haftowała i przy igielce, zamiast snuć rojenia, które igielka zazwyczaj wywołuje, myślała o problematach naukowych, naturalnie, nie wysokich, albo też o klasyfikacyi w królestwach: mineralnem, roślinnem i zwierzęcem. Nie ponosiła szkody najmniejszej, myśląc o takich rzeczach, nie zaś marząc o owym klassycznym przykrośienkach chłopcu, albo o równie klassycznej sukience białej i wianeczku zielonym.. Nie jest występkiem to, nie uważamy jednak za występne i tych

przedmiotów, nad któremi się Ewunia zastanawiać lubiła, tem bardziej, że odbywało się to ze spokojem, który na jej zdrowie zbawiennie oddziaływał, i z ufnością w zarysowaną mglistemi konturami przyszłość, która jej do duszy harmonię wprowadzała.

Harmonię ową naruszyła jednak rzecz jedna. Ewuni wpadła w ręce „*Teorya jestestw organicznych*.” Przeczytała, a raczej pochłoneła to dzieło. Odczytywała je po razy kilka. Niby ocean wlał się jej do głowy — ocean, który raz się uspakajał, znów wzdymał się falami i te biły z hukiem i szumem o czerp, tocząc pianę i rozbryzgując się na miliardy kropelek. Dostawała razy kilka bólu migrenowego. A tu, jak na toż zima, która wielkie śniegów zaspę sprowadziła, nie pozwalała jej używać przechadzki na wolnem powietrzu. Nużyła się więc w zamknięciu i wieleby za to dała, gdyby kto ocean ów z głowy jej wyjął.

Któżby to uczynić mógł?

Nie kto inny, jeno Adam.

Adam znajdował się tak niedaleko! — o mil trzy tylko. Ewunia byłaby do niego, jeżeli nie częściej, to przynajmniej po dwa razy w tygodniu każdym jeździła. Ale — panna — nie mogła. Staś i Gucio jeździli kiedy i dokąd się im podobało. Nie pytano ich, nie rozciągano nad nimi żadnej kontroli i ani cienia opieki. Jeździli w tym celu, ażeby polować, grać w karty, umizgać się, miłostki prowadzić, przewietrzać się — nikt od nich sprawy nie żądał. Jej ruszyć się nie było wolno i człowieka znajdującego się na rzeczy, poprosić o objaśnienie dzieła, napisanego przez męża, którym się naród chlubi. Różnica ta uderzyła ją po raz pierwszy w życiu. Do-

tychczas, swoboda braciom pozostawiona, jej zaś odjęta, wydawała się jej naturalną. Pierwszy raz na myśl jej przyszło, że w tem jest coś nie całkiem słusznego, że pomiędzy zamykaniem kobiet na kłódki, a obsadzaniem ich przepisami konwencyonalnymi blizkie zachodzi pokrewieństwo, że w przepisach tych tkwi intencya ukryta, mająca na widoku nie samą jeno przyzwoitość, ale jeszcze i co innego. To co innego—rzecz naturalna—przystosowywała do siebie. Gdyby jej pojechać było wolno, dowiedziałyby się; jechać nie wolno—nie dowie się.

— Te więc przepisy—taką sobie wysnuła konkluzję—są na to, ażeby nas, istoty biedne, w ciemnościach utrzymywać. Wydziedziczone jesteśmy przez społeczność: najlepsze prac jej owoce, nie dla nas. Zobaczę się z nim jednak.

Wyrazy ostatnie odnosiły się do świąt Bożego Narodzenia, zbliżających się wraz z posuwaniem się zimy naprzód.

Od czasu kiedy Henrysia za mąż wyszła, zaprowadzono ten zwyczaj, że państwo Zgrzebłowiczowstwo z dziećmi przyjeżdżali do Chrustowa dnia 24 grudnia i bawili do Trzech Króli. Zwyczaj ten sprowadzić musiał i Adama. Boć rzeczą było nieprzypuszczalną, ażeby pan Andrzej miał go samego na święta w Zahorowie zostawić, albo też dla niego do Chrustowa nie przyjeżdżać. Zająć wprawdzie mogła przeszkoda jakaś. Mogła jejmość, stara pani Zgrzebłowiczowa, albo z dzieci które zachorować. Wypadki podobne po ludziach chodzą. Ewunia jednak, w gorącym pragnieniu zobaczenia Adama i pomówienia z nim, odpychała je jako niemożliwe i świąt niecierpliwie oczekiwała.

XIV.

Niecierpliwie świąt oczekiwała Ewunia; z równą niecierpliwością takowych oczekiwał i Adam.

A—bo też i z nim zaszyły osobliwości różne.

Odnieśmy się myślą do stanu, w jakim do Chru-stowa przybył. Był to stan prostracyi, rozprzężenia umysłowego. Adam, młody autor, zapowiadający się świetnie i czujący w sobie sił zasób ogromny, zachwiał się, zatoczył, spadł z wyżyny, podniósł się sztucznie, znów spadł, próbował drogi ukośnej i na tej dostał policzek, który go nie tylko na łożu boleści powalił, ale zmiał, zmitrężył, zgębił, przeraził, zbałwanił. W stanie takim uciekł z teatru działalności swojej literackiej. Dwudniowa wędrówka piesza oprzytomniła go nieco; widok zaś Ewuni, która na pierwszy rzut oka przypomniiała mu tamtę, co go prowadziła na topiele i obrazem swoim całą duszę i całą wyobraźnię jego zapełniła, podzielał na niego, jak w chorobach śmiertelnych działają niekiedy lekarstwa heroicznemi zwane. Adam, dzięki magnetyzmowi oczów p. Ewy, dzwignął się moralnie. Spełnił się na nim, cud prawie, tem większy, że nikt nie zawołał na niego: „Synu człowieczy wstań i idź!“ On wstał i iść zaczął, przejęty dla uroczej cudotwórczyni wdzięcznością głęboką, którą wyrażał, jak mógł i umiał. Ona mu pytania zadawała; on jej odpowiadał i opowiadał, snując opowiadania z głębi najczystszych, niczem postronnem niezapruszonych przekonań swoich, i dobierając do takowych wyrazów, zastosowanych do pojęcia słuchaczki. W ten sposób z niego w nią przelewały się z łatwością pojęcia i myśli, wytwarzając pomiędzy nimi harmonią dwóch na ton je-

den nastrojonych instrumentów. Zrobiło się tak, że Ewunia była niejako prymem, Adam wtórem—ona wyzywała, on szedł jej w ład.

I zatechnił wtór do swego pryma.

Stało się to jednak nie odrazu.

Adam przeszedł przez jeszcze jedno studium uzdrawiające, którem był dla niego dom p. Andrzeja. Wuj, wujenka, dziatwa ich w liczbie bębnow trojga, jędrnych jak rzepa, czerstwych jak orzechy łuszczaki, białowłosych jak cherubiny, babka zresztą, stara jejmość, w czepcu na bakier i z rękawami od jubki wyżej łokci zatoczonymi, wywarli na niego, wszyscy razem i każde z osobna, wpływ zba wienny. Otoczyli go uprzejmością, troskliwością, ciepłem atmosfery rodzinnej; to garnęło go do siebie, to do siebie; babka, wypuściwszy go z objęć, w których mu na chwilkę uduszenie zagroziło, stanęła przed nim, w bok się lewą ręką wzięła, prawą czepiec sobie na głowie poprawiła i zawołała:

— Ej ha! Jam się ani spodziewała, żebyś ty był taki.... Słuchaj, bodajbym już ani jednego więcej wieprza nie sprawiła, jeżeli cię na sucho z Zahorowa wypuszczę.

— Cóż mama z nim zrobi?—zapytał p. Andrzej, patrząc z rozrzewnieniem na młodzieńca.

Baba ręką w powietrzu wywinęła i odrzekła:

— Ożenię chyba!

Dano mu w oficynie pokoik osobny i zostawiono swobodę zupełną.

Dzięki otoczeniu temu, dzięki swobodzie tej, Adam odżywał, jak ptak z klatki na wolność wypuszczony. Chodził ze strzelbą, jeździł z chartami, kładł się wcześniej, wstawał rano, miał wody źródlanej i powietrza czystego poddostatkiem, miał czasu

wolnego nie mało. W początkach myślał, biorąc naturalnie siebie za przedmiot główny—czynił niejako summaryczny obrachunek smnienia własnego, przeprowadzany przez wypadki życia, niby przez etapy, na których zatrzymywał się kolejno. Wypadków miał nie wiele—a ważniejszy jeden tylko. Ten mu dreszcz sprawiał, po nocach spać nie dawał i grozą śmiertelnych topielisk otoczony, przystępować do siebie niejako nie pozwalał. Nieprzystępność onego stanowiła pewien rodzaj przeszkody w kroczeniu myślami naprzód. Adam szedł, zatrzymywał się i cofał. Nie mogło jednak pozostawać tak zawsze. Razu pewnego, ujął przeszkodę oburącz niejako i wstrząsnął nią.

— El—rzekł sam do siebie. Cóż? „Wychowańcaż to pustyni jedno dziewczę upokorzy?“

I wypadek analizować począł. Rozebrał go na części, na pierwiastki, na żywioły, przypomniał sobie, co o Emmie pani Idealia powiedziała, wziął na uwagę niezgodność przekonań, przez nieboszczkę objawianych, ze sferą towarzyską, w której żywot pędziła, wyobraził sobie, jakie to ona walki sama ze sobą staczać musiała, i z założeń tych wyprowadził konkluzję, która się sama wysnuwała.

— Biedna waryatka—rzekł.

Przeszkoda w ten sposób usunęła się mu z drogi, a za nią wnet ukazała się w jaśni postać panny Ewy.

Ukazała się mu w blasku wielkim, uroczym, zachwycająco.

Pochodziło to ztąd, że dziewczyna, mimowolnie, odegrywała względem niego rolę zalotnicy. Ona go tak bardzo potrzebowała! Więc też przymilała się i wdzięczyła do niego, co tem ponętniej wypadało,

że się odbywało bez cienia premedytacyi. Premedytacya odnosiła się całkowicie do tego, co z ust młodego człowieka płynęło. O tych skarbów wydobycie jej chodziło, o wyproszenie takowych, o wymodlenie. Układała się przeto, nadawała obliczu wyraz, nadawała oczom blask, wyraz i blask tem bardziej urocze, że nie było w nich nic sztucznego, że były tak naturalne, jak naturalnym jest uśmiech dziecka na widok cacek, wystawionych w oknie sklepu zabawkami handel prowadzącego. Nad uśmiech ten nie masz nic naturalniejszego, a zarazem zalotniejszego. Taką też była i zalotność jej—zalotność, która niby raję przeczucie w duszę młodzińca wlewała.

Usunawszy więc przeszkodę, Adam postawił przed sobą postać p. Ewy i na tej całej swojej zatrzymał uwagę, na nią zapatrzony uczuwał w sobie powracające siły i życie. Emma uszła w dal wspomnienia mgłą owianego; Ewa wystąpiła na pierwszy plan. Adam uśmiechał się do niej, cieszył się nią.

Czy kochał?—Tak—hm. Marzył potroszę. Marzył o powrocie do miasta, ale z nią—i o tem, jak ją pod ramię prowadząc ukaże się w parku, jak z nią wystąpi w salonie pani Eulalii, jak będzie mu jej winnowała pani Idealia, jak pokaże jej swój portret w panteoniku, jak etc. Snuł marzeń mnóstwo, a wszystko w tym rodzaju i tęsknił do niej. Jeżeli więc symptomata te oznaczają kochanie, to... kochał.

Co najważniejsza, pod wpływem kochania tego, odzyskiwał dawniejsze siły i życie. Pomyślał o pracy. Rozpakował książki. Urządził sobie stolik do pisania. Napisał tchem jednym opracowanie pod tytułem: „O stanowisku kobiety w społeczeństwie,“ i wysłał takowe jednemu z pism czasowych do dru-

ku, zamawiając sobie egzemplarz jeden *extra* który zamierzał ofiarować pannie Ewie jako podarunek noworoczny.

Wchodził zatem w tryb dawniejszy, stawał się coraz to dokładniej samym sobą pod każdym względem; odzyskał humor, apetyt, swobodę umysłu i ową staranność około osoby własnej, której, pisząc o niej w jednym z poprzednich rozdziałów, zarzuciliśmy maleńką przesadność. Z samozadowoleniem widywał postać własną, odbijającą się w przezroczy jedyne go zwierciadła, które, w domu p. Andrzeja, zawieszono było w pokoju bawialnym, nad kanapą, naprzeciwko krągłego o orzechowym fladrze stolika, będącego, z wyjątkiem fortepianu wiedeńskiego w tymże pokoju ustawionego, najkosztowniejszym pod dachem zahorowskiego dworu meblem. Na fortepianie tym grywał Adam codziennie po godzin parę.

Czas mu upływał miło i dobrze, — pomimo to tęsknił.

Ale się pocieszał, pociechą tą samą, w jakiej odwagę czerpała p. Ewa.

Wuj, niewiedząc jeszcze na jak długo przyjechał, zapowiedział mu z góry:

— Spędzisz święta z nami, nie u nas jednak lecz w Chrustowie.... Taki zwyczaj.... Do zwyczaju tego zastosowuje się i mama, która przed ożenieniem się mojem nigdy świąt Bożego Narodzenia za domem nie spędzała. Chciałem zaprowadzić kolej: roku jednego w Chrustowie, drugiego w Zahorowie, ale ustąpić musiałem dla ojca, któremu trudno w zimie podróżować. Stary nie domaga, posunął się znacznie w ostatnich zwłaszcza czasach. Pojedziemy więc do Chrustowa.

Adam nie przeciwko temu nie miał. W pierwszej chwili zapowiedź tę przyjął obojętnie, w końcu jednak świąt z niecierpliwością wyglądał, licząc tygodnie i dni.

Na dni kilka przed dniem 24 grudnia, jejmość na konfessatę niby go wzięła.

— Słuchajno, Adasiu — przemówiła — tobieby się już przydała towarzyszka życia....

— Zapewne, babuniu — odrzekł zaczepiony z uśmiechem.

— Ty nie masz nic, ale Jędrus da ci o co ręce zaczepić.... a to grunt.... Dalej: praca, kredka, rachunek — i życie idzie jak po maśle. Możesz więc nie oglądać się na posagi.

— Przychodziło mi na myśl ożenienie się niekiedy, ale posag nigdy.

— Łebskiś chłopiec. Posag to rzecz marna, dobrze kiedy jest, kiepsko jednak jeżeli stanowi rzecz główną. Ja nie miałam złamanego szeląga, kiedym za dziadka twego wyszła; Andrzej po swojej nie dostał ani feniga, a daj Boże każdemu żonę taką, jaką, nie chwając się, byłam ja, jaką jest wujenka twoja. I ty więc, bierz żonę, z posagiem lub bez posagu, wszystko jedno, ale niech cię Pan Bóg broni brać posag z żoną.

— Ma babunia wielką rację.

— Otóż, posłuchaj-no mnie. Pojedziemy do Chrustowa. Przypatruj-że się pilnie panience tamecznej.

— Są tam dwie — wtrącił Adam.

— Ah — machnęła baba ręką. Jedna, co się wysoko nosi, ta nie dla ciebie. Ta... fiu, fiu... ogonem tylko kręci. Przypatruj ty się Ewuni, fajna dziewczaka... I sama sobą niczego, i.... o....

Pokazała sobie z gestem znaczącym palcem na czoło.

— Jak się jej przypatrzysz dobrze, to — zakończyła stara jejmość — po świętach zapytam ciebie, co tam słyhać.

Rozpoczęły się przygotowania do wyjazdu, których hasłem niejako było to, że padło ofiarą wieprzów karmnych dwa i przetworzyło się na szynki, zioberka, połędwice, głowizny, sadła, słoniny, kiszki i kiełbasy. W robieniu kiełbas była jemość mistrzynią, urzędowała je smaczniej niż zbarazkie. Stosy tego, związane w kółka, pozostały w nieckach. Po załatwieniu się z tą specjalnością, nastąpiło pieczenie ciast, strucli, pierników i knyszyków. To ostatnie odbywało się we wigilię wigilii. Pieczono i po ostygnięciu układano w paki warstwami, porządnie i ostrożnie; jejmość wszystkiego osobiście doglądała, i w jej oczach, w dniu 24 grudnia do dnia, upakowano furę faskami, dzieżkami, skrzyniami, beczułkami, kobiałkami i wyprawiono takową do Chrustowa przodem. Wyjazd państwa nastąpił w godzin kilka później. Jejmość, pani Andrzejowa i dzieci, okutane w futra i pookrywane baranicami, zajęły sanie załubne, budą z rogoży okryte i czterma końmi w lic ciągnione; p. Andrzej z Adamem ruszyli sankami lekkimi w parę koni zaprzężonemi.

Fura, co najpierwsza wyszła, miała szczególnie swoje znaczenie, odnoszące się do delikatności uczuć starej jejmości, która, przystawszy na to, ażeby święta w Chrustowie spędzić, przystać nie chciała na to, ażeby Szamotów objadać. Dla tego jechała nie inaczej jak z zapasami, nadając takowym charakter podarunków świątecznych. Był to protekst,

jak domyśleć się łatwo, do okrywania którego służyły strucle, pierniki i knyczyki. Po za niemi stał zastęp cały zapasów spiżarnianych, takich jak: prze-roby z wieprzowiny, ser, masło, powidła, rożenki, suszeniny, krupy, etc. Stara jejmość, dopatryw-szy okiem znawczyni braków w spiżarni chrustow-skiej, o którą p. Tulicka od niechcenia się troszczy-ła, korzystała z okazji i zaopatrywała takową, ile razy sposobność się nadarzyła. Na imieniny pana Marka posyłała mu wiązanie, na Wielkanoc posy-łała wielkanocne prezenta, na święta Bożego Na-rodzenia przywoziła ze sobą podarunki, za które gdy p. Marek wymówki jej czynił, tłómaczyła mu:

— I... cóż tam!... przywiozłam odrobinę menbel-ków, ażeby panienki łasować co miały...

Łasowania tego starczyło na miesiący parę.

Panna Ewa, ujrawszy przez wychuchane z za-mrozu okno wchodzące na podwórze fury z podarun-kami, ucieszyła się, nie furą jednak, lecz zapowiedzią przybycia Adama.

Gości na wigilię zjeżdżało się do Chrustowa nie wiele. Wieczere pańską każdy we własnym spo-żywa domu, w gronie własnej rodziny—taki zwy-czaj u nas—zwyczaj dobry, bo przyczyniający się do zaciskania węzłów rodzinnych, przeważną w u-stroju społecznym odgrywających rolę. Wyjątek pod tym względem stanowili mieszkańcy Gawronów. Ci zazwyczaj dokądeś się zapraszać dawali. Nie dziw. Było ich tylko dwoje, a we dwoje obchód uroczysty na doniosłości traci. Tym razem pułko-wnikowa wywołała zaprosiny do Chrustowa. Spo-dziewano się więc, z osób obcych, jej tylko z panem Jakóbem i więcej nikogo.

Pułkownikowa przyjechała wcześniej. Już sza-

Pułkownikowa przyjechała wcześniej. Już szarzyć zaczynało, kiedy gromkie palenie z bata oznajmiło przybycie gości z Zahorowa. Sanie kryte zatrzymały się przed gankiem. Stanisław i Gustaw wybiegli na spotkanie, i witając, a przymawiając wyciągali z budy futrzane zawiniątka, z których wydobywały się głowy dziecinne, nazywające ich po imieniu przekręconem do niepoznania i deklinujące wyraz, coraz to inaczej wymawiamy:

— Wujasek, wujasiek, wujaśka, ujasiek, jasiek.

Panna Ewa powitała Adama serdecznem dłoni uściśnieniem, Jaśniała radością, postanowiła sobie bowiem używać przez święta bez względu na nic i na nikogo, rozpoczynając używanie od wieczora dzisiejszego.

— Niech tam — powiedziała sobie—Olesia z panem Jakóbem się zabawia, ja... biorę p. Adama na siebie i dla siebie...

Nie mogła jednak postanowienia swego dokonać w gwarze pierwszej przybycia chwili, po której wkrótce nastąpiła wieczerza, poprzedzona łamaniem chleba anielskiego, i układaniem życzeń.

Życzeń powtarzać nie będziemy, wszystkie one podobniuteńkie są do siebie, zwłaszcza pod względem konceptów, na które zazwyczaj składający takowe sadzić się usiłują. Zrobimy jednak wyjątek dla pułkownikowej i dla starej jejmości:

Pierwsza, łamiąc z panem Markiem opłatek, pilnie mu w oczy patrzyła i mówiła:

— Wygląda prezes tak doskonale, tak czerstwo, tak świeżo, że zapraszam się do niego na wigilię za lat dwadzieścia pięć... daj Boże tylko w zdrowiu zawsze jednakiem.

— Wzajemnie, asani dobrodziejko, wzajemnie — była starego odpowiedź.

Do Olesi mówiła:

— Daj ci, Boże, złotko moje—tu głos zniżyła—meża, co ciebie ocenić potrafi.... Taki jak hrabia byłby w sam raz dla ciebie.

— Hrabia?—zapytała Olesia okiem z podełba powłócząc.

— Braciszek mój, patrz, jak on od ciebie oczu oderwać nie może.

Do pana Jakóba mówiła:

— Dajże Boże, żeby stary jak najrychlej nogi wyciągnął. Coś jednak nie zanosi się na to.

— Hm—odparł pan Jakób.

Stara jejmość życzyła wszystkim wedle stanu, szczęścia, zdrowia, pomysłności, kopy lat, pociechy z dziełek, korcami talarów i t. d.; do Ewuni zaś przemówiła pod sekretem:

— A tobie życzę, żebyś tego—tu na wnuka oczami ukazała—chłopca obałamuciła.... Chłopiec niczego, stateczny. Weź się tylko do niego... zbałamucisz, zbałamucisz.

Ewunia nic na to nie odpowiedziała. Oblicze jej jednak nieco się zasepiło; usiadła za stołem nie taka radosna, jak była z początku.

Wieczera, podawana na stole sianem pod obrusem okrytym, w obecności martwego świadka, jakim był ustawiony w kącie snop zboża roślinnego, ciągnęła się długo. Rozpoczęła się od dwóch zup—barszczu z uszkami i polewki migdałowej—i po ryb mnóstwie, występujących pod postaciami rozmaitemi, zakończyła się specyałem dzieci; kutią i suszeniną. Pan Andrzej kutii łyżkę na sufit cisnął, wyciągając ztąd prognostyk, co się rojenia pasieki tyczy.

— Bogu dzięki! — zawołał — roje będą i miód będzie.

— Prognostryki wszystkie wypadają pomyslnie na rok następny—odezwała się pułkownikowa. Siedzi nas przy stole liczba apostolska, osób równo dwanaście.

Obliczono się. W rzeczy samej, z dziećmi było osób dwanaście, co zapowiadało, że z zasiadającego przy stole grona nikt w ciągu roku ze świata nie zejdzie.

— Chwała Bogu! — był okrzyk przez starą jejmość wydany. Nam starym—tu się do p. Marka zwróciła—każdy roczek, w dodatku do tych, cośmy przeżyli, jest niby darowany. A chce się żyć, ażeby patrzeć na dzieci szczęście. Ot, chciałabym jedno rok jeszcze pociągnąć, wnuka ożenić i zobaczyć, jak prawnuczę moje wygląda. A no, jegomość!—zawołała—niechno mi jegomość pomoże.

— Z miłą chęcią—odparł p. Marek z uśmiechem.

— A no, kiedy tak, to i dobrze. Rachunek mi wypada jak należy. Szlub w zapusty, a na wigilię następną będę tu siedziała z prawnuczatką na kolanach. Otóż to będzie dopiero uciecha dla mnie!

— Daj Boże uciechy tej jejmości dobrodziejce дочекаć!—odezwał się p. Marek,

Olesia i p. Jakób, siedząc jedno obok drugiego, szeptali coś do siebie pocichu.

Wieczera się skończyła. Towarzystwo przeszło do pokoju bawialnego i, podzielone na grupy, oddało się gwarnej rozmowie. Panowie fajki pozapalali. Panie na kanapie posiadały. Pani Henryka cudą o dzieciach swoich prawiała. Panna Ewa zdała się od Adama trzymała, wbrew postanowieniu, któreśmy zaznaczyli powyżej. I czemuż to? Strwo-

żyły ją trochę zaczepki jejmości, spadające na nią niespodzianie.

Dobrze i miło wieczór przeszedł, pomimo, że się towarzystwo znacznie zmniejszyło. Około dziesiątej wyjechała pułkownikowa z bratem i wnet potem p. Marek ogłosił wszem w obec i każdemu z osobna:

— Dobranoc asaństwu. Bawcie się i nie oglądajcie na mnie. Ja trochę zmęczony, za długo przy wieczerzy siedziałem.

Pan Marek odszedł, a pozostali do północy jeszcze gwarzyli. Pani Henryka mazura zagrała—młodzię potańczyła trochę. Adam wyegzekwował sztuk parę, kompozycyę mistrzów znakomitszych. Popisywała się i p. Aleksandra. Słowem, bawiono się całę dobrze w ten radosny narodzin Zbawiciela wieczór. O północy zapanowała w domu cisza senna.

Cisza ta panowała dość długo nazajutrz. Spało się wszystkim dobrze, tak, że nie raniej jak około ósmej odbywać się poczęło budzenie się powszechne. Jejmość nie spała od piątej, przez wzgląd na innych, doleżała do dnia świtania. Pan Andrzej także obudził się wczesnie, ale nie wstawał.

O ósmej pani Henryka udała się do ojca na dzieńdobry. Zdziwiło ją, że go w łóżku zastała. Podeszła pocichu.

— Spi—rzekła do siebie.

Oddalić się chciała, lecz ją powstrzymało wołanie:

— Henryko!

Było to wołanie pana Marka, słabe jakieś i mdłeniby.

— Dzień dobry tatkowi. Myślałam, że tatko śpi.

— Gdzietam! Wstałbym, ale nie mogę. Przez

noc całą co chwila, to usypiam, to się budzę. Senno mi, a zasnąć ani weź.

— Może tatko chory?

— Nie. Poleżę, to przeminie.

— Czy tatkowi czego nie potrzeba?

— Potrzeba mi was. W nocy mi tak czegoś smutno było!

— Tatku drogim!—odezwała się pani Zgrzebłowiczowa z rozrzewnieniem.

— Niech tu przyjdą Staś, Gucio i Ewunia. Niech przyjdzie twój mąż. Przyrowadź mi dzieci swoje.

— Czy tatko czego w sobie nie czuje?

— Nie, nie, tylko mi smutno. Śród was będzie mi weselej.

Pani Henryka odeszła i wkrótce potem pokój panna Marka napełniać się począł przybywającemi jedno po drugim dziećmi jego. Najpierwszą była Ewunia, po niej przyszedł p. Andrzej, po tym powróciła pani Henryka, niosąc dziecko jedno na ręku a drugie prowadząc—naostatku przybyli Stanisław i Gustaw. Stary do każdego uśmiechał się uprzejmie i wdzięcznie, a gdy zaś ujrzał całą przy łóżku swoim zgromadzoną rodzinę, oblicze jego przybrało wyraz uciechy rzewnej a cichej. Powodził oczami po wszystkich i milczał. Niekiedy lekkie wydobywało mu się z piersi westchnienie. Przy nim toczyły się rozmowy, żartowano, śmiano się—on w tem udziału nie brał. Wciąż spoglądał na oblicza obecnych, od czasu do czasu wzdychał, westchnął w końcu głęboko, uśmiechnął się, i uśmiech ten na ustach mu pozostał.

W chwili tej weszła stara jejmość.

— Dzień dobry jegomości—wygłosiła dobitnie. Odpowiedzi nie było.

Wszyscy razem zwrócili oczy na twarz p. Marka,
— Ha? — zaczęła jejmość i nagle zawołała: O! na Boga! A słowo stało się! Toć jegomość coś tak... jakby....

Wzrok wszystkich na raz napełnił się przerażenia wyrazem.

Pan Andrzej za rękę starca ujął, szukając palcem pulsu. Po chwili głową pokiwał i westchnął.

Pani Henryka w głośny uderzyła płacz, p. Ewie łzy strumieniami z oczów się puściły, Stanisław i Gustaw od łkań się zanosili, dzieci małe wrzeszczały, ze starszego zaś pokolenia to jedno, to drugie tuliło się ustami do sztywniejących i chłodniejących rąk i nóg nieboszczyka.

— Dziaduniu! Tatku! — odzywały się co chwila wołania, pierwsze dziecięcym, drugie dojrzałym wydawane głosem.

Jejmość powieki starcowi zamknęła.

Twarcz jego po śmierci pozostała taką, jak była za życia. Uśmiech do ust przystygł i nadawał obliczu wyraz taki, jakby to mu radość sprawiało, że ze świata odszedł.

Więść o śmierci p. Marka, obiegłszy wnet dwór, ściągnęła do pokoju nieboszczyka panią Tulicką. Wbiegła z załamaniem rękami, z wielkim płaczem i lamentem ogromnym.

— A bracie! bracie! Cóżes ty to zrobił? Na cóś nas opuścił? Cóż ja teraz pocznę bez ciebie? Ach ja nieszczęśliwa! Ach ja sierota! Aj! uchuhuhu.

Wbiegła panna Aleksandra w negliżu porannym — gorset, biały, w centki szafroczek przewiązany paskiem szafirowym, szarfy rozpuszczone, włosy w grube zaplecione warkocze. Wyłamywała dłonie przed sobą i krzyczała:

— Aaaa!

I zemdląta.

Rozpacz, jaką okazały pani Tulicka i panna Aleksandra, oddziałała na dzieci nieboszczyka w sposób uspakajający. Synowie i córki spowaźniali w smutku, dziatki nawet małe wrzasków zaniechały.

A te dwie lamentowały, napełniając dom cały jękami przeraźliwemi, wyginając się i wykrzywając, jakby bóle je wewnętrzne szarpały. Rzuciły się sobie w objęcia i szlochając wołały:

— Sieroty my, och sieroty!

Dzieci rodzone zmarłego uspakajac je musiały, prosząc, żeby odeszły. Prośby nie skutkowały. Aż się odezwała jejmość zniecierpliwiona:

— Uspokójcie się, na Boga przez szacunek dla nieboszczyka!

Na słowa te odpowiedziały jękami.

— Ciało stygnie.... Nim zastygnie, trzeba je obmyć i ubrać.

I ta uwaga nie zdała się na nic, jejmość huknęła:

— Idźcie sobie ztąd het! Adasiu, weś ty panienkę. Jędrusiu, ty weś radczynię i wyprowadźcie je!

Panna Aleksandra wyprowadzić się dała, p. Tulicka jednak z rąk się wydarła, łzy jej wnet oschły, jęki ustały, nachmurzyła brwi i zawołała:

— Nie! nie wyjdę ztąd, póki nie będzie pieczęci tu, tu i tu.

Pokazała palcem na biórko, na szafkę i na komodę.

— Jeżeli o to tylko pani chodzi—odparł pan Andrzej.

— Nie wyjdę ztąd póki pieczęci nie będę widziała i póki kluczyków nie dostanę. Pieczęcie i kluczyki!....

— Prędej, świecę zapalić—zawołała jejmość.

Świecę zapalono i wnet ukazane przez panią Tu-licką schowki opieczętowanemi zostały. Wręczono jej kluczyki Odeszła.

Następnie zachowywała się już spokojnie.

Rodzina nieboszczyka usunęła się z pokoju. Cia-ło obmyto i ubrano i wkrótce potem, w pokoju ba-wialnym chrustowskiego dworu stał katafalk świe-cami obstawiony, a na nim spoczywały z uśmie-chem na ustach, zwłoki człowieka, który, za życia, posiadał wszystkie zalety i któremu nie brakło ani jednej z przywar szlachcica polskiego. Pokój duszy jego!

Ani na chwilę jedną katafalk nie pozostawał osa-motnionym. Co moment jedno z dzieci klękało na stopniach onego, modląc się z głową pochyloną.

Miano w pierwszym dniu świąt, jechać do ko-ścioła. Nikomu to ani na myśl nie przyszło. Sąsiedzi dziwili się, nie widząc nikogo z Chrustowa na na-bożeństwie. Nad wieczorem dopiero udał się Stani-sław do miasteczka, w celu zamówienia u księdza proboszcza pogrzebu na trzeci dzień świąt. Nie ry-chlej przeto jak nazajutrz, przez nabożnych, którzy w drugie święto w kościele byli, wieść o śmierci pana Marka rozeszła się po okolicy.

Wieść ta spadła na mieszkalców Gawronów, ni-by piorun. Spiorunowała i pułkownikową i p. Ja-kóba. Pułkownikowa, która w kościele, w pierw-sze święto, nie dowiedziała się, ani nie domyśliła niczego zawołała:

— Masz!

Pan Jakób odparł:

— *Sapristi!*

— Ale, kiedyż, bo wyglądał jak rydz.

— I rydza wierci robak śmierci— rzekł p. Jakób sentencyonalnie.

— Hm, teraz będzie trudnawo.

— Chrustów, Chrustów, tra la la, tra li li — począł sobie nucić hrabia Jałomnicki.

— „Książd, książd kapucynek“ — zaczęła sobie mówić pani Kawaska.

— A! odezwał się pierwszy i ręką machnął.

— Nie mów hoc, póki nie przeskoczysz—odparła druga. Nie wiemy jeszcze, a może?... Za życia starego nie byłaby baba córki dąła, dla tego, iżby posag wykryć musiała. Teraz zaś, trzeba ją tylko zażyć umieć. Tyś hrabia.... to coś warto w oczach gęsi. Trzeba zagrać z Tulickimi w *cache-cache*.... Już ja jej natrąciłam, że ciebie Jałomniccy litewscy do magnactwa chcą podnieść. A przytem, miłość moja dla Olesi, taka dawna i taka stała, także coś znaczy. Zobaczymy. Tymczasem zaś wybierajmy się na pogrzeb. Należy w podzielaniu smutku się zabawić, grymasy robić i powiekami łypać.... Ja, czarna suknia, kwef i tam dalej, szczęście, że mam krepę kawałek.... ty, czarny frak, czarne okoliczności i nos na kwintę. A pamiętaj wynosić enoty wielkie nieboszczyka.

Na pogrzeb zebrało się ludzi sporo. Gromada chrustowska znajdowała się w całości, a i z sąsiedztwa mało kogo brakowało. Obywatelstwo szczerze żałowało wypadłego z szeregu człowieka, szczerze też podzielano smutek dzieci. Włościanie na barakach ponieśli ciało do grobu, pamiętni na to, że pan Marek, jeżeli wśród nich nie świecił dodatnio, to, w ujemnym sensie, krzywdy im nie wyrządzał: nie wyzyskiwał ich w potrzebie, nie nadużywał ich ciemnoty, nie pogorszał ich złej doli, owszem, jeżeli

się mu zdarzyło pomódz, poratować, pomógł, poratował i o zapłatę się nie upominał. Grób przygotowano obok grobu nieboszczki pani Róży. Stary Szamota położył się obok niej na spoczywanie wieczne. Grudki zmarzłej ziemi zadudniły na trumnie. Na miejscu jamy powstała mogiła. Do dworu powróciły dzieci w smutku, p. Tulicka z córką w szlochach, osób kilka z sąsiedztwa, które tylko zajrzały dla wyrzeczenia słów paru kondolencyi i wnet odjechały, i p. Kawaska z bratem, która się okazywała niepocieszoną.

— Ach, panie (lub pani) — przemawiała do pana Andrzeja, do Adama, do starej jejmości — co to był za człowiek! co za człowiek! Ach, co to za strata! Nieraz, przypatrując się mu zdaleka, jak ot tam przy preferansie siedział, myślałam sobie: święty. Nie wiem, doprawdy, jak te dzieci biedne, tę stratę przeniosą. Ja nie dziecko jego, a wątpię, ażebym wytrzymała mogła.

Znalazłszy się z panią Tulicką sam na sam, w te do niej odezwała się słowa:

— Żal mi dzieci biednych, ale żal mi i pani kochanej.

— Ach! — westchnęła matka Olesi.

— Olesia moja anielska cierpieć musi na równi z córkami nieboszczyka.

— Na równi? hm. O! Olesia cierpi mocniej.

— Dzieci-ż go kochały.

— Tak... ale... gdybym przewidywała, że dziecko moje z taką obojętnością, jak synowie i córki brata Marka, śmierć moją przyjmą, tobym się nierodzić na ten świat wolała.

— Co pani dobrodziejka powiada!

— Gdyby nie ja i nie Olesia, to nie byłoby łyzy jednej szczerze uronionej.

— A to coś monstrualnego!

— Nie do uwierzenia.

— Nie do uwierzenia!

— Nie dziw jednak. Dzieci, co nie miały miłości dla ich matki drugiej, bo matką im byłam, kochać nie mogły i ojca. Ojciec mniej był z niemi aniżeli ja.

— To prawda. Myślałam jednak, że tylko Ewunia jedna.

— Ach! pani kochana — przerwała pani Tulicka, dłoń prawą do góry podnosząc. Ewunia to głaz, a tamte kamienie. Henrysia była najlepsza, od czasu jednak, jak wyszła za Zgrzebłowicza, przekabaciła się na ich stronę.

— Toż mi pani kochanej żal.

— Ach!

— Póki nieboszczyk żył, zawsze była to zasłona.

Pani Tulicka, z wyrazem złości w oczach, głową kiwnęła.

— Teraz zaś, pani kochana, pod jednym z niemi dachem.

— Nie będę ja z niemi pod dachem jednym — przerwała p. Tulicka żywo.

— Ma pani dobrodziejka zamiar wyprowadzić się?

— O nie! „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.“ Mam dziecko, za które przed Bogiem i ludźmi odpowiadam. Przewiduję krzyki, ale ja temu niewinna.... przygotowana jestem na wszystko.

Z oczów p. Tulickiej biła zacięta niezłomność postanowienia. Pułkownikowa uśmiechnęła się do siebie i rzekła:

— Przydałby się pani dobrodziejce mężczyzna.

— A toż na co?

— Do zasłony, do poparcia. Olesia lubeczka, aniołek mój, gdy zobaczy panią wystawioną na wybryki takich jak Stanisław, jak Gustaw, jak Zgrzebłowicz, wyobrażam sobie jak to ją zaimpressjonuje biedaczkę. Koniecznien, nieodzownie przydałby się pani mężczyzna. Pani sama nie zaradzi sobie.

Pani Tulicka wsłuchiwała się uważnie w ostatnie pułkownikowej słowa. Nagle podchwyciła.

— Nie! Poradzę ja sobie sama. Ja, matka, stanąć gotowa naprzeciwko świata całego, a nie dopiero naprzeciwko Stanisławów, Gustawów, Zgrzebłowiczów! Wymiotę ja te śmiecie ztąd, het, i zostanę sama, z Olesia.

— Pani kochana wielką ma rację.

— Rację mam, czy nie mam, o to nie stoję. Mam córkę.

W chwili tej wszedł p. Andrzej, i zacierając ręce, z wymuszonym uśmiechem, przemówił do pani Tulickiej:

— Po dopełnieniu smutnej powinności i oddaniu ziemi, co do niej należy, przychodzi kolej na pełnienie powinności względem tych, co żyją.... Nieboszczyk był depozytaryuszem pani radczyni dobrodziejki, raczy więc pani, celem uregulowania interesów, wykazać pretensye swoje.

— Moja pretensya gotowa. Chrustów mój.

— Pani dobrodziejka raczy dowody złożyć—odparł Zgrzebłowicz spokojnie. Spadkobiercy nieboszczyka prezesa, w imieniu których przemawiam, postanowili unikać wszelkiego do sporu pretekstu, pragną jeno oglądać dowody.

Pani Tulickiej policzki zadrżały. Na chwilę zawahała się niby i odrzekła:

— Dowody są, rachunki przez nieboszczyka zaparafowane i podpisane i w testamencie w osobnym punkcie zaznaczone.

— Testamentu nie posiadamy.

— W biórku.

— Opieczętowane, a klucze u pani.

— Oderwiemy pieczęcie i otworzymy przy świadkach.

Pułkownikowa spojrzała na p. Tulicką z ukosa. Ta zwróciła się do niej z przymileniem i prośbą:

— Pani dobrodziejka i pan hrabia zechcą być świadkami odczytania ostatniej nieboszczyka woli.

Po chwili towarzystwo całe, to samo co przed kilku dniami wesoło się bawiło, zgromadziło się w pokoju p. Marka.

Oderwano pieczęć i otworzono biórko.

Do odczytania testamentu uproszono Adama.

Ustęp dotyczący się p. Tulickiej nakazywał spadkobiercom zwrócenie jej należności wedle rachunków podpisem testatora zaopatrzonych, a w jej znajdujących się ręku.

Przedstawiła rachunki. Summa takowych ogólna przenosiła wartość Chrustowa. Rezultat ten, przyjęty przez spadkobierców w milczeniu, pobudził jeno jejność do rzucenia uwagi następującej:

— Oho! pięknie ich wykierowała. Pokazuje się, że niekoniecznie wieprze kłuć i sprawiać potrzeba, ażeby sobie grosik uciąć.

— Ja matczyłam, ja się poświęcałam — zaczęła p. Tulicka.

— Ihi na was! pani radezynie dobrodziejko — przerwała babina. Toć niby to nie poświęcam się ja, harując od rana do wieczora! Ot, natrafiliście na człowieka, co wam zawierzył na ślepo, z łatwością

więc wam przyszło wymateczyć sobie przez poświęcenie Chrustów. Dajże wam, Boże, ażebyście się Chrustowem nie udławili.

XV.

Rzeczy tak stanęły, że pozostawanie w Chrustowie dzieci p. Marka stało się niemożliwem. Połowa rodziny żeńskiej przyjęła to z rezygnacją, połowa męskiej z oburzeniem. Stanisław i Gustaw odgrażać się poczęli, ale ich umitygował p. Andrzej.

— I do czego to, gadania te! — powiadał. Dobra, zanadto dobra ojca wiara z jednej strony, nieuczciwość z drugiej — widoczna. W oczy się to rzuca. Nie ma jednak rady, gadanie zaś na wiatr sytuacji nie poprawi. Ot, zabierajcie się do Zahorowa. Bóg da, jakoś to będzie.

— Ofiarujesz nam chleb łaskawy — rzekł Stanisław z goryczą.

— Ofiaruję wam gościnność.

— Gościnność udzielana ludziom bez dachu nad głową nazywa się miłosierdziem.

— Jak się nazywa, tak nazywa — podchwyciła jejność. Od was samych zależy zrobić ją taką lub owaką. Jeżeli się wam zdaje, że Pan Bóg stworzył człowieka na to tylko, ażeby jadł, pił i do góry brzuchem leżał, to pobyt w Zahorowie będzie dla was chlebem łaskawym; jeżeli zaś wam się zdaje, że człowiek stworzony do pracy, to pobyt w Zahorowie da wam czas i możliwość wyszukania sobie, czy to służby, czy też zajęcia jakiegoś.

— I ty, Stanisławie, i ty, Gustawie, możecie się u mnie do gospodarki przyuczyć — dodał p. Andrzej. Wydzielę wam zajęcia, powyznaczam pensye, jeżeli

wybić sobie potraficie paniczowstwo z głowy, będziecie mieli zapewniony uczciwy chleba kawałek.

— Ha!—rzekł Stanisław po chwili namysłu. Ja nie stary jestem, Guccio młody: możemy pomoc twoją ze spokojnem przyjąć sumieniem.

O Ewuni mowy nie było, tak wydawało się to rzeczą naturalną, że ona przy siostrze przytułek znajdzie. Państwo Andrzejowstwo i stara jejmość uważali ją z góry za członka rodziny własnej—stara jejmość bardziej nawet niż inni, z powodu widoków, jakie na nią miała. Ona zaś sama milczenie zachowywała i milczeniem tem przyzwałała niejako na rozrządzenie osobą własną. Zresztą, nie pozostawało jej nic innego. Powtarzała sobie jeno w duchu: gościna, pomoc — i od czasu do czasu wdychała. Nikt na nią uwagi nie zwracał, z wyjątkiem Adama, który widział jej smutek i więcej nic. Smutek ten wydawał się mu naturalnym i na jak największy szacunek zasługującym.

Chwila wyjazdu bolesną była dla młodych panów Szamotów i dla panny Ewy. Opuszczali na zawsze gniazdo swoje rodzinne: — obchodzili zakątki wszystkie i żegnali takowe, żegnali sprzęty, progi, drobiazgi wszystkie, unikali jeno drzwi jednych zamkniętych, drzwi od pokoju pani Tulickiej, w którym się ona z córką schroniła, nie czując się snadź dość silną do wytrzymania rozstania z tymi, z którymi lat tyle przeżywszy, taką im odprawę dawała. Za drzwiami temi słychać było szlochanie. Ostatnie pożegnanie odbyło się na cmentarzu. Cała rodzina wiankiem klękała kolejno na grobie matki, na grobie ojca, na grobach braciszków i siostrzyczek i każde z osobna, nachyliwszy się, szeptało ziemi słowa żalem i miłością nabrzmiałe. Był to widok po-

ruszający. Adam, przypatrując się widokowi temu, nadaremnie wysiłał się łązy w sobie tłumić. Płynęły mu one po policzkach. Ten żal zaś budził w nim myśli odnoszące się do ustroju społecznego. Jest on dowodem łączności, wiążącej rodzaj ludzki w towarzystwo, z drugiej strony, jest dowodem łączności, jaka zachodzi pomiędzy przeszłością a przyszłością.

Pożegnała rodzina groby, popatrzała jeszcze przez chwilę na dwór, z którego wygnaną została i odjechała.

We dworze, w którym dotychczas panowały gwar i ożywienie, zrobiło się naraz pusto. Pani Tulicka i Olesia, z przerażeniem niejakiem, przechodziły z pokoju do pokoju oglądając się, jakby w obawie wypadku jakiego. Obeszły dwór cały i przekonały się, że nic im nie zagraża. W bawialnym pokoju Olesia odezwała się do matki:

— Mameczko, jakże tu straszno!

— To pierwsza chwila, moje dziecko, I mnie straszno, ale.... to przejdzie.

— Nie możnaż było zostawić z nich (odnosiło się to do rodziny Szamótów) kogo?

— Oni mnie nie kochali. Bóg ich ukarał.

Wymówiła wyrazy te głosem uroczystym. Zdało się, że mówiła z przekonania, uważając siebie za narzędzie kary bożej, która się wyraziła za pomocą podwójną kredą pisanych rachunków. Bywają przekonania zdumiewająco-naiwne, a zarazem zdumiewająco-fałszywe.

Olesia westchnęła.

— O! gdybyż nas kto odwiedził...

— Pani pułkownikowa tylko patrzeć jak przyjedzie.

Upłynął jednak dzień do wieczora. Nikt ani zajął.

Ale, jeżeli straszno było w dzień, straszniej jeszcze zrobiło się w nocy. Pani Tulicka we dworze nocować kazała wszystkim służącym płci męskiej, do swego zaś pokoju trzy dziewczki sprowadziła; światło do rana gorzało. Pomimo to strach przejmował matkę i córkę. To im się przysłychiwały w szumie wiatru głosy jakieś ludzkie, to im się przywidywały w szybach okien twarze jakieś groźne. Sen miały przerywany i niespokojny. Odmawiały nieustannie „Anioł pański“ i „Kto się w opiekę.“ Nadrankiem dopiero usnęły na prawdę, i gdy się obudziły, matka zawołała do córki z uradowaniem:

— Wiesz co!... no! ... znów mi się śnił księżę Albert.

— I mnie, mameczko!

— No, widzisz! rzecz osobliwa.

Dzień upłynął im spokojniej nieco aniżeli poprzedzający, i noc miały spokojniejszą. Dzień następny był jeszcze spokojniejszy. Pani Tulicka zajęła się gospodarstwem, które jej umysł zaprzątnęło. Olesia pędziła czas jak mogła, nudziła się i nudy przepłatała: to grą na fortepianie, to robótką, to czytaniem książek, to znów dumaniem, które jej najlepiej dopisywało. Z upływem czasu urobił się w chrustowskim dworze dla dwóch tych kobiet, pozostawionych samym sobie, sposób życia dosyć znośny. Dziwiło ich jednak opuszczenie przez ludzi. Nie wiedziały zapewne, że zły uczynek, ażeby odrazu w opinii ludzkiej przebaczenie uzyskać, potrzeba ażeby świetne sprowadził rezultaty — ażeby, przynajmniej, naprzykład, milion dał w zysku. Milion

posiada własności olśniewające a zarazem i pociągające. Wybaczenie Chrustowa wymagało czasu trochę. W sąsiedztwie bębiono jeszcze na łotrowstwo i ociągano się z indulgencją, która świtać dopiero zaczynała w sercach niektórych kawalerów na ożenieniu.

Ale pułkownikowa? Upłynął tydzień, jeden i drugi—nie przyjeżdżała.

Pani Tulicka posłała Icka do Gawronów, poleciwszy mu dowiedzieć się, co się tam dzieje. Icek powrócił i na zapytanie o pułkownikową ramionami ruszył i odpowiedział:

— Jej niema w Gawronach i nikogo niema.

— Wyjechali? dokąd?

— Niby to na Litwę. Ale woni tak są na Litwie, jak ja w Brodach....

— Cóż? gdzie są?

• — Albo ja wiem. Gdzieś to woni są.

— Zkądże ta o Litwie wiadomość?

— Tak powiadać kazali. Widać, że im tego na coś potrzeba.

Pani Tulicka i panna Aleksandra spojrzały po sobie pytającymi wzrokami. Żyd ciągnął dalej:

— Ta pani pułkownikowa, nu! jak ona kogo lubi

Pani Tulicka zmieniła treść rozmowy. Zapytała Icka, czy nie słyszał czego o Zahorowie.

— Czemu nie—była zapytanego odpowiedź. Ny, tam wszystko dobrze. Młodszy panicz za ekonomę stanął, a starszy poszedł jak słyhać, do ślusarza do terminu.

— Jezus Marya!—krzyknęła pani.

— Widzi mama. Zgrzebłowicz? — odezwała się Olesia.

Żyd jarmułki na głowie poprawił.

— A o panie nie wiecie czego?—zapytała Olesia.

— Panna? cóż panna? siedzi w domu.

Panna Ewa w rzeczy samej, siedziała w domu, ale nie z rękami założonemi. Przez pierwszych tylko dni trzy pobytu u szwagra, pozwoiliła sobie nic nie robić. Trzech tych dni potrzebowała do odzyskania równowagi wypadkami nadwerżonej i do rozpatrzenia się w nowem położeniu swoim. Śmierć ojca i wyrzucenie z domu wzruszyły ją do głębi. O wszystkim innem zapomniiała była, o niczem myśleć nie mogła. Czuła jakby zranienie w sobie. Czas jednak, gojący wszelkie rany, i na nią wpłynął zbawiennie. Osuszyła łzy i podniosła się z przygnębienia, które ją niejako do ziemi przybiło, a pierwszą podniesienia się oznaką było to, że się do Adama zwróciła z proźbą, którą w następujących przedstawiła wyrazach:

— Bracia moi i ja zeszliliśmy nagle na to, że potrzebujemy pomocy ludzkiej.

— To pomoc szlachetna—wtrącił Adam.

— Tak, p. Andrzej dowiódł, że jest człowiekiem zacnym, pomoc z jego ręki nie poniża nas. Ale ja czyjejs jeszcze potrzebuję pomocy.

— Czyjej?—zapytał młody człowiek.

— Pańskiej.

— Pani! Największą dla mnie będzie rozkoszą udzielić się pani, jak jeno będę mógł.

— Chcę się uczyć. Niechże mi pan nakreśli program nauk i wskaże autorów, ażebym mogła odbyć kurs sama.

— Z największą ochotą.

— Wszak uczyć się samemu nie jest rzeczą niemożliwą?

— Bynajmniej. Jest to trudniej, aniżeli przy

pomocy professorów, potrzeba zwłaszcza wielkiej wytrwałości, ale niepodobieństwa niemasz w tem żadnego.

— Zresztą, pan nie może rady swojej mi odmówić?— zapytała.

— A! pani.

— Ja zdam panu sprawę z tego, co umiem.

— Proszę, słucham.

— Umieć bardzo mało— zaczęła i opowiadała ze szczegółami całą wiadomości swoich zakres.

Adam wysłuchał w milczeniu, następnie zadawszy jej zapytań kilka, na które ona odpowiedziała, zawołał:

— Pani umie wiele!

— Jak na kobietę, niech pan doda — odparła z gorzkim uśmiechem.

— Zapewne. Chociaż, biorąc rzeczy przez porównanie, i pomiędzy mężczyznami nie znajdzie się zbyt wielu pamiętających to, czego się w elementarnej uczyli szkółce. Kobiety zaś, kobiety uchodzące za wysoko wykształcone, zazwyczaj wiadomości tych nie posiadają wcale, przeskakując odrazu wyżej. Mam znajome, przyjaciółki w sferze literackiej (myślał zapewne o pani Eulalii, pannie Korneli i pani Idealii), nie umiejące tyle co pani. Nie ich to wina, ale tak jest. Nie przeszkadzało to im jednak być znakomitościami.

— O! — podchwyciła panna Ewa. O zostaniu znakomitością nie myślę wcale. Pragnęłabym jeno umieć być pożyteczną.

Adam spojrział na nią okiem, w którym, na tle uznania, malowało się spółczucie do potęgi podniesione.

— Wiem, że i kobiety pożytecznemi być mogą—
dodała.

— Któż o tem wątpił! Pożytecznemi są, tylko biernie, oddając społeczeństwu usługi, podobnie mniej więcej do tych, jakie oddawali mu chłopci, za czasów poddaństwa i pańszczyzny, niosąc onemu pracę niewolną. Jaka jest, przez ekonomistów powszechnie uznana różnica pomiędzy pracą niewolną a wolną, taka sama różnica zachodzi pomiędzy pożytecznością kobiet bierną a czynną.

— Owoż pragnę się do tej ostatniej usposobić, korzystając z okazji, która mi pana sprowadziła.

— W pani jest materyał na apostołkę wiedzy!— zawołał Adam, powściągając w sobie uniesienie.

Panna Ewa sposepniała nieco i po chwilce odparła.

— Gdybyś pan do mnie przemawiał, jak nauczyciel do ucznia, byłabym panu niewypowiedzianie obowiązana.

Adama zmięszało to żądanie, regulujące z góry, a raz na zawsze, stosunek jego do uroczej dziewczyny, przedstawiającej się mu, w marzeniach jego, niekoniecznie pod postacią uczucia. Ale—rady nie było. Stosunek jakikolwiek, byle przyjazny, wydawał się mu lepszym niż żaden. Nie pozostawało nic innego, jak żądaniu zadość uczynić; szukał jeno w głowie sposobu, w jakiby tę rzecz wyrazić. Sposób podsunęła mu panna Ewa sama.

— Przepraszam pana tylko z góry—dodała—za wszystkie nudy, jakie mu sprawię.

— Nie będą to nudy—odparł.

— Nie będzie to rzecz zabawna.

— Zabawna? — podchwycił. Masz pani do czynienia z człowiekiem, który za zabawnością nie go-

ni. Uczyłem się nie na to, ażeby z nauki misterya czynić. Jestem dzieckiem wieku, który z wiedzy zdejmuje mistyczne tajemnice. Pojmuję i potrzebę i korzyść popularyzowania nauki, uważając sobie za dobrze zrozumiany obowiązek udzielanie jej drugim, tym zwłaszcza, co do niej ochotę okazują. Pełnienie obowiązku stanowi rozkosz nie małą.

— Dobrze więc. Dziękuję panu.

Podawała mu rękę, dłonie ich się złączyły w uścisku wzajemnym, który ze strony młodego człowieka mocniejszym był trochę, niż na nauczyciela przystało i rozpoczęła się praca. Ewunia podzieliła sobie czas. W dniu każdym na naukę godzin cztery przeznaczala, resztę zaś obracała na obszywanie siebie, na pomaganie siostrze w obszywaniu domowników, na wyręczanie jej w niektórych zajęciach gospodarskich, na przechadzki, na muzykę, na jażdżo i t. d., przygotowując się zawczasu do pełnienia przy siostrzeńcach i siostrzenicach swoich funkcji guwernantki, kiedy dla nich doba nauki wybije.

Uczenie się szło jej wybornie. Adam nie tylko nakreślił program, ale jeszcze zrobił rozkład, rozdzielając przedmioty proporcjonalnie, stosownie do ich rozmiarów i znaczenia. Dawał przytem objaśnienia odpowiednie, ile razy potrzeba się okazała, udzielał książek, nasuwał przykłady. Dziewczyzna czyniła postępy szybkie, okazując pojętność tem większą, że do rozbudzenia takowej dzielnie gorąca przyczyniła się ochota, połączona z wyobraźnią żywą, pomagającą do przełamywania naukowych trudności.

Program obejmował kurs nauk, wykładanych w średnich szkołach męzkich, rozwiniętych w sposób taki, ażeby przedstawiały całość jak najobszer-

niejszą i zaokrągloną, mogącą służyć jako klucz do pojmowania postępu i kroczenia z nim razem.

Cztery lata nie zatrzymały p. Ewy bynajmniej.

Odważnie spoglądała w przyszłość i w krótkim czasie wciągnęła się do pracy zegarkowej, która ją prowadziła coraz to dalej i dalej, jak ów ogień, co to umyka przed człowiekiem, w miarę jak ten zbliża się do niego.

Na pracy upłynęła jej reszta zimy i wiosna i lato. Znajdowała w niej zajęcie i zadowolenie.

Była to rzecz zadziwiająca niezwykłością swoją, nauka owa, której oddawała się dziewczyna młoda a tak piękna, że zdawało się iż dość było, ażeby raz jeden w zwierciadło spojrzęła, by już mieć prawo powiedzieć o sobie:

— Ponętną jestem, i czegoż potrzeba mi więcej!

Była to rzecz—powtarzamy—zadziwiająca.

Czemu ona raczej przy krosienkach rojeniom się nie oddawała? Czemu siebie nie przetwarzała w obrazek cudowny? Czemu potęgi uroków swoich nie próbowała?

Zapytania te są to wszystko zagadki, które rozwiązać się chyba dadzą za pomocą ducha czasu, działającego w sposób tajemniczy i przenikającego w miejsca najlepiej przeciwko niemu obwarowane. Zawiało ją snadź we dworze chrustowskim. Tak, w czasach kiedy duch pietyzmu panował, zawiewały często kobiety powołania modlitewne, pragnienia ascetyczne. Jest to z mojej strony przypuszczenie. Czytelnikowi wolno zagadki powyższe w inny rozwiązywać sposób. Zdaje się atoli, że dziwactwa tego nikt jej za złe nie weźmie.

A przecież znajdowali się tacy, co, dowiadując się, że się Ewunia uczy, ramionami pogardliwie ruszali.

Najpierwszy Icek głową kiwał i nosem czmychał, powiadając:

— Oduriała...

Opinię tę podzielali wszyscy preferansiści, dawni nieboszczyka pana Marka towarzysze, część znaczna młodzi i wszystkie mamy w okolicy. Ogólnem było przekonanie, że dziewczyna marnuje młodość i wdzięki.

— Depoetyzuje się — powiadała o niej dama pewna.

Pułkownikowa zaś utrzymywała, że zagięła parol na Adama i chce go wziąć *na łapę*.

Tymczasem, jak z jednej strony opinia publiczna znajdowała się w błędzie, tak z drugiej insynuacja pułkownikowej była prostą nieprawdą. Ewunia trzymała i trzymać umiała młodzieńca w oddaleniu, nie ośmielając go ani słowem, ani gestem, tak że on nieraz w rozpacz niemal wpadał, nie znajdując luki, przez którąby do serca jej wsunąć się mógł. Czyż było to serce z kamienia? Bynajmniej. Onoby się otworzyło dla Adama, ale!... zaszła drobna jedna okoliczność, jedno nic, i to nic ten spowodowało skutek, że Ewunia zeszywniała i w sobie się zamknęła.

Jejmość od pewnego czasu ustawicznie wnukowi głowę suszyła ożenkiem.

— Panna pod nosem— prawiała — nie krzywa tobie, kiedy godzinami całemi z tobą przesiaduje, a ty? To mi chłopiec!

— Kiedyż nie można babuniu—tłómaczył się młodzieniec.

— Ciekawam czemu?

— Chociażby dla tego tylko, że ona w żałobie.

— Toć nikt ci nie każe, zaraz wesele szykować.

Zmów się tymczasem, a gdy żałoba się skończy, wówczas ślub i wesele.

Nagabywany w ten sposób młody człowiek, po-kilkakrotnie próbował, to z dziejów reformacyi, to z maszyny pneumatycznej, to z binomu Newtona wypośrodkować pogadankę o tej skłonności, która dwie istoty płci odmiennej zbliża do siebie, i zbliżywszy, wiązuje je węzłem noszącym miano miłości. Nie kleiło mu się jednak. Nie mógł żadną miarą przyjść do rzeczy. Materya naukowa odwo-dziła go w stronę wręcz przeciwną i neutralizowała materyę miłosną. Postanowił więc szukać okazji po za godzinami nauczaniu poświęconemi. Pod da-chem jednym mieszkając, z łatwością mógł już postanowienie to do skutku przyprowadzić. Panna Ewa grywała w godzinach pewnych. Razu zatem jednego, uprzedzając godzinę muzyki, zainstalował się w pokoju bawialnym, i w oczekiwaniu na przy-jście muzyczki, chciał powierzchowność swoją na-stroić stosownie do okoliczności. W tym celu sta-nął przed zwierciadłem, i dalejże, wąsy gładzić, włosy układać, krawatę poprawiać i postać wła-sną oglądać z przodu i z boków, przybierając miny raz takie, znów inne. Zajęcie to tak uwagę jego pochłoneło, że nie spostrzegł się, jak panna Ewa we-szła i stanęła. Stanęła i przez chwil kilka przypa-trywała mu się. Na ustach jej zawisł półuśmiech. Stała czas jakiś i pocichutku wysunęła się z po-koju. W pół godziny później powróciła. Nieszczę-ście chciało, że Adam znów się przed zwierciadłem znajdował. Tymrazem jednak nie wyszła. Gło-śnem chrząknięciem oznajmiła obecność swoją. Adam się odwrócił nagle, spojrzał na nią i zapło-nił się, jak student na gorącym schwytyany uczynku.

Owoż, drobna ta na pozór okoliczność, uczyniła Ewunię sztywną w obec młodego człowieka, który ze swojej strony czuł się niejako skompromitowanym. Harmonia pomiędzy nimi nadwyrężyła się. Zwierciadło rozbiło ją. Zabrział ton fałszywy, który oddalenie, jakie, pod względem sercowym, dotychczas istniało, uakcentował, utrwalił, bardziej wyraźnem uczynił.

Ani jedno, ani drugie nie zdawało sobie sprawy z tego, co zaszło. Pomiedzy nimi nie było tłómaczeń, rozmów, szeptów, gniewu, przebaczeń. Język miłosny nie występował ani w monologach, ani w dialogach. Stało się tak: to, co było w drodze i co, zapewne, pozostawione naturalnemu biegowi rzeczy, byłoby przyszło, zatrzymało się nagle. Późność Adama obraziła dziewiczą czystość tego uczucia, które, pod wpływem wdzięczności dla nauczyciela i rodzinnego zbliżenia się dwojga młodych ludzi, wytwarzało się samo przez się, nie objawiając się dla tego jedynie, że na romansowanie czasu nie było. Zajęcie umysłu, sprawiające roztargnienie ustawiczne, odpychało tę rzecz na później, do chwili sposobniejszej, kiedyby, na przykład, piękna uczennica po odbyciu ostatniej z programu zakreślonego lekcji, uczuła potrzebę wyciągnąć do młodego nauczyciela dłoń i powiedzieć mu, z serdecznym w głosie naciskiem:

— Dziękuję.

Owo „dziękuję“ byłoby zastąpiło sakramentalne „kocham.“

Ku temu szło i nie doszło, i Adam uczuwać się począł jakby w położeniu fałszywem, z którego wyjście wydawało mu się rzeczą konieczną.

Do wyjścia dwa przedstawiały się mu sposoby: jeden, któryby naprawił wszystko, drugi, któryby popsuł wszystko. Pierwszy zależał na uznaniu w sobie przywary i przedsięwzięciu środków do pozbycia się takowej. Należało zrobić obrachunek sumienia i przypomnieć sobie ową owacyę u pani Eulalii, owo zajście z panem Grocikiem, ów artykuł krytyczny, owo przerwucenie się do obozu przeciwnego, owe pobudki, które go do szukania Emmy zmusiły. W obec uznania przywary, wszystko to przedstawiłoby się jasno. W próżności jednak tkwi nadzwyczajna siła oporu. Nie łatwo z nią. Ona sama przeszkadza i uznania nie dopuszcza. Jest to wada nawskróś podmiotowa i posiadać potrzeba umysł rzeczywiście wyższy, ażeby móżdż ją wyrwać sobie z duszy, jak wyrywa się trzpień z ciała, i ażeby ją przed sobą postawić, rozpatrzyć i usunąć.

Nasz Adam nie posiadał snadź umysłu do podobnej operacyi potrzebnego. Uczuł tylko i uznał, że istnieje coś co mu do pięknej uczennicy zbliżyć się na drodze sercowej nie daje; uczuł i uznał, że zaszło coś, co go na tej drodze powstrzymało; uczuł i uznał, że mogąc iść naprzód, niepedobna w miejscu pozostawać i.... cofnąć się należy.

Przyszło mu na myśl dziwaczne jedno przypuszczenie, a to, że Ewunia cenić go nie umie. Przypuszczenia tego natchnąć nie mogło nic innego, tylko próżność.

Przyszło mu wnet na myśl, że sprawił sobie wakacje zanadto długie.

— Trzy kwartały!—zawołał.

Westchnął na myśl powrotu do miasta, a raczej, wyjazdu z Zahorowa i wybierać się począł.

Pan Andrzej, pani Andrzejowa, a szczególnie st-

ra jejmość, przyjęli ze zdziwieniem wiadomość o zamiarze wyjazdu Adama. Ta ostatnia aż się oburzyła.

— Co! — zawołała — tak? bez niczego?

— Cóż babunia chciała!

— Chciałam, żebyś sobie żonkę wywiózł.

— A czy to się żonkę tak jak sprzęt wywozi!

— Nie tak, zapewne, ale.... przecię.... dziewczynę miałeś w ręku.

— Toć ja powrócę jeszcze — odparł Adam, ażeby się wywinać. Co się przewlecze, to nie uciecze.

— A czy wiesz ty, że tylko ser odkładany dobry? — zapytała babka.

— Na przysłówie to, babuniu, odpowiada przysłowie: Co nagle to po dyable.

— Jak tam sobie chcesz! — rzekła jejmość, ręką z niechęcią machnąwszy.

Państwu Andrzejowstwu, którzy go namawiali, ażeby wakacye do roku przeciągnął, odpowiedział:

— Stanisław wziął się do pracy, Gustaw pracuje, a ja, aż mi wstyd!

Państwo Andrzejowstwo nic na to do odpowiedzi nie mieli. A i panna Ewa uważała to za rzecz słuszną i konieczną, że Adam próżnować dłużej nie chce. Coś ją jednak w piersi zabolęło. Cóż atoli! Wnet sobie tak kwestyę tę przedstawiła:

— Gdybym Adama poprosiła, ażeby pozostał jeszcze, to możeby i pozostał, dla mnie.... dla pożytku mego, dla wygody mojej.... Jakież mam do tego prawo? Ja jednostka, on zaś, — powołaniem jego, nieść pożytek ogółowi. Ja ogółowi ustąpić powinienam.

Ani słówkiem przeto, ani skinieniem najmniejszym poznać po sobie tego nie dała, że wolałaby,

ażeby Adam pozostał jeszcze, bodaj dla dopełnienia roku wakacyj. Namawiała ją siostra:

— Poproś-no ty.

Namawiała ją szczególnie stara jejmość:

— Rzeknij słówko. Dla chłopców słówka dzie-
wiece mają słodycz cukru, a lepkość patoki. Gdy
go ty poprosisz, z pewnością zostanie.

— Niech jedzie—odrzekła.

— Ah! — zawołała stara pani Zgrzebłowiczowa.
Wiem ja już! Musiało pomiędzy was jakieś лихо
wleźć. Kiedyście się zmawiać mieli, kogut zapiął
„kukuriku“ i przeszkodził. No, niema co, „kukuri-
ku piwszyku na toku, czekaj, czekaj mene diwczyno
do roku.“ Będzie z Adama kiep wielki, jeżeli po
roku nie powróci.

Adam, w rzeczy samej, byłby został, gdyby pan-
na Ewa słówko była rzekła. Że nie rzekła, to go
rozdrażniło, w miłości własnej dotknęło. W tem
także upatrywać należy objaw próżności, która ato-
li, skutkiem zapewne dobrego wychowania, nie
przekroczyła granic przyzwoitości w chwili poże-
gnania. Młody człowiek rozdrażniony był głębo-
ko, nie okazał jednak tego po sobie. Pożegnał się
z wujem, wujenką, z dziećmi ich, z babką i z panną
Ewą serdecznie i uprzejmie i odjechał na to, ażeby
już nie powrócić nigdy więcej.

On poszedł swoją drogą—uformował sobie styl
świetny, został autorem z wielką czytany przy-
jemnością, wyrobił sobie stanowisko poważne ary-
starcha literatury, której był (jest raczej, żyje bo-
wiem jeszcze) ozdobą prawdziwą.

Ona poszła swoją drogą — douczyła się wedle
programu zakreślonego, wychowała siostrzeńców
i siostrzenice, i nie mając co w domu szwagrowstwa

robić, otworzyła w miasteczku poblizkiem szkółkę, która rozwija się pomyślnie.

Nie obyło się bez tego, żeby się jej partye nie trafiały. Trafiły się — dwie mianowicie. Stary jeden niedołęga zagorzał do niej ogniem owego pieca, o których powiadają, że w nim dyabeł pali, i ofiarował jej, wraz z ręką swoją, podział majątku znacznego. Panna Ewa z pogardą ofiarę tę odrzuciła. Druga partya innego była rodzaju. Dyrektorowi pewnemu pensyi panińskiej, umarła żona, i ten, zagrożony upadkiem przedsiębiorstwa, dowiedziawszy się iż w Zahorowie jest panna wszechstronnie ukształcona, poprzedził się listem, po którym przyjechał sam. W liście opisał stan zakładu, którego firma posiadała wziętość wielką, tak, że panna Ewa, wyszedłszy za owego dyrektora, byłaby przysłała do ogniska, do którego by jeno polanka dokładać potrzebowała. Była więc, w zasadzie, zdecydowana, przyjąć propozycję dyrektora. Zależało to od osobistego poznania się. Ten atoli poznać się wcale nie dał. Przyjechał i zapytał:

— A dyplom?

Panna Ewa dyplomu nie posiadała.

Dyrektor przeprosił, na obiedzie nawet zostać nie chciał, popędził pocztą dalej w poszukiwaniu panny, wdowy, rozwódki, mężatki rozwieżdź się pragnącej, ładnej lub brzydkiej, młodej czy starej, rozumnej albo głupiej, dobrej jak anioł, złej jak szatan, byle dyplomowanej. Ta partya, jak się niespodzianie pojawiła, tak też szybko znikła, o innych zaś i wzmiankować nie warto.

Panna Ewa wy kierowała się na starą pannę, czego jej stara jejmość do śmierci przebaczyć nie chciała. Palcem jej kiwała i wymawiała:

— Wypuściłaś chłopca z rąk. Zapatrzyłaś się snadź na tę z muchami w nosie.

Ta „z muchami w nosie,“ była to Olesia—Olesia, lubeczka, kochasia, aniołeczek pułkownikowej; która, po kilkotygodniowej w Gawronach nieobecności, w epoce objęcia przez p. Tulicką Chrustowa na własność, powróciła nareszcie „z Litwy.“ Powróciła i wnet się z wizytą u pani Tulickiej zjawiła.

Dwie te panie padły sobie wzajemnie w objęcia. Uradowanie ich było wielkie. Ścisnęły się i co chwila słyszeć dawały okrzyki:

— Pani droga!... pani kochana....

Po okrzykach i uściskach nastąpiło zapytanie:

— Gdzie się to pani obracała?

— Al Na Litwie.... Otrzymaliśmy wezwanie nagłe.... Trzeba było rzucać wszystko i jechać, pędzić, dniem i nocą. Co to za szczęście, żem w pułku była, inaczejbym nie wytrzymała. Trudy, niewygody, podróż daleka.... Bogu jednak dzięki, trudy te i niewygody nie poszły daremnie. Rezultat pomyślny, powiedzieć można, świetny....

— Cóż? cóż?

— A no, Jałomniccy litewscy wydzielili dla Jakóba renty talarów dwanaście tysięcy.

— Renty?—zapytała p. Tulicka.

— To jest dochodu rocznego.

— To pięknie — wtrąciła fałszem pani Tulicka, przypomniawszy sobie „agle słowa Icka.

— Nie źle. Mieć dochód bez kłopotów, jest, to wszystko czego człowiek pragnąć może. Jest to jednak tymczasowie. Po śmierci starego hrabiego Alfreda, dostanie się mu jeszcze i wieś z pałacem. Wieś ogromna, pałacyk gustowny, hrabia Alfred ma lat osmdziesiąt trzy.

— To pewne?

— Aha! zapisy, przyznania, zaoblatowane, zaintabulowane, zahipotekowane, podpisami i pieczęciami zaopatrzone, w sądzie są złożone...

— Winszuję—odezwała się pani Tulicka.

— Ach! pani kochana. gdy to się stało. odetchnęłam z głębi piersi. Jakób, to człowiek, jakich mało, honorowy, poczciwy, umiejący się w świecie sprezentować, niegłupi, tylko mu pieniędzy brakło. Onby się zresztą i bez pieniędzy obszedł, ale... — tu się przez chwilę zamyśliła. A! co mam ukrywać przed panią kochaną? Oto, biedaczysko, zaszłapał się po uszy.... po uszy, powiadam pani. Zaszłapał się po uszy w.... Olesi...

Pani Tulicka wykonała ruch rękami i ciałem, zapowiadający jakby coś powiedzieć chciała. Lecz nie powiedziała nic. Pułkownikowa ciągnęła:

— Pragnął u nóg jej złożyć siebie, imię swoje, swój tytuł, ale imię i tytuł bez pieniędzy, to tak jak barszcz bez soli... Cierpiał więc, ach! jak cierpiał... Teraz zaś, pani kochana by go nie poznała.... Ej, co za mina!... Lęka się tylko, i ja w nim tę obawę podtrzymuję, ażeby mu Olesia harbuza nie dała....

Pani Tulicka zrobiła minę bardzo dziwną. Słowa pułkownikowej pewnością bezwzględna i prawdą czystą nabrzmiałe, i słowa Icka wątpliwość rzucające, stanęły w umyśle jej jedne naprzeciw drugim i brały się niby za bary. Matka Olesi nie wiedziała czy prawda po stronie pułkownikowej, czy po stronie żyda. Zrobiła więc minę, która była miną nie wyrażającą nic — ani tak, ani nie. Uśmiechnęła się słodko i rada była wejściu córki, której obecność nadała rozmowie inny nieco obrót. Pułkownikowa opowiadała szczegóły podróży „na

Litwę.“ pobytu „na Litwie“ i zapisu otrzymanego „na Litwie, od starego hrabiego Alfreda, który“ — na to akcent wyrazisty opierała:

— Poznawszy Jakóba, znalazł go *homme accompli*, zupełnie godnym nosić nazwisko Jałomnickich i tytuł hrabiego....

Po odjeździe pułkownikowej p. Tulicka natychmiast po Ieka posłała i podania jej sprawdzić mu poleciła.

W dni parę później Iek sprawę zdawał:

— Bodajbym tak był zdrów, jak to prawda, że woni na Litwie byli... albo jak to, że panu grafu kto szeląg jeden zapisał. Jabym za te jego bogactwa trzech groszy nie dał.

— Czyż można tak komponować! — zawołała pani Tulicka.

— Ny, co to szkodził — odrzekł żyd, usta krzywiąc i jarmułkę na głowie przesuwając. Na tem świat stoi... Czy to woni jedni komponują? Chcą, widać, coś sobie wykomponować...

W dni kilka później pojawił się pan Jakób, wyświeżony, promieniejący. Pani Tulicka przyjęła go temi słowy, które drzącemi nieco wymówiła ustami:

— Nic z tego nie będzie!... Wiem ja, co to za Litwa! Niech pan hrabia szuka sobie żonki gdzieindziej. Olesia nie dla pana...

— Pani dobrodziejko — odparł pan Jakób, rękę w bladoliliowej rękawiczce wyciągając — plotka jakaś.

— Jabym dokumenta widzieć chciała — odezwała się pani z akcentem złośliwości w głosie.

— Do-ku-men-ta... do-ku-men-ta — bąkał hrabia. Skłonił się szarmancko i zrejterował.

Rejterada jego była niby podniesieniem szluzu.

Konkurencya o rękę panny Aleksandry polała się potokiem. Kawalerowie, jedni przez drugich, darli się do panny posażnej, szturmując do niej przy pomocy zastępów, złożonych z ojców, matek, ciotek, sióstr, przyjaciół i życzliwych. W chrustowskim dworze bywać zaczęło podawnemu ludzi huk. Ale, Olesia, był to skarb p. Tulickiej.

Ze skarbem rozstać się nie łatwo.

Pani Tulicka na to zdecydować się nie mogła.

Kochała córkę tak, że oddałaby ją tylko jednemu: księciu Albertowi.

Księżę Albert nie zgłaszał się.

Po harbuzie każdym, udzielanym regularnie i kolejno wszystkim młodym szlachcicom okolicznym, matka i córka w objęcia się jedna drugiej rzucały.

— Ach! mamó! mameczko! mamusieczko moja!

— Olesio! lubko! duszko! serce! życie moje!... mój ty aniołeczku!... mój ty skarbie najdroższy!....

Tak ciągnęło się czasu, nie wiem ile. Olesia, w przekonaniu matki, nigdy lat dwudziestu *jeszcze* nie miała. Pomimo to, z upływem lat zmniejszać się zaczęła powoli liczba tych, co się o ten skarb dobijali; zmniejszała się, aż doszła do zera, co gdy nastąpiło, życie w chrustowskim dworze uregulowało się porządnie i przykładnie.

Matka gospodarzyła, córka marzyła.

Księżę Albert nawiedzał je we snach bardzo często, i na jego to intencję po dwa dni w tygodniu pościły „święcie,” jeżdżąc przytem niedzieli każdej do kościoła, który wotami obdarzały. Niektórzy powiadali, że wota owe, tyczyły się sposobu, w jaki pani Tulicka przysła do posiadania Chrustowa. Gdzie tam! Pani Tulicka poświęciła się dla córki,

i gdyby jej kto powiedział, że się złęgo dopuściła uczynku, zdziwienie jej graniczy nie miało.

Kościół znajdował się w tem samym miasteczku, w którym p. Ewa utrzymywała szkołkę. Kuzynki widywały się niekiedy zdaleka. Olesia odwracała się z.... politowaniem. Politowanie jej atoli zmieniło się w zdumienie oburzeniem nabrzmiąte, kiedy się, razu pewnego, z ust Icka dowiedziała, że dwie jego wnuczki chodzą do szkółki p. Ewy.

— Mameczko! — krzyknęła — czy mameczka wie na co Ewunia zesła?... Uczy bachory żydowski! A, to rzecz niesłychana, monstrualna, tak dla samej siebie poszanowania nie mieć!

— Czegóż chcesz, życie moje! Po niej spodziewać się było można wszystkiego.... Taka zimna!... uczucia żeby isierka — odrzekła p. Tulicka sentencyonalnie.

— Ale tak się poniżać! tak się poniżać!....

* * *

Pan Jakób wstąpił do klasztoru kapucynów.

KONIEC.



INSTYTUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH I
LITERALNYCH

Biblioteka

ul. Krakowska 103, 00-613 Warszawa

00-916 Warszawa

Tel. 26-68-63, 20-3-31 w. 42

F
1239